

POLKI PYTAJĄ: KOMU PRZESZKADZAJĄ DZIECI?



MERKEL POMAGAŁA SZKOLIĆ ARMIĘ PUTINA

LIBERALNY TOTALITARYZM. WAŻNY TEKST WILDSTEINA



CMENTARZE, KTÓRE MÓWIĄ PO POLSKU

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

44 (674) 2025
27 X – 2 XI 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KOALICJA KŁAMCÓW I OSZUSTÓW

SKOMPROMITOWANA PLATFORMA ZMIENIA NAZWĘ I OGŁASZA NOWE OTWARCIE.
CZY DONALD TUSK ZNOWU OSZWABI POLAKÓW?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269502 44
Numer w sprzedaży do 3 XI 2025 r.

Człowiek Wolności tygodnika SIECI



GALA Z UDZIAŁEM LAUREATA

PREZYDENTA RP

KAROLA NAWROCKIEGO

ŚRODA 29 PAŹDZIERNIKA O GODZ. 20.00

Oglądaj w telewizji wPolsce24

PARTNER GŁÓWNY:

SALTUS 30 lat UBEZPIECZENIA

PARTNERZY:

lubelskie Smakuj życie!

Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego w Lublinie

SKOK

STEFCZYK FINANSE

eprasa.pl b4eba63ab8

Nawrocki superstar

Wzeszłym tygodniu miałem zaszczyt poprowadzić spotkanie młodzieży szkół średnich z prezydentem Karolem Nawrockim w Tomaszowie Lubelskim. Była to czwarta część międzynarodowej konferencji „Między informacją a dezinformacją" organizowanej przez miejscowe starostwo oraz posła PiS Tomasza Zielińskiego. Spotkanie to cieszy się już zasłużoną renomą i skutecznie promuje w Polsce niewielkie, roztoczańskie miasteczko.

Wydarzenie zasługuje na uwagę, bo kolejny raz potwierdziło, że relacja obecnej głowy państwa z młodym pokoleniem – i odwrotnie – to rzeczywiście fenomen rzadko spotykany we współczesnych demokracjach, tak mocno przesyconych cynizmem, zwątpieniem, dwulicowością. Na sali kilkuset uczniów, na co dzień żyjących tym, czym żyją współcześni nastolatkowie. Ale „na prezydenta" przyszli z wyraźnym entuzjazmem. Karol Nawrocki nie jest bowiem po prostu politykiem – jest swego rodzaju celebrytą, ale w takim typie, który Anglicy określają jako „role model", czyli wzór do naśladowania. Dobrze wybrzmiało to w bezpośrednich, nienapuszonych pytaniach: „Co dał panu sport?"; „Kim chciał pan zostać w dzieciństwie?"; „Jak to jest być prezydentem?". Poglądy polityczne wyniesione z domu czy środowiska są tu na drugim miejscu. W pewnym sensie prezydent Karol Nawrocki jednoczy polską młodzież, wśród której – według jednego z badań – cieszy się poparciem 73 proc. respondentów. To wynik więcej niż imponujący. To zjawisko społeczne, jeszcze mało rozpoznane. Widzimy jedynie ramy, przede wszystkim autentyzm prezydenta, który nikogo nie udaje i nikogo nie gra. Którego biografia jest znakiem nadziei dla mieszkańców i biedniejszych osiedli wielkich miast i miasteczek w typie Tomaszowa Lubelskiego. Pokazuje przecież, że kochając sport, historię, aktywność społeczną można zajść na sam szczyt. I że nie trzeba być wypieszczonym jedynakiem zasobnych rodziców. Wola, miłość do Polski, konsekwencja wciąż są w stanie przełamać wydawałoby się nieprzełamywalne bariery. To także znak nadziei dla tych wszystkich, którzy nie godzą się na nowy system klasowy, a może wręcz kastowy, według którego tylko syn prawnika może być prawnikiem, tylko syn lekarza może być lekarzem.

Na uwagę zasługuje jeszcze jeden wątek. Organizatorzy konferencji przeprowadzili wśród młodzieży ankietę, w której prosili o pytania, które trafią do prezydenta. Powstała lista licząca niemal 200 punktów, na której najliczniej przewijały się dwa wątki. Pierwszy to bezpieczeństwo, w powiecie graniczącym z Ukrainą temat jeszcze bardziej namacalny niż w Warszawie. Co mamy zrobić, gdy znów nadlecą drony? A co, jeśli wybuchnie wojna? Co pan zrobi, panie prezydencie, jeśli wróg naprawdę uderzy? Pytania twarde, ale celne. To już nie jest abstrakcja, na pewno nie na wschodzie Polski. Prezydent odpowiedział tak: „Ja przede wszystkim zrobię wszystko, żeby wojna nie wybuchła. Już dzisiaj rozstrzyga się przyszłość Polski. Jako zwierzchnik sił zbrojnych muszę prowadzić za sprawą dyplomacji takie działania, które sprawią, że Polska nie będzie dotknięta wojną". Nie mógł powiedzieć inaczej, ale pamiętajmy, że wysiłek obronny nie jest kwestią teoretyczną. On naprawdę rozstrzyga o naszym losie.

Druga grupa pytań dotyczyła Ukrainy i Ukraińców. Często mało precyzyjne, sygnalizowały narastające napięcie w relacjach z narodem, który walczy o swoje przetrwanie i swoją krwią osłania naszą niepodległość. W Tomaszowie Lubelskim sprawa jest jeszcze bardziej złożona, bo rzeź wołyńska dotknęła i tej ziemi. Pozostaje pytanie, kto zepsuł tę historyczną szansę, kto ponosi winę za to, że złudzenia z 2022 r. się rozwiały? I także refleksja, że w perspektywie tych kilku lat Ukraińcy okazali się nam z jednej strony bliscy, ale z drugiej – bardzo dalecy. I podobni, i skrajnie inni od nas w sposobie myślenia, działania, odczuwania.

Tomaszów Lubelski to piękne miejsce, mocne duchowo, patriotyczne. Ale jednocześnie to miasto szybko wyludniające się, podobnie jak sąsiednie gminy, podobnie jak niemal cała Polska. Nie zapominajmy: to wszystko jest jak bal na Titanicu, umieramy jako naród. Musimy się odbić od dna, wynieść rodzinę i dzietność na piedestał, walczyć o każde dziecko. To jest najważniejsze zadanie wszystkich przejętych losem Polski. To będzie nasz Grunwald.

Jacek Karnowski



Reklama | 17/1025/F, 18/1025/F, 20/1025/F, 19/1025/F

eprasa.pl b4eba63ab8

SIECI spis treści



24 Młodzi kontra Tusk
Konrad Kołodziejski



30 Skandal w związku wędkarzy
Łukasz Wróblewski



41 Nie będzie rozejmu na Wschodzie Europy
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

5 **CZY CHCEMY BYĆ PROWINCJĄ?**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KOŃSKIE TELEFONY**
Krzysztof Feusette

9 **PEGASUS, CÓRKA I STARA SZKOŁA PR**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ENERGETYCZNY CIOS W BRUKSELSKIEGO MOLOCHA: JAK PiS ROZŚWIETLIŁO KATOWICE**
Daniel Obajtek

13 **KRÓTKOWZROCZNOŚĆ ZACHODU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA DR. BARTOSZA LEWANDOWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **ZDARTA PŁYTA BEZ PRZEPROSIN**
Samuel Pereira

17 **45 LAT MINĘŁO…**
Jan Pietrzak

18 **ZMARŁ ANDRZEJ KOŁAKOWSKI**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **KŁAMCY I OSZUŚCI**
Stanisław Janecki

KRAJ

24 **MŁODZI KONTRA TUSK**
Konrad Kołodziejski

27 **CZWARTA SIŁA**
Piotr Gursztyn

30 **SKANDAL W ZWIĄZKU WĘDKARZY**
Łukasz Wróblewski

33 **KOMU PRZESZKADZAJĄ DZIECI?**
Rozmowa Doroty Łosiewicz

37 **CMENTARZE, KTÓRE MÓWIĄ PO POLSKU**
Stanisław Płużański

ŚWIAT

41 **NIE BĘDZIE ROZEJMU NA WSCHODZIE EUROPY**
Jan Rokita

44 **WARUNKI ZAKOŃCZENIA WOJNY**
Marek Budzisz

47 **W OBJĘCIACH NIEDŹWIEDZIA**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

50 **CHOPINOWSKI SKANDAL I NIESMAK**
Maciej Walaszczyk

54 **LIBERALNY TOTALITARYZM**
Bronisław Wildstein

56 **„JESTEM POLAKIEM, BO TAK MI SIĘ PODOBA”**
Artur Kolęda

58 **CO MAMY ODDAĆ NIEMCOM?**
Jerzy Szmit

NATURA DLA LUDZI

60 **SUMIASTY OLBRZYM**
Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

63 **ROZTAŃCZONA NOWELA**
Jolanta Gajda-Zadworna

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

68 **W SŁUCHAWKACH BIEGAJĄ ASCECI**
Robert Tekieli

PODRÓŻE

70 **MOJE SZLAKI: HÉLÈNE ROCCO, SOPHIA VAN DEN HOEK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **AZJA (I ARABOWIE) W OFENSYWIE**
Ryszard Czarnecki

74 **CZYSTE, BEZINTERESOWNE ZŁO?**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl b4eba63ab8

BRONISŁAW WILDSTEIN

Czy chcemy być prowincją?

Kilka lat temu Polski Instytut Ekonomiczny zorganizował dyskusję na temat naszej przynależności do UE. Dyskutanci traktowali ją jako fatum, które definitywnie wyznacza polski los. Nic dziwnego, że usiłowali odnaleźć w nim pozytywy. Ponieważ Polska rozwija się od 2004 r., wygodnie przyjąć, że rozwija się dzięki Unii.

Ekonomiści z PIE szacowali także, jak wyglądałaby nasza gospodarka poza UE i naturalnie wyszło im, że gorzej, tyle że obliczenia takie są umowne i jeśli nawet czas jakiś oddawały stan rzeczy, nie znaczy, iż robią to nadal. Niemniej dyskutanci patrzyli na mnie jak na raroga, kiedy mówiłem, że należy obliczyć, czy przynależność do UE jest dla nas nadal opłacalna. Brzmiało to dla nich, jakbym proponował zastanowienie się, czy warto pozostawać w Układzie Słonecznym.

To stała przypadłość elit decyzyjnych. Przyzwyczajają się do *status quo*, w którym osiągnęły swoją pozycję i zmiana wydaje się mi równie nierealna, co katastrofalna. Powoduje to, że zwykle nie potrafią szerzej, wariantowo, ujmować rzeczywistości ani reagować na zmiany.

UE zmienia się i jest dziś czymś innym niż 20 lat temu. Chwilowo wycofała się z próby przekształcenia traktatów, chociaż nieformalnie robi to cały czas, a zmiana reguły budżetu unijnego na uwarunkowany „praworządnością", wspólny dług, europejska strategia obronna, zielona transformacja czy pakt emigracyjny faktycznie centralizują Europę i czynią z niej neoimperium. Forma taka łączy odmienne krainy, a więc siłą rzeczy opiera się na autorytarnej władzy. Choćby wszyscy obywatele nominalnie posiadali te same prawa, status centrum i prowincji jest w tego typu państwie odmienny.

W UE ten stan rzeczy trwał od początku, a zwłaszcza od rozszerzenia jej na wschód, ale z czasem nasilał się. Francja i (zwłaszcza) Niemcy podejmowały decyzje, które traktowane były potem jako rozwiązania „europejskie", nawet jeśli były sprzeczne z normami obowiązującymi w Unii. Tak było w 2015 r., kiedy Angela Merkel otworzyła granice Niemiec, a więc i Europy dla imigrantów z Bliskiego Wschodu. Naruszało to zasady Schengen, łamało konwencję dublińską, ale to na Węgry, które zabezpieczyły swoją, czyli Schengen, granicę przed niekontrolowaną falą nachodźców, nałożone zostały kary i Budapeszt płaci je do dziś – mimo powszechnego już uznania, że polityka Niemiec była błędem. Restrykcje wobec Aten przyjęte zostały poza jakimikolwiek europejskimi zasadami przez Berlin i Paryż w interesie swoich banków, które w dużej mierze kryzys grecki spowodowały. Itp.

Polityka ekonomiczna krajów UE weryfikowana jest pod kątem „europejskiego" interesu, ale jeśli decyzje Berlina nawet tak ważne dla Europy jak Nord Stream, kolidują z dobrem innych państw układu, przedstawiane są jako wewnętrzne sprawy Niemiec. Szczytem ostentacji w nierównym traktowaniu członków UE było kwestionowanie przez jej trybunały reformy sądownictwa w Polsce w 2017 r. Słyszeliśmy wtedy, że wprawdzie w krajach Europy funkcjonują różne modele mianowania sędziów, ale coś, co jest dopuszczalne w krajach o tradycji państwa prawa, nie jest do zaakceptowania w „nowej Europie".

Utopijna wizja Europy, w której stapiają się w jedno interesy tworzących ją narodów i państw, staje się parawanem dla rządów najsilniejszych, czyli głównie Niemiec, których okiełznaniu służyć miało m.in. tworzenie kontynentalnej wspólnoty. Niezależnie od tego funkcjonowanie jej instytucji wytworzyło nową biurokrację, której interesem jest rozbudowa unijnych struktur. Liberalno-lewicowa ideologia emancypacji jest tego optymalnym uzasadnieniem i wzmacnia tendencje centralistyczne Brukseli.

Hierarchia urzędnicza wywodzi się z establishmentu państw unijnych i żyje z nim w nieco konfliktowej (zmagania o pozycję) symbiozie. Odejście od politycznego *status quo* jest dla niej śmiertelnym zagrożeniem, nic dziwnego, że robi wszystko, aby do niego nie doszło.

Zatrzymanie imperialnego dryfu Unii wymagałoby radykalnego sprzeciwu jej przeważających sił, ale to one w ten sposób rozszerzają swoją władzę. Zmianę ich postawy mógłby spowodować bunt unijnych peryferii, w którym Polska musiałaby odegrać istotną rolę. Bez niej nie byłby on możliwy. W tym celu jednak należałoby zasadniczo przeorientować postawy Polaków, którzy – dekadami indoktrynowani unijną propagandą – nie wyobrażają sobie życia poza nią. A nie tylko jest ono możliwe, ale dopiero przyjęcie takiej alternatywy otwiera przed nami perspektywę realnej polityki i walki o swoje dobro.

Polska nie należy do Unii dzięki altruizmowi Berlina czy Paryża, ale z powodu ich dobrze pojętego interesu. Skala naszych relacji z zachodnim sąsiadem powoduje, że nie zdecydowałby się on na ich zerwanie nawet po polexicie. Polityka Niemiec i Francji wobec Anglii pokazuje, że to nie przynależność do UE dyktuje pozycje państw w Europie. Przestrzeń naszych możliwości jest duża, tylko musimy mieć odwagę z nich korzystać.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b4eba63ab8



Sygnalista nadaje

Wesołe jest życie staruszka! Życie zaczyna się po sześćdziesiątce. Udowodnili to ***Donald Franciszek Tusk*** w roli gościa i Jakub Władysław Wojewódzki jako gospodarz rozmowy. Był tam też jakiś trzeci typ, ale nikt go nie zna, więc go pomijamy. Obaj dziarscy staruszkowie opowiadali wiele ciekawych rzeczy o sobie i swoich marzeniach. A te mimo wieku nadal są szalone. Np. Donald uważa, że wygra jeszcze jakieś wybory. I obaj mają krwiożercze apetyty. Najbardziej chyba w sprawie Szymona Hołowni. Wesołe jest życie staruszka. Bo pamięć, bo pamięć nie ta! Dziękujemy ci, panie premierze, że pokazujesz nam, jak można się godnie starzeć.

Jeszcze jedna ważna sprawa z tej rozmowy. A właściwie najważniejsza, bo dotycząca tego, czego demokraci walczący pragną najbardziej, czyli odwetu na pisiorach. Premier został dociśnięty tym, że nie ma rozliczeń. Jest jednak mistrzem celnej riposty: „Minęły zaledwie dwa lata. Dla porównania: Nicolas Sarkozy doczekał się wyroku po latach 12" – błyskotliwie argumentował Donald Franciszek. Uff! Tchnął w nas nadzieję (jak pięknie określiła to „Gazeta Wyborcza"). Licząc ostrożnie od dzisiaj, wszyscy kaczystowscy zbrodniarze pójdą do więzienia już w 2037 r. Czyli na pewno szybciej niż będzą gotowe CPK i elektrownia atomowa. Nawet się nie obejrzycie, jak szybko zleci ten czas.

Trzeba też rozważyć scenariusz, w którym pisiory pójdą do więzienia za to, że są lewakami. Nie dziwcie się, tylko słuchajcie. Z sondaży wynika, że najwięcej mieszkańców Ten Kraju zdecydowanie deklaruje poglądy prawicowe – prawie 40 proc. Dużo też jest tak samo obrzydliwych symetrystów, a ludzi o poglądach normalnych, europejskich (jak pięknie nazwała to kiedyś Monika Olejnik) jest ledwo 20 proc. To potwierdza oczywistą prawdę, że małpioludzia czereda (copyright „Gazeta Wyborcza") zamieszkująca Ten Kraj nie dorosła do demokracji. Ale stawia też wyzwania premierowi Donaldowi Franciszkowi. Chyba trzeba będzie odłożyć na półkę związki partnerskie i inne takie tam prawa osób człowieczych. Premier trochę pohuczy na ciapatych, ukrów (oczywiście też lewaków z PiS). Obieca też walkę z Brukselą i Niemcami i pyk: wybory wygrane! Czereda to łyknie.

Wesołe jest życie premiera, smutne za to jest życie byłych prezydentów. Agata Duda pognała Andrzeja do roboty. I to w Rzeszowie! W sumie nie dziwne, chłop siedział w chałupie od sierpnia i nic nie robił. Musiał być już nieznośny. Trochę się poszwędał u Stanowskiego, ale widać, że to tylko mała, dorywcza fucha. A tutaj poważna oferta, chociaż rzeczywiście w dziwnym miejscu, bo na Podkarpaciu. Byliście tam kiedyś? W każdym razie Andrzej będzie robił u prywaciarza, który zajmuje się jakimiś sprawami internetowymi, których jego pokolenie kompletnie nie rozumie. Jakieś płatności przez telefon. Tego Andrzej na pewno nie ogarnia, ale nie szkodzi, córka mu wszystko wytłumaczy.

eprasa.pl b4eba63ab8

Przy okazji roboty szukała też Agata. Podobno w NBP, ale „Sknerus Glapa" skupuje złoto na całym świecie i nie mogło nie starczyć na walkę z bezrobociem wśród byłych pierwszych dam. Zrobił się szum wokół tej sprawy. Demokratyczna opinia publiczna potępiła Agatę, „Glapę" i wszystkich, którzy mieli jakikolwiek kontakt z PiS. Tylko Radek Sikorski postąpił inaczej. Napisał, że to byłby dobry nepotyzm, bo pierwsza dama za darmo zasuwała przez dziesięć lat. Teraz więc niech trochę się odkuje. Kochany Radek. Dobry z niego mąż, widać, że myśli o swojej Ance. Bo przecież jak Radek już zostanie tym prezydentem na dwie kadencje, to Anka też nie będzie miała pensji.

Wesoło jest za to u ***Romana Giertycha*** i jego rodziny. 35 tys. zł piechotą nie chodzi. Na tyle sądy wyceniły męczeństwo Romana, gdy omdlał podczas represjonowania przez kaczystowski reżim. Jeśli chodzi o nasze zdanie, uważamy, że to za mało. Może na jakichś mieszkańcach tzw. Polski wschodniej ta kasa robi jakieś wrażenie, ale Giertychom starczy ledwie na waciki. I to też nie dla każdej córki. Wiemy, że sąd się starał, ale przepisy nie pozwoliły dać więcej. Trzeba zmienić te głupie reguły. Są absolutnie niezgodne z zasadami praworządności, tak jak my ją rozumiemy. Jest jednak nadzieja: Donald premier Tusk, będąc u Jakuba redaktora Wojewódzkiego, powiedział, że błędem Adama Bodnara była wiara w to, że da się przywrócić praworządność w cywilizowany sposób. Na szczęście teraz ministrem ds. rozliczeń jest Waldemar Jan Żurek i przywróci ją w sposób absolutnie niecywilizowany.

Wszystko trzeba przywrócić w sposób całkowicie niecywilizowany, gdyż wyszła na jaw kolejna oburzająca kaczystowska zbrodnia. Pisowskie gestapo podsłuchiwało rodzinę premiera Donalda Franciszka. A najbardziej podsłuchiwało, a może nawet podglądało, Cudną Kasię. No i mecenasa Romana, który dla premiera jest prawie jak rodzina. Na razie nie ma informacji, czy były podsłuchiwane inne osoby. Czyli maltańczyk Franek, Małgosia, Kristina, Józef Bąk, a może nawet Fułek. Ta zbrodnia musi być rozliczona. Ale jak to się może udać, gdy pisowski deep state dalej rządzi Ten Krajem? Premier ogłosił tę wstrząsającą wiadomość, a tu nagle prokuratura zaprzecza, że nikt nie podsłuchiwał Cudnej Kasi. Apelujemy do ministra drwala Żurka Waldka, aby czym prędzej zareagował na tę dywersję. Niedojrzały okazał się także Siemoniak Tomek, który też nie wyczuł chwili i początkowo wszystkiemu zaprzeczał. Dostał w łeb, wreszcie zrozumiał, co ma mówić, ale szkody i tak są duże.











Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor x2, M. Czutko

Prawica próbuje obrazić ***Władka Kosiniaka-Kamysza***. Nazywa go „tęczowym Władkiem" – za to, że Władek dogadał się z innymi osobami koalicyjnymi i poparł projekt ustawy o związkach partnerskich. A nam to nie przeszkadza. Okazuje się, że Władek to prawdziwy Rainbow Warrior (jest tak samo niezatapialny). Prawica nie rozumie, że wieś się zmienia. Podobno nawet w jednej wiosce gej został sołtysem. Prawica nie rozumie też, że są sprawy ważne i ważniejsze. Co prawda nie uda się zablokować umowy z Mercosur, ale za to rolnicy skorzystają ze związków partnerskich. Pardon – osoby rolnicze.

Zła wiadomość dla ***Bogusia Klicha***, doskonała dla ONZ. Szymon Hołownia zmienia plany. Nie jest pewny, czy dostanie posadę ONZ-owskiego komisarza do spraw inżynierów, lekarzy i innych biednych ludzi szukających swojego miejsca na ziemi (my podpowiadamy, że nie dostanie). Zaczął się starać o fuchę ambasadora w Waszyngtonie. Na razie załatwił sobie to, że poprze go ten Nawrocki, który mieszka w pałacu prezydenckim zamiast Rafała. Ale to za mało, bo Radek „Putinobójca" Sikorski zasugerował, że to trudne, że się nie da i tak w ogóle jest przeciwny. Drogi Szymku, nie załamuj się. Jest sposób! Załatw to przez Berlin. Jeden telefon kanclerza Merza i już śmigasz do Waszyngtonu.

A teraz uwaga! Cały na biało: atrakcyjny Sławomir! „Jesteśmy jak polityczna piękna panna na wydaniu" – cieszy się Przemek Wipler, lojalny skrzydłowy Sławka Mentzena. Wszyscy pragną Sławomira, każdy myśli o nim z pożądaniem. Przemek opowiadał też, co mówią mu politycy Koalicji Obywatelskiej. „Nie popełniajcie błędu. Nie idźcie tylko w jedną stronę. Miejcie drzwi w obie strony otwarte" – zagadują życzliwie prawdziwi demokraci. A chodzi im o pakt senacki Konfederacji z kaczystami. Mądre to słowa, bo wiadomo, że najlepsze drzwi to te obrotowe. Tak, Przemku, nie idźcie w jedną stronę. Bo jak śpiewał Tata Kazika: „Padniemy, ale zgódźmy się, że z tylu różnych dróg przez życie każdy ma prawo wybrać źle". Wy też!

Ileż głupoty na tym świecie! Nawet w Niemczech. Moralne mocarstwo zwariowało i nasi przyjaciele zza Odry kupują samoloty u tego strasznego Trumpa. F-35. Takie same kupił niejaki Błaszczak Mariusz z PiS, więc wiadomo, że są do kitu. Bo przecież wybitny specjalista od spraw wszystkich ***Ryszard Schnepf*** (dawniej Sznepf) dawno orzekł, że rosyjski samolot Su-55 jest lepszy. I o połowę tańszy!

eprasa.pl b4eba63ab8

Końskie telefony



KRZYSZTOF FEUSETTE

Tusk: Halo, kierwa, czy tam ktoś jest?
Kierwiński: Halo? A kto mówi? Bo jak powodzianie, to ja już nie...
Tusk: Nigdy nie byłeś. Pobudka!
Kierwiński: Co on znowu nawywijał?
Tusk: Nie Budka, tylko pobudka! Napadli nas!
Kierwiński: Ruscy?
Tusk: Jacy ruscy?! A po co?!
Kierwiński: No tak, nasz człowiek w Warszawie. Ale co się stało?
Tusk: Podpalili nam siedzibę! To znaczy – chcieli podpalić. Facet rzucił koktajlem Mołotowa!
Kierwiński: Kogo?
Tusk: Mołotowa, baranie. To jest butelka z benzyną. Podpalona! To znaczy tu nie podpalili, ale podobno Zembaczyński widział, że chcieli. Czymś, w każdym razie, rzucili. W drzwi!
Kierwiński: Akurat Zembaczyński nie jest dobrym źródłem informacji...
Tusk: Nie chodzi o niego, ale o sam fakt, że mogli. Już napisałem, że Kaczyński to podpalacz z Żoliborza. Jak ten człowiek potrafi dzielić Polaków!
Kierwiński: A jak Bronkowi groził sznurem i gałęzią?
Tusk: To nie on. I nie Bronkowi. Ty w ogóle interesujesz się polityką? Lepiej zacznij, bo niektórzy już cię widzą jako mojego następcę. Chciałbyś?
Kierwiński: Nie bardzo. Zresztą, jak znam pana premiera, jest to odpowiedź najwłaściwsza. Pan premier wie, że ja jestem, jaki jestem. Trzeba wysłać policję do pałacu prezydenckiego, to do kogo się dzwoni? Do „Kierwy", co nie? Albo spałować rolników. Albo pojechać do Brukseli. Ech, jak sobie przypomnę, jakie kiecki żona wtedy w internecie wybierała...
Tusk: Ja ci premiera nie wybierałem. Nie moja wina, że przyszła powódź. A ten podpalacz Kaczyński...
Kierwiński: Ostro. Tyle że on może napisać: „Morderca z Sopotu". No bo skoro już tak sobie przypisujemy, to tego Cybę też by trzeba jakoś...
Tusk: Co ty bredzisz?
Kierwiński: A to nie sąsiad Brejzy znowu?
Tusk: Ale co?
Kierwiński: No czy to nie on podpalił...
Tusk: Sam się podpaliłeś. Nikt niczego nie podpalił. Chodzi o akt terroru!
Kierwiński: A to przypadkiem nie ludzie Sienkiewicza?
Tusk: Przypadkiem nie. Nasza siedziba to nie jest rosyjska ambasada.
Kierwiński: No nie wiem...
Tusk: „Bobasie", to jest zło, rozumiesz?! To są kłamcy, cynicy i łajdacy. Chleją, biją żony i dzieci...
Kierwiński: A Józio mówił...
Tusk: Jaki znowu Józio?!
Kierwiński: No Bąk. Że go pan premier też czasem zdzielił po tyłku. Ale czym, to nie wiem.
Tusk: To nie jest twoja sprawa. Teraz trzeba wyłapać zamachowców.
Kierwiński: Ale jest tylko jeden.
Tusk: Może mieć kontakty. Jak Cyba zamordował, to Niesiołowski mówił, że wcześniej był u niego w biurze.
Kierwiński: Po instrukcje?
Tusk: Ty to masz pomysły. A co, Stefan taki nienawistnik czy co? Po prostu był i tyle. Może zapytać o drogę? Czuchnowski z „Wybiórczej" pisał, że to mógł być Leszek Miller.
Kierwiński: Aż taki jest?
Tusk: Chodziło o to, że to Miller mógł zginąć.
Kierwiński: Ale przecież Cyba krzyczał, że chciał Kaczyńskiego.
Tusk: Byłeś tam?! To co gadasz. Ty nie wiesz, do czego PiS jest zdolne! Czy ty sobie wyobrażasz, że oni prawdopodobnie chcieli podsłuchiwać moją żonę?
Kierwiński: O rany. Ale jak ten, no... Jak wiersze czytała?
Tusk: Kiedy ona coś czytała? Ona tylko pisze. I to takie rzeczy, że jak człowiek przeczyta, to się czuje jak jeleń.
Kierwiński: Że frajer?
Tusk: Że poroże, matole.
Kierwiński: No ja akurat nie znam żadnej Toli...
Tusk: To zaraz poznasz. Zrobisz teraz konferencję i powiesz tak: „Podżegacz z Żoliborza, to znaczy podpalacz, podsłuchiwał mi córkę...".
Kierwiński: Moją też?
Tusk: „Kierwa", jaki ty jest przyziemny. Żadnej nie podsłuchiwał. Chodzi o to, że służby podsłuchiwały Giertycha. 90 mln zniknęło z Polnordu, a on tam robił obsługę prawną. A ja powiedziałem Gosi, że jakby co, to żeby do niego dzwoniła, bo to jest nasz adwokat pierwszego kontaktu...
Kierwiński: Chciała rozwodu?
Tusk: Zamknij dziób i przyswajaj! Córce też tak powiedziałem...
Kierwiński: Żeby zamknęła.
Tusk: Żeby dzwoniła do „Konia", jak ją tabloidy napadną.
Kierwiński: No i co?
Tusk: No i jest pokrzywdzona.
Kierwiński: A co jej zrobił?
Tusk: On nic. Nie licząc faktury. No, ale to my już sobie z Romanem prywatnie rozliczamy.
Kierwiński: Ile bierze?
Tusk: Jeden immunitet plus jedno umorzenie. Niedrogo, jak na to, co on o nas wie.
Kierwiński: No, ale pan premier pewnie też ma na niego haki, co?
Tusk: Pan premier ma wszystko na wszystkich. Dlatego teraz grzecznie pójdziesz do łazienki, umyjesz ząbki, a potem zajmiesz się podsłuchami u moich najbliższych.
Kierwiński: Ale przecież ich nie było...
Tusk: A teraz mają być! Nie będę robił z gęby cholewy. A przy okazji – pamiętasz, co Bronek mówił Obamie: „Jak się idzie na polowanie, to pilnować trzeba żony!".
Kierwiński: To pan premier wtedy polował? A na co?
Tusk: Na sanki, kierwa!

eprasa.pl b4eba63ab8

Pegasus, córka i stara szkoła PR

Gdyby polityka była konkursem aktorskim, Donald Tusk dostałby Oscara za manipulowanie emocjami

Donald Tusk to człowiek wielu talentów: potrafi jednym zdaniem rozpalić emocje, zmienić zdanie z dnia na dzień i z minuty na minutę oraz jednym tweetem cofnąć kontrasygnatę. Kiedyś premier był też geniuszem PR, choć w ostatnim czasie te zdolności mocno osłabły albo Polacy gorzej łapią się na proste sztuczki. Gdy więc na horyzoncie pojawiły się czarne chmury – niezadowolenie społeczne, wściekli rolnicy, plajtujące szpitale, dziura budżetowa i spadające słupki poparcia dla całej koalicji – premier sięgnął po sprawdzony arsenał: rodzinne emocje i nutę dramatyzmu.

„Podsłuchiwali moją córkę Pegasusem!" – ogłosił z powagą, jakby zapowiadał kolejną część „House of Cards". Publiczność zamarła. Media wstrzymały oddech. Sama prokuratura szybko jednak obaliła tę narrację, wyjaśniając, że córka premiera nie była podsłuchiwana. Po prostu zadzwoniła do kogoś, kto był. A tym kimś był mecenas Roman Giertych. Ten od Polnordu. I tak, skrzecząc, rzeczywistość wpadła na scenę i przewróciła stolik z rekwizytami. A scenariusz był nieźle pomyślany: ojciec zatroskany o bezpieczeństwo córki, bezduszne pisowskie służby i on – samotny w walce ze złem.

Tyle że widownia w Polsce jest już trochę zmęczona powtórkami. Bo to nie pierwszy raz, gdy w chwili politycznej słabości Tusk sięga po emocjonalne rekwizyty. I jest w tym pewna konsekwencja. Szef rządu jak rasowy showman wyczuwa moment, gdy publiczność zaczyna się nudzić i natychmiast dorzuca coś nowego, by utrzymać napięcie. Problem w tym, że coraz więcej widzów zna już ten scenariusz na pamięć. Czyli gdy polityczna burza przybiera na sile, trzeba opowiedzieć historię, która zmiękczy serca. A ponieważ najlepiej działają tematy rodzinne, wybór był oczywisty. Córka, podsłuch, niesprawiedliwość – i już w oczach części widzów premier nie jest politykiem z problemami tylko ojcem walczącym z systemem. A trzeba mu oddać, że w opowiadane przez siebie dramy wchodzi z pełnym zaangażowaniem. Ton głosu, mimika, pauzy, nawet przecinki na platformie X – wszystko dopracowane. Gdyby polityka była konkursem aktorskim, Donald Tusk dostałby Oscara za manipulowanie emocjami.



Polityka to jednak nie teatr, a opinia publiczna w 2025 r. nie jest tą samą, co dekadę temu. Polacy stali się bardziej podejrzliwi, bardziej ironiczni, bardziej zmęczeni Tuskiem, coraz częściej weryfikują fakty, mają do wyboru szeroki wachlarz medialny. Coraz częściej reagują na takie opowieści wzruszeniem ramion i komentarzem: „OK, ale co z cenami energii, szpitalami czy pieniędzmi na naukę?". Widać to w sondażach, komentarzach i nastrojach. I może właśnie dlatego premier sięgnął po stary numer – zagrał na strunie, która kiedyś brzmiała donośnie, licząc, że może znów zadziała.

Dorzućmy do tego jeszcze dramę rozpętaną wokół ataku na siedzibę PO. Ludzie, którzy chcieli dorzynać watahę, strząsnąć ze zdrowego drzewa państwa pisowską szarańczę, wypatroszyć prezesa PiS, prezydentowi proponowali sznur, zrobili swoje motto polityczne z ośmiu gwiazdek z dnia na dzień zaczęli się brzydzić wulgaryzmami i udają, że uprawiają wyłącznie politykę miłości. A publiczność ma kupić bajeczkę o udręczonej hejtem pod własnym adresem Platformie, której lider osobiście podzielił przestrzeń publiczną na zło (PiS) i dobro (PO) oraz wyznaczył sobie za cel pokonanie tego zła, a teraz się dziwi, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Czy te chwyty znów zmylą publiczność? Raczej nie. Ale jak mawiają starzy PR-owcy: jak nie możesz poprawić wyników, popraw nastroje. Tylko jak długo Polacy mogą się nabierać na ten sam chwyt?

Dorota Łosiewicz

Uciekające pieniądze



Bundesbank szacuje, że w ub.r. wytransferowano z Niemiec ok. 7,7 mld euro. Wielu obcokrajowców, pracując w Niemczech, wspiera w ten sposób finansowo swoje rodziny w ojczyźnie. W ocenie Banku Światowego w 2023 r. było to nawet 23 mld euro. Sprawia to, że Niemcy lokują się po tym względem na czwartym miejscu – po USA, Arabii Saudyjskiej i Szwajcarii.

Sprawę opisał „Die Welt", zwracając uwagę na to, że często nie jest jasne, czy wysyłane z Niemiec pieniądze są częścią wynagrodzenia za pracę, czy też po prostu pochodzą ze świadczeń socjalnych. Aby to ukryć, pieniądze najpierw wypłaca się z konta, a potem wysyła je jeden z usługodawców. Zdaniem Dilipa Rathy, ekonomisty Bundesbanku, obcokrajowcy pobierający zasiłki wyprowadzają z Niemiec 10–20 proc. pobieranych przez nich świadczeń socjalnych. Obecnie ich standardowa stawka wynosi 563 euro miesięcznie, co oznacza, że z tej sumy za granicę może wypływać 56–112 euro od osoby.

Reporterzy opisali moment, gdy na początku miesiąca przed punktami firmy Ria Money Transfer ustawiają się długie kolejki, często do późnych godzin wieczornych, w których stoją ludzie oczekujący na wysłanie pieniędzy krewnym w swoich krajach. Przekaz wędruje do odbiorcy w kwadrans, a nie – jak w przypadku niemieckich banków – nawet do pięciu dni. Wpłaty są anonimowe, bo przelewy zagraniczne muszą być zgłaszane do Bundesbanku dopiero od kwoty 12,5 tys. euro. Koszty przelewu są też niższe niż w bankach, a do jego wykonania nie potrzeba posiadać konta.

Największy paradoks polega jednak na tym, że prywatny transfer pieniędzy jest wspierany przez federalne Ministerstwo Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, by „promować integrację finansową migrantów i ich rodzin". Według Federalnego Urzędu Statystycznego pieniądze najczęściej przesyłane są do Libanu (841 mln euro rocznie), Turcji (869 mln), Rumunii (698 mln), na Ukrainę (444 mln) i do Syrii (849 mln), a przekazy pieniężne są ważnym czynnikiem wspierającym lokalne gospodarki. W przypadku Libanu transfer tych środków przyczynia się do wytworzenia ok. 38 proc. PKB. Z kolei Niemcy w 2024 r. wydali na wypłaty zasiłków 46,9 mld euro, z czego ok. połowa trafiła do cudzoziemców. Nie jest jednak pewne, czy ta inwestycja kiedykolwiek się Niemcom zwróci.

Maciej Walaszczyk

Bunt młodych



Na Madagaskarze armia przyszła w sukurs zbuntowanej młodzieży. Siły zbrojne przejęły władzę po tym, jak prezydent Madagaskaru Andry Rajoelina uciekł z kraju, prawdopodobnie na pokładzie francuskiego samolotu przysłanego przez prezydenta Macrona.

Płk. Michael Randrianirina, który stanął na czele zamachu, oświadczył, że siły zbrojne przejmują władzę „na okres przejściowy", który w jego opinii potrwa dwa lata. W tym czasie mają być zawieszone wszystkie organy władzy, w tym parlament i Sąd Konstytucyjny. Zapowiedziano także referendum na temat zmian w ustawie zasadniczej, a na koniec nowe wybory.

Ucieczka prezydenta i przejęcie władzy przez armię zostały poprzedzone decyzją parlamentu o rozpoczęciu procesu impeachmentu głowy państwa, któremu demonstrująca od kilku tygodni młodzież zarzucała korupcję i zaniedbanie podstawowych obowiązków, co doprowadziło do ograniczenia dostępu do wody i energii elektrycznej dla ludności. Początkowo pokojowe protesty przekształciły się w starcia z siłami porządkowymi, w których zginęły – jak się szacuje – 22 osoby, a ponad 100 odniosło rany.

Prezydent Rajoelina próbował uspokoić sytuację, dymisjonując rząd, ale to nie uciszyło demonstrantów. Po trzech tygodniach zamieszek, którym towarzyszyła przemoc gangów, Sąd Konstytucyjny rozpoczął proces odsunięcia go od władzy, na co prezydent odpowiedział rozwiązaniem tego organu. O sukcesie protestujących przesądziła ostatecznie specjalna jednostka wojskowa CAPSAT, której dowódca płk Randrianirina polecił przyłączyć się do demonstracji.

Ciekawostką jest to, że zbiegły prezydent doszedł do władzy w wyniku zamachu stanu w 2009 r. wspierany przez tę samą formację wojskową, a w 2023 r. wszedł w konflikt z Randrianiriną, osadzając go na kilka miesięcy w więzieniu. Po zwolnieniu pułkownik nie wrócił oficjalnie do służby, jest więc zagadką, w jaki sposób stanął na czele oddziałów CAPSAT. Jedna z teorii głosi, że „działał nieoficjalnie", co może oznaczać, iż pucz był przygotowywany od pewnego czasu.

Główną inspiracją protestującej młodzieży na Madagaskarze były podobne wydarzenia, które doprowadziły do obalenia rządów w Nepalu, a wcześniej w Bangladeszu. Demonstracje pokolenia Z – młodych ludzi pozbawionych perspektyw – trwają obecnie w Indonezji, Maroku i na Sri Lance, co skłania obserwatorów do wskazywania globalnego zjawiska, jakim jest bunt młodzieży. W przypadku Madagaskaru, gdzie 75 proc. populacji żyje poniżej progu ubóstwa, mówienie o braku perspektyw wydaje się szczególnie uzasadnione.

Marek Budzisz

Fot. Simlinger/Shutterstock.com, Jenson/Shutterstock.com, Artush/Shutterstock.com

eprasa.pl b4eba63ab8

Raz, dwa! Do roboty!

Grecy będą pracować 13 godzin dziennie. Na razie przez maksymalnie 37 dni w roku. To recepta rządu w Atenach na niekorzystne zmiany demograficzne i niedobory wykwalifikowanej siły roboczej, zwłaszcza w sektorze usług turystycznych podczas wakacji.

Ustawa przewidująca wydłużenie dziennego czasu pracy została przyjęta w ostatni czwartek, głównie głosami rządzącej Nowej Demokracji przy sprzeciwie związków zawodowych oraz ugrupowań lewicowych. Nowe przepisy przewidują, że pracownicy mogą pracować do 13 godzin dziennie, jednak przez nie więcej niż 37 dni w roku. 13-godzinny dzień pracy powinien być dobrowolny i żaden pracownik nie powinien być zobowiązany do pracy w nadgodzinach. Ustawa wprowadza również możliwość dzielenia urlopu wypoczynkowego na więcej niż dwie części w ciągu roku, elastyczne grafiki oraz przyspieszone zatrudnianie za pośrednictwem aplikacji – wszystko po to, aby zaspokoić „pilne potrzeby firm". Minister pracy Niki Kerameus z Nowej Demokracji twierdzi, że nowe prawo „wzmocni sektor prywatny i pracowników".

Pracownicy są chyba innego zdania, o czym świadczy fala protestów i strajków, jaka w ostatnich tygodniach przetoczyła się przez Grecję. W tej chwili co piąty Grek pracuje ponad 45 godzin tygodniowo, co według Eurostatu jest najwyższym wskaźnikiem w Unii Europejskiej. Potwierdzają to również dane OECD. Wynika z nich, że w 2023 r. Grecja zajęła piąte miejsce na świecie pod względem liczby godzin pracy, ustępując jedynie Kolumbii, Meksykowi, Kostaryce i Chile.

Choć grecka gospodarka odbiła się po trwającym dekadę kryzysie finansowym, który rozpoczął się kryzysem zadłużenia w 2009 r., to jednak trudno mówić o wyraźnej poprawie standardu życia. Grecy nadal muszą spłacać trybut na rzecz europejskiego (zwłaszcza niemieckiego) kapitału, który od kryzysu zadłużeniowego wyssał już z Grecji ogromne pieniądze. Wprawdzie stopa bezrobocia, która podczas kryzysu osiągnęła 28 proc., spadła ostatnio do 8,1 proc. (średnia UE to 5,9 proc.), ale pensje nadal należą do najniższych w Unii. W rezultacie wielu Greków musi pracować na dwóch etatach, aby pokryć rosnące koszty utrzymania. Według danych z 2024 r. prawie połowa gospodarstw domowych w Grecji nie jest w stanie zaspokoić podstawowych potrzeb.

W tej sytuacji zniesienie ośmiogodzinnego czasu pracy (zwłaszcza w kontekście odwrotnej tendencji panującej w bogatych krajach Unii) doprowadzi – zdaniem związków zawodowych – do „zniszczenia życia rodzinnego i społecznego oraz zalegalizowania nadmiernej eksploatacji". „To rozwiązanie godne średniowiecza" – skomentowała nowe przepisy lewicowa partia Syriza.

Konrad Kołodziejski



Grecja



Chiny

Turystyka przemysłowa

W Chinach prawdziwy boom przeżywa turystyka przemysłowa. Jej główną atrakcją nie są pałace, zamki, galerie sztuki czy muzea, lecz fabryki samochodów, elektrownie atomowe, rozlewnie napojów lub gospodarstwa rolne.

Oblicza się, że w Państwie Środka istnieje ponad 1 tys. zakładów pracy, które poza codzienną produkcją posiadają także specjalną ofertę dla zwiedzających. Wizyta w niektórych koncernach przypomina wycieczkę do parku tematycznego z interaktywnymi eksponatami i multimedialnymi opowieściami. Dla dzieci są przeznaczone specjalne kąciki z zabawami i warsztatami edukacyjnymi.

Ten sposób spędzania wolnego czasu zyskuje coraz większą popularność wśród Chińczyków, którzy często wolą spędzić weekend w fabryce niż w centrum handlowym czy parku rozrywki. W wielu miastach, by zwiedzić atrakcyjne przedsiębiorstwo, bilet należy zarezerwować z olbrzymim wyprzedzeniem, np. na liście oczekujących do fabryki samochodów Xiaomi czeka się miesiącami. Wejściówki do niektórych koncernów są niezwykle drogie, np. za wizytę w firmie Unitree, produkującej roboty humanoidalne, można zapłacić równowartość ok. 360 euro.

Ten industrialny Disneyland to nie tylko jedna z wielu branż turystycznych. Ma on także wymiar wspólnototwórczy. Dla Chińczyków z pokolenia Z nowoczesne zakłady pracy to widoczny znak skoku cywilizacyjnego i postępu technologicznego, jaki dokonał się w kraju za ich życia. W tym czasie Chiny z biednego państwa przekształciły się w drugą gospodarczą potęgę świata, a obecnie rzucają wyzwanie Stanom Zjednoczonym. Wizyta w takich fabrykach buduje poczucie dumy narodowej i przynależności do szerszej wspólnoty, stając się zarazem deklaracją tożsamości.

W tym kontekście warto zadać pytanie, czy gdyby nasz kraj chciał rozwijać turystykę przemysłową, to jakie nowoczesne fabryki mógłby udostępnić zwiedzającym, aby budować w młodych Polakach poczucie dumy z osiągnięć własnego narodu.

Grzegorz Górny

Energetyczny cios w brukselskiego molocha: jak PiS rozświetliło Katowice

Miniona konwencja PiS w Katowicach 24–25 października okazała się prawdziwym wstrząsem dla skostniałego krajobrazu politycznego – jakby ktoś wreszcie podłączył Polskę do sensownego źródła prądu, zamiast polegać na kapryśnych wiatrakach brukselskich marzeń



Jako konserwatysta z krwi i kości siedziałem wśród setek ekspertów i praktyków, czując, jak wraca wiara w suwerenną Polskę. To nie była jakaś chaotyczna pogawędka, ale solidna, ekspercka debata z udziałem weteranów energetyki, ekonomistów i inżynierów – ludzi, którzy budowali bloki mocy, negocjowali kontrakty gazowe i liczyli emisje, zanim to się stało modne. Panele pękały w szwach od faktów, analiz i propozycji, a nie pustych sloganów.

Program energetyczny, który PiS wyłożyło na stół, to sześć żelaznych filarów – jak bastiony przed energetycznym chaosem. Obniżka cen prądu o 30 proc. dla każdego? Bon energetyczny do 1,5 tys. zł, by rodziny nie drżały przed rachunkami? Specjalne strefy energetyczne z ulgami i błyskawicznymi przyłączami dla przemysłu? To brzmi jak recepta na stabilność bazująca na kalkulacjach ekspertów, a nie na ideologicznych mrzonkach. PiS postawiło na racjonalny miks: węgiel jako tymczasowy most, atom jako przyszłość, a OZE – wiatraki czy panele słoneczne – traktowane z rezerwą, bo to zawodne gadżety, zależne od pogody i wymagające gigantycznych subsydiów. Eksperci na konwencji rozkładali to na czynniki pierwsze: wiatraki ładne w folderach, ale w praktyce generują prąd, kiedy im się chce, a ich instalacja to często ekologiczna fikcja, z betonowymi fundamentami dewastującymi krajobraz. To nie entuzjazm, tylko ostrożność – bo kto chce blackoutów w imię „zieleni"?

A teraz kontrast z obecnym rządem – to jak zestawić solidny piec węglowy z eko-zabawką, która działa tylko przy sprzyjającym wietrze. Oni ślepo wdrażają brukselskie dyrektywy, jakby Zielony Ład był eliksirem, a nie biurokratyczną trucizną.

Ceny prądu się podwoiły? To „niezbędna transformacja" – czyli płacimy bajońskie sumy, a Bruksela liczy emisje na papierze. ETS to kajdany, które duszą polskie inwestycje, faworyzując bogatsze kraje – eksperci na konwencji wykazali czarno na białym, jak system handlu emisjami blokuje rozwój, narzucając cele oderwane od naszej rzeczywistości. Zielony Ład? To administracyjna blokada – regulacje, które zabijają konkurencyjność, pchając OZE na siłę, bez rozbudowy sieci, co kończy się awariami i drożyzną. Bruksela, ten moloch biurokratów, traktuje Polskę jak peryferie do eksperymentów – zakazuje węgla, ale pozwala importować gaz od podejrzanych dostawców. Dowcip? To jak ekolog, który zakazuje plastiku, ale pakuje wszystko w folię – hipokryzja na skalę kontynentu!

PiS proponowało konkretne reformy UE – zawiesić ETS, mniej papierologii, modernizacja prawa konkurencji, przyspieszenie pomocy publicznej. Obecny rząd? Uległy, wdraża wszystko, jak leci, bez walki o polskie interesy.

Wyobraźcie sobie – za PiS strefy, w których przemysł kwitnie przy pewnej energii, a eksperci planują atomowe reaktory, redukując koszty o połowę dzięki synergetyce i LNG. Za obecnych? Rachunki jak z koszmaru, marzenia o atomie utknięte w unijnych procedurach, a OZE jako religia, nie narzędzie.

Konwencja – z jej panelami o „polskiej doktrynie energetycznej" czy „zielonym rachunku sumienia" – pokazała ekspertów w akcji: dyskusje o małych reaktorach, gazie jako filarze, transformacji górnictwa. To wizja konserwatywna – suwerenna, praktyczna, z zielenią w umiarze, bez fanatyzmu.

Czekamy na wybory, bo Polska zasługuje na prąd, a nie brukselski dyktat. A Zielony Ład? Niech sobie kwitnie w Brukseli – my wolimy solidne fundamenty.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl b4eba63ab8

Krótkowzroczność Zachodu



Marta Kaczyńska-Zielińska

Kilka dni temu do gdańskiego portu przybił chiński kontenerowiec Istanbul Bridge, który po raz pierwszy w historii przepłynął arktyczną trasą północną z portu Ningbo-Zhoushan w prowincji Zhejiang do Europy. Statek pokonał Northern Sea Route (NSR) – szlak prowadzący przez Morze Łaptiewów i Morze Karskie, powyżej koła podbiegunowego. Jednostce zajęło zaledwie 26 dni dotarcie z Chin do Wielkiej Brytanii, by przez Rotterdam i Hamburg przypłynąć do Gdańska. Polski port ma potencjał, by stać się głównym hubem w Europie Środkowej, zapewniając dostawy do krajów bałtyckich, Czech, Słowacji, Węgier i Ukrainy.

Pionierska trasa skróciła czas transportu o połowę: z 45–50 dni przez Kanał Sueski do niespełna czterech tygodni. Wydarzenie to urzeczywistniło chińską strategię Polarnego Jedwabnego Szlaku, która stanowi krótszą i bezpieczniejszą trasę między Azją a Europą niż przez Kanał Sueski, który z powodu swojego położenia jest podatny na blokady i konflikty. Kryzys na Morzu Czerwonym pokazał, jak szybko może wzrosnąć ryzyko. Arktyka nie zastąpi Kanału Sueskiego, ale stanie się sezonową alternatywą dla wybranych ładunków, pozwalającą zaoszczędzić czas i ominąć newralgiczne punkty w chwilach kryzysu.

Chiński Polarny Jedwabny Szlak to jednak nie tylko eksperyment żeglugowy. Testując trasy arktyczne z Rosją, Pekin buduje zapasową sieć korytarzy lądowych i morskich – zapewniając, że żaden pojedynczy punkt krytyczny nie sparaliżuje jego globalnego handlu. Rozszerzenie Inicjatywy Pasa i Szlaku na Arktykę po raz pierwszy przedstawiono w latach 2017–2018, a polityka arktyczna została wskazana jako priorytet w 14. Planie Pięcioletnim (2021–2025) i Wizji na 2035 r. Pekin tworzy wiele uzupełniających się korytarzy w Eurazji – lądowych i morskich – aby żadne zakłócenia nie mogły osłabić eksportowego potencjału kraju.

Chiny są państwem, które planuje daleko naprzód. Chińska polityka bazuje na cyklach planowania, a nie – tak jak zachodnia – na cyklach wyborczych. Przyjęcie pewnych elementów wolnego rynku w ramach polityki reform i otwarcia w Chinach miało miejsce za kadencji Deng Xiaopinga, który wdrożył je do planu pięcioletniego w 1981 r. Do XXI w. miliony miejsc pracy w zachodnim przemyśle przeniesiono do nowych fabryk w nadmorskich regionach Chin, co fundamentalnie przekształciło globalną gospodarkę. Chińczycy zdawali sobie jednak sprawę z tzw. pułapki średnich dochodów, która może powstać za sprawą wyczerpania możliwości oferowania niskich płac i braku innowacyjnego potencjału, pozwalającego na tworzenie wysokiej klasy dóbr i usług. Wykreowali więc nowe, strategiczne gałęzie przemysłu, o których po raz pierwszy oficjalnie wspomniano w 2010 r. Były to tzw. zielone technologie – pojazdy elektryczne i panele słoneczne itp. W miarę, jak opowieść o zmianach klimatycznych zyskiwała wpływ na kierunki polityki obierane na Zachodzie, Chiny przeznaczyły bezprecedensową ilość zasobów na rozwój wspomnianych gałęzi przemysłu. Dziś są nie tylko światowym liderem w dziedzinie odnawialnych źródeł energii i pojazdów elektrycznych, lecz także posiadają niemal monopol na łańcuchy dostaw pierwiastków ziem rzadkich, niezbędnych do ich produkcji.

Dominacja Chin nad tymi kluczowymi zasobami, które są również niezbędne do produkcji chipów, komputerów i sztucznej inteligencji (AI), otwiera drogę Państwu Środka do pozycji lidera w ich produkcji, niezależne od technologii zachodniej.

Chiny są światowym liderem pod względem liczby badaczy, międzynarodowych zgłoszeń patentowych i publikacji w wysokiej jakości czasopismach międzynarodowych. Ostatnio Pekin uruchomił komercyjnie nadprzewodzący komputer kwantowy. Chińskie firmy świadczą usługi obliczeń kwantowych m.in. w Europie. Centrum obliczeń kwantowych ma zostać wybudowane w Maladze. Włoska firma nawiązała współpracę z firmą z Shenzhen, aby rozwijać usługi obliczeń kwantowych dla instytucji akademickich i firm. W styczniu Uniwersytet w Perugii i Uniwersytet w Salerno otrzymały chińskie komputery kwantowe. Uzależnienie od chińskich technologii wzrasta.

REKLAMA



18/0925/F

eprasa.pl b4eba63ab8



Walizka dr. Bartosza Lewandowskiego

adwokata, doktora nauk prawnych

Mimo zamiłowania do historii, wybrałem karierę prawnika. Jednak nie zdawałem sobie sprawy, że ta droga po 2023 r. będzie tak szczególna. Mamy sytuację, w której rządząca koalicja przychodzi i „wysadza w powietrze" ustrój państwa, bo nie zgadza się, żeby pewne instytucje były w rękach osób, które nie pochodzą z ich nadania politycznego. Najlepszym przykładem jest przypadek szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego prof. Sławomira Cenckiewicza, któremu blokuje się dostęp do informacji niejawnych. Jeżeli premier z ministrami, rzecznikiem ministra koordynatora mówią wprost, że nawet gdy sąd prawomocnie uchyli decyzję o cofnięciu poświadczenia bezpieczeństwa prof. Cenckiewiczowi, to i tak nie uzyska on poświadczenia – a o tym decydują służby, nie sąd – to nie żyjemy już w państwie prawa... Ta jednoznaczna deklaracja pokazuje, że nie ma woli współpracy rządu z Kancelarią Prezydenta RP, a to wszystko w dobie działań wojennych za wschodnią granicą, wojny hybrydowej i operacji destabilizujących nasz kraj. To jest niepoważne i antypaństwowe. Uważam, że tak rozregulowano już instytucje państwa i działano z pogwałceniem konstytucji, że kolejna ekipa, która dojdzie do władzy, będzie miało wiele pracy przy rozliczaniu bezprawia. Przecież mówimy tutaj o wszystkich kluczowych instytucjach państwa: Sądzie Najwyższym, Trybunale Konstytucyjnym, Krajowym Biurze Wyborczym, Prokuraturze Krajowej... Nie zapominajmy o niewypłacaniu pieniędzy partii i komitetowi wyborczemu kandydata na urząd prezydenta, nielegalnym finansowaniu kampanii rządowego kandydata czy nawoływaniu do tego, żeby nie odebrać ślubowania od wybranego w demokratycznych wyborach prezydenta. Jest to bezprecedensowy po 1989 r. cały cykl działań, które *de facto* zmierzają do zmiany ustroju Rzeczypospolitej Polskiej.

ZEGAREK

Terminy odgrywają dla prawnika pierwszorzędną rolę. Zarówno kalendarz w kancelarii, jak i zegarek na nadgarstku pilnują deadline'ów, które się przyjmuje i które muszą być zrealizowane na czas. Uchybienie terminu w naszej profesji to katastrofa.





BRANSOLETKI

Od synów. Zakładam je nawet do pracy, gdy strój jest bardziej casualowy. Bardzo cenię sobie kolorowe bransoletki z napisem „Tata" (napis na tej od młodszego jest w drugą stronę – od prawej do lewej).

eprasa.pl b4eba63ab8





„BIORĄC PRAWA POWAŻNIE"

Ronald Dworkin to jeden z amerykańskich prawników, który jest omawiany chyba na każdych studiach prawniczych jako przedstawiciel oryginalnej integralnej koncepcji prawa. Osobiście uważam, że jest ona kompletnie oderwana od rzeczywistości, zwłaszcza dzisiaj, w dobie kryzysu praworządności w Polsce. W planach mam napisanie tekstu krytycznie odnoszącego do koncepcji Dworkina.



WPINKA

To prezent od starszego syna. Wpinkę przedstawiającą okulary przyniósł z przedszkola jako owoc handlu wymiennego z rówieśnikiem, bodajże za kamienie.



DŁUGOPIS I PIÓRO

To prezenty zarówno od mojej żony, jak i moich współpracowników z uczelni, które dostałem, gdy odchodziłem. Przyznaję, że charakter mojego pisma jest wątpliwy estetycznie.



WIZYTOWNIK

Nieodłączny atrybut podczas spotkań z klientami i kontrahentami.

ROMAN DMOWSKI

W ostatnim czasie wziąłem na warsztat myśl narodową i konserwatywną. Uważam, że Roman Dmowski jest jednym z najwybitniejszych polskich myślicieli politycznych. Wiele jego diagnoz sprawdziło się w latach 30. XX w. i mimo że były pisane 100 lat temu, są aktualne. Diagnozy i opis rzeczywistości Dmowskiego są trafne i pozwalają na przewidywanie tego, co się stanie w przyszłości. Przecież zjawiska historyczne są powtarzalne. Tę całą „gębę", którą mu przyprawiono od czasów sanacyjnych przez PRL po III RP i uczynienie z niego wielkiego antysemity, a wręcz rasisty, podobnego do narodowych socjalistów, jest absurdalne. Wystarczy sięgnąć do jego prac.





UCZELNIA

Bardzo lubiłem pracę dydaktyczną na uczelniach i dlatego w przyszłym semestrze z radością wracam do zajęć. Studenci potrafią zapytać o takie zagadnienie, które prowadzi do refleksji także wykładowców. Wydaje się nam, że prawo powinno być logiczne i racjonalne, a także przewidywalne. Później przychodzi praktyka i nagle się okazuje, że mamy jeden tekst ustawy, identyczny stan faktyczny i zupełnie rozbieżne orzeczenia sądów.



ZBIÓR KARNY

Zabieram na wszystkie rozprawy sądowe. Ciężki, nieporęczny zbiór, ale przynajmniej wszystko mam pod ręką.



RÓŻANIEC

Codziennie dziękuję Bogu za moją rodzinę, sukcesy zawodowe i to bardzo pomaga. Nabrałem przekonania, że ludzie, którzy żyją według pewnego porządku, są szczęśliwi. Cieszy mnie, że chrześcijanie w końcu przestali się bać wyrażać swoje poglądy.



TABLET

W kancelarii odstępujemy i systematycznie rezygnujemy z papierowych akt, ponieważ wszystko możemy mieć w jednym urządzeniu, co ułatwia pracę przy sprawach wielotomowych. Tablet to rzeczywiście okno na świat zawodowy – e-maile, kontakty, SMS, a oprócz tego prasa i dostęp do współczesnych dzienników prawnych.



ARMENIA

Od 2018 r. ze swoim wspólnikiem prowadzę spółkę adwokacko-radcowską. On jest Ormianinem, więc Armenia jest mi szczególnie bliska, nie tylko rodzinnie. Byłem w niej dwukrotnie – piękny kraj, wspaniali ludzie oraz pyszne jedzenie, ale tragiczna historia narodu

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, Shutterstock, materiały prasowe MOVADO

eprasa.pl b4eba63ab8

Zdarta płyta bez przeprosin



Samuel Pereira

Umiar bywa niepopularny, ale bywa też najskuteczniejszy. Ta stara prawda w obozie władzy mogłaby wywołać jedynie kpinę, gdy zamiast faktów i merytoryki mamy festiwal kłamstw i ciągłych „wojenek". Dwa razy skłamał i ani razu nie przeprosił – tak można streścić najnowszy popis Donalda Tuska. Najpierw rzuca insynuację w mediach społecznościowych, potem mamy długi, brudny cień kłamstwa i sprostowań. Premier ogłasza, że jego najbliżsi mieli być śledzeni, doprawia to docinkiem o „ochronie rodziny" oraz kpiną z tradycyjnych wartości – i machina pogardy oraz hejtu rusza.

Po kilku godzinach zamiast dowodów pojawiają się prostujące komunikaty – najpierw od zaufanego współpracownika, potem od rzecznika prokuratury. Ale o siewcy kłamstw cicho. Nie pada „przepraszam" czy choćby skromne „pomyliłem się". I kolejny raz syrena zawyła, ale nie z powodu faktów, tylko owoców projekcji premiera. Nagłówki Onetu mimo sprostowania brzmią jak wyrok – „potwierdzenia prokuratury", „inwigilowane rodziny" – i dalej kręci się grubą aferę, choć żadnej nie ma. A samo kłamstwo powszednieje. Nie prostują go też ci, którzy w rozedrganiu kolportowali tego fake newsa.

Gdy kolejny numer z Pegasusem nie zagrał, trzeba było wyciągnąć z lamusa frazes o „podpalaczu z Żoliborza". Refren z kampanii 2007 r. wraca jak bumerang: raz przy historii o kawiarni „Czytelnik", raz przy domniemanych podsłuchach – byle przykleić łatkę. Ale rzeczywistość nie chce się dopasować. W tle mamy wiecznie niepewnego rzecznika rządu, który gubi się w pytaniach o inflację, statystyki migracyjne czy Mariana Banasia – jak magnetofon zacięty na starej taśmie. Komunikacja rządu dziś skupia się na kłamstwach i manipulacji. Nie obcej agentury, ale własnych. A zaufanie gaśnie. Szłapka i jego szef, chcąc uchodzić za łowców dezinformacji, powinni zacząć od siebie: od własnych wpisów i prostego słowa „przepraszam". Polityka to nie kabaret na Wiertniczej, rachunek za improwizację płacą obywatele. I mają prawo oczekiwać jednego, bezdyskusyjnego standardu: uczciwości władzy i odpowiedzialności. Dużo wymagam?

Smutnych też zapraszam do kina



*Z aktorem **Bartłomiejem Kotschedoffem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Można powiedzieć, że szeroko pan sobie pogrywa – od „białych kołnierzyków" przez stróżów prawa po... wampira?

Bartłomiej Kotschedoff: Nie narzekam. Mam szczęście, że mogę grać bardzo różne postacie, bo też wachlarz moich możliwości – nieskromnie powiem – jest szeroki [ledwo widoczny uśmiech]. Dostaję do grania różne charaktery. To zazwyczaj nieduże rzeczy. Twórcy nauczyli się dawać mi role jedynie zarysowane, żebym rozwijał je w trakcie. Jestem facetem do robienia z tych postaci jakby „zupy z gwoździa" [znów zarys uśmiechu].

Tegoroczna jesień obrodziła pana rolami...

W TVP finiszuje serial „Drelich", gdzie mój bohater uwikłał się w skomplikowany układ. Na HBO Max – „Scheda" w reżyserii Ani Kazejak (bardzo dobrze napisany scenariusz i ciekawa intryga). Mamy trzeci sezon „Odwilży" w reżyserii Xawerego Żuławskiego. I do kin wszedł znakomicie przyjmowany debiut Pawła Podolskiego „Życie dla początkujących". Gram w nim postać przewrotnie optymistyczną – wampira pogrążonego w depresji, który nieoczekiwanie, także dla niego samego, odnajduje pozytywny sens swojego bytowania. Jego brak chęci do życia finalnie do życia zachęca. Więc zapraszam do kina także smutnych. Bardzo polecam to autorskie kino. Zrobione z sercem, zostawia ciepełko w sercach widzów.

Czy kolejne projekty – i pana w nich udział – przedłużą takie ciepełko?

Szykuje się jedna pozytywna postać i druga bardzo mroczna, ale o żadnej nie mogę jeszcze mówić.

Fot. Longfin Media/Shutterstock.com

Autopromocja

eprasa.pl b4eba63ab8

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

45 lat minęło...



Jan Pietrzak

Mija jubileuszowy rok Solidarności... Mogę się chyba pochylić nieco nad sierpniem 1980 r. Po raz pierwszy w życiu zacząłem grać kabaret bez zgody cenzury. Po prawdzie toczyły się rozmowy z Głównym Urzędem, pospiesznie pisane teksty były składane, ale cenzorzy nie chcieli niczego puścić, odmówić formalnie – też nie. Kabaret pod Egidą nie istniał, zakazany na amen od dwóch lat. I nagle pod wpływem strajkujących stoczniowców – zgłaszam premierę! Było to 25 sierpnia, kilka dni przed podpisaniem paktu Wałęsa–Jagielski.

Prawdopodobnie nikt nie wiedział, w którą stronę pójdą polskie sprawy, toteż nie wszystkich kolegów udało się przekonać, by przyłączyli się do ryzykownego projektu. Ale po kilku przedstawieniach, kiedy okazało się, że władza ludowa nas nie spałowała i nie rozpędziła, a publiczność wali drzwiami i oknami – chętnych do grania koleżków przybywało lawinowo.

Pierwszy „sierpniowy" skład tworzyły panie: Ewa Dałkowska, Joanna Żółkowska, panowie: Piotr Fronczewski, Wojciech Pszoniak, junior Jacek Kaczmarski oraz kapela Danusi Gawrych. Wygadywaliśmy rzeczy, jakich od Łaby do Władywostoku nikt wcześniej nie słyszał. Tytułem wstępu mówiłem tak: „Klasie robotniczej przez dziesiątki lat wmawiano, że w socjalizmie ona rządzi i wreszcie w to uwierzyła! Krzyczy teraz – »Socjalizm tak, wypaczenia nie!«. W tym momencie drogi kabaretu i klasy robotniczej się rozchodzą. Ja uważam, że wypaczenia TAK, socjalizm NIE! Wprowadźcie socjalizm na Saharę, po tygodniu piachu zabraknie! Każdy się teraz zastanawia, czy może być gorzej. Nie, bo jak by mogło, to już by było! Przyznajmy jednak, że decydentom znacznie się pogorszyło. Wystraszony aparat partyjny siedzi przy aparatach telefonicznych i jak tylko »teren« zadzwoni, pędzi podpisywać porozumienia. A to Spółdzielnia Pracy Grabarzy, a to Fabryka Gwoździ do trumny... W komitetach panika. Doszło do tego, że analfabeta nie będzie mógł być ministrem! Nie ma chętnych na stanowiska w »nomenklaturze«. Robole patrzą na ręce, kraść się nie da. A od Bieruta obowiązywał taki dekret dynastyczny, że nawet wnuki brały rentę za umysłowe inwalidztwo głównego debila w rodzinie. I to ma się skończyć... podobno!? Niełatwe jest życie decydentów. Kilku ważnych sekretarzy zamknięto, to wybuchły bunty więźniów. Normalni kryminaliści nie chcą siedzieć z szubrawcami. Ktoś krzyczał na wiecu, co trzeba zrobić, żeby w Polsce się poprawiło: »Powiesić komunistów i pomalować drzwi na biało«. »A dlaczego na biało?«. »A dlaczego nikt nie pyta o to pierwsze?«".

Z okazji jubileuszu Solidarności przypomniało mi się kilka zdań z tamtego programu kabaretu, który graliśmy do stanu wojennego. A ja czułem się wolnym człowiekiem. Zachłyśnięcie wolnością już nigdy nie powróciło. Np. obecny rząd z dumą nawiązuje do 13 grudnia. Premier zgłosił propozycję, by mnie zapuszkować. Poparły go liczne pińskie szumowiny. To byłby zaszczytny finał mojej działalności artystycznej pod hasłem: „Żeby Polska była Polską!".



eprasa.pl b4eba63ab8

Zmarł Andrzej Kołakowski



Śmierć była zawsze blisko Ciebie. Śpiewałeś: „Zdradzą Cię, Ojczyzno, jak dziewczynę/ Dzieci Twe utopią w rzekach krwi/ Nie giń Polsko... Ja za Ciebie zginę!/ Przecież kiedyś musi nadejść świt...” („Ballada o drugiej konspiracji”).

Na zdradę elit odpowiedziałeś słowami: „Już nie ma odwrotu, Ojczyzna sprzedana/ Ta rana się już nie zabliźni/ Więc rylcem na piersi trzy słowa wykuwam/ Śmierć wrogom Ojczyzny!” („Śmierć wrogom Ojczyzny”).

Brzydziłeś się kompromisem: „Tam, za murem, życie bardzo szybko mija/ Wszystkim, co przywykli do marchwi i kija/ Ja tu sobie siedzę i opalam nogi/ Na przekór doktrynie wciąż rozmawiam z Bogiem...” („Ballada o czterech ścianach”).

Lewackiemu mainstreamowi rzuciłeś prosto w twarz: „Nie po drodze mi z wami, poeci/ Bo wam duszę ktoś w plastik spakował/ Znak jakości przykleił na plecach/ Porozmieniał wam myśli na słowa...” („Nie po drodze mi z wami, poeci”).

W potrzebie szukałeś wsparcia w wierze: „Jezus był w naszym bloku, wszedł do klatki schodowej/ I po schodach się wspinał jak po drodze krzyżowej/ Widział mężczyzn pijanych i rozpustne kobiety/ Widział strach, co przed nosem pozamykał mu drzwi/ Widział mądrych i głupich, widział głuchych i ślepych/ Widział ludzi przykutych do ekranów TiVi...” („Jezus był w naszym bloku”).

Nawoływałeś do samodzielnego myślenia, bo przecież: „Odpowiedzi nie przychodzą nigdy same/ Wspomnij, jak zniknęły wieże World Trade Center/ Zadaj sobie kilka ważnych pytań/ Zanim Bóg się zdecyduje wcisnąć enter” („World Trade Center”).

Dziś zapewne nucisz sobie nostalgicznie: „Ty mnie ukryj, moja ziemio podhalańska/ Górski lesie, kołysz mnie do snu/ Tyle razy mnie chroniła ręka pańska/ Dziś mnie do raportu wezwał Bóg...” („Epitafium dla majora Ognia”).

Żegnaj, przyjacielu! Zostawiłeś nam w testamencie hymn: „Lecz przysięgaliśmy na orła i na krzyż/ Na dwa kolory – te najświętsze w Polsce barwy/ Na czystą biel i na gorącą czerwień krwi/ Na wolność żywych i na wieczną chwałę zmarłych...” („Przysięga”).

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: STACH ANTKOWIAK/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, RYS. MICHAŁ KORSUN, ANTON BREHOV/SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	**118** zł	**207** zł	**375** zł
Zagraniczna	**296** zł	**566** zł	**1099** zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl b4eba63ab8

Jak SKEF od 30 lat uczy Polaków mądrze gospodarować pieniędzmi

Finanse pod kontrolą

W czasach, gdy każda złotówka ma znaczenie, wiedza o finansach to nie luksus, lecz konieczność. Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej (SKEF) od prawie trzech dekad pomaga Polakom zrozumieć świat pieniędzy, unikać pułapek zadłużenia i budować bezpieczną przyszłość

EDUKACJA FINANSOWA – INWESTYCJA, KTÓRA ZAWSZE SIĘ OPŁACA

Coraz więcej polskich rodzin ma trudności finansowe. Przyczynami są nie tylko rosnące ceny i spadek wartości pieniądza, lecz także brak podstawowej wiedzy o zarządzaniu domowym budżetem. Właśnie dlatego edukacja finansowa powinna być dziś priorytetem – tak jak nauka czytania czy pisania. Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej (SKEF) w Gdyni już od blisko 30 lat działa na rzecz zwiększania świadomości ekonomicznej Polaków. Powstało z przekonania, że tylko wiedza i praktyczne umiejętności pozwolą skutecznie poruszać się w świecie finansów – od planowania domowego budżetu po decyzje o kredycie czy inwestycjach.



UCZYMY MĄDREGO PODEJŚCIA DO PIENIĘDZY

SKEF kieruje swoje działania do szerokiego grona odbiorców – od uczniów po dorosłych i seniorów. Szczególną wagę przykłada do edukacji młodzieży, która dopiero wkracza w dorosłość i potrzebuje praktycznych umiejętności finansowych.

Projekty realizowane przez Stowarzyszenie – dostępne na stronie www.skef.pl/projekty – obejmują tematy, takie jak:

- planowanie wydatków i oszczędzanie,
- praca i kariera zawodowa,
- inwestowanie, ubezpieczenia, kredyty.

To nie teoria, lecz praktyczne narzędzia, które pomagają unikać błędów i budować zdrowe podejście do pieniędzy.

POMOC DLA ZADŁUŻONYCH I ZAGROŻONYCH WYKLUCZENIEM FINANSOWYM

Edukacja to jedno, ale SKEF pomaga również tym, którzy już znaleźli się w tarapatach finansowych. W ramach ośrodków doradztwa finansowego i konsumenckiego (ODFiK) Stowarzyszenie oferuje bezpłatne wsparcie osobom zadłużonym – od analizy sytuacji przez przygotowanie dokumentów aż po konkretne wskazówki, jak wyjść z długów i odzyskać równowagę.

Działa także Pogotowie dla Zadłużonych (www.pogotowiedlazadluzonych.pl), które udziela porad prawnych i finansowych oraz pomaga w przygotowaniu wniosków o upadłość konsumencką.

W EUROPEJSKIEJ SIECI WSPARCIA

SKEF jest współzałożycielem Europejskiej Sieci Zadłużenia Konsumenckiego (European Consumer Debt Network) – organizacji zrzeszającej ekspertów z całej Europy zajmujących się walką z nadmiernym zadłużeniem i wykluczeniem finansowym. Dzięki temu polskie doświadczenia w zakresie edukacji i doradztwa finansowego stają się częścią międzynarodowej wymiany dobrych praktyk.

KAŻDY MOŻE DOŁĄCZYĆ DO MISJI SKEF

Działalność Stowarzyszenia to nie tylko edukacja i doradztwo – to również konkursy i inicjatywy angażujące członków w popularyzację wiedzy ekonomicznej. Do SKEF może wstąpić każdy, kto chce wspierać ideę świadomego gospodarowania finansami. Symboliczna składka – zaledwie złotówka miesięcznie – pomaga rozwijać programy edukacyjne i wspiera tych, którzy znaleźli się na finansowym zakręcie. Bo edukacja finansowa to nie przywilej – to prawo każdego z nas.

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Artykuł sponsorowany | 20/0925/F

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b4eba63ab8

Kłamcy i Oszuści

Skutki rządów Donalda Tuska i koalicji 13 grudnia mogą się okazać gorsze, niż poczynania zaborców



STANISŁAW JANECKI

Po partyjnym kongresie Platformy Obywatelskiej z 25 października 2025 r. za pewnik można uznać słynną maksymę Giuseppe Tomasi di Lampedusy z „Lamparta": „Jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak jak jest, wszystko musi się zmienić". Konsolidacja partii Donalda Tuska z Nowoczesną i Inicjatywą Polską jest kompletnie bez znaczenia, podobnie jak zmiana nazwy, logo, gadżetów czy wymiana partyjnych legitymacji. To nadal będzie twór służący Tuskowi i umacniający jego władzę. Coraz bardziej dyktatorską i zamordystyczną, także w kwestii sposobu rządzenia Polską. Nie będzie żadnego nowego otwarcia, gdyż piętno Tuska jest nie do wytarcia, tak samo jak jego odciski palców czy DNA. Będzie nowe po staremu, tylko bardziej.

Dwa lata po wyborach parlamentarnych premier Donald Tusk i jego rząd są postrzegani jako zużyci, niesprawni, marnujący szanse Polski i Polaków. A są tacy m.in. dlatego, że kłamią i oszukują. Nie incydentalnie, lecz systemowo. Większość Polaków uważa, że rządzi nimi zły rząd i zły premier. Prawdopodobnie najgorszy po 1989 r.

W badaniu IBRIS dla Onetu (19–20 września 2025 r.) negatywną ocenę szefa rządu wyraziło 53,3 proc. badanych (pozytywną – 39,7 proc.). W sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski (10–12 października 2025 r.) 50,9 proc. ankietowanych opowiedziało się za zmianą premiera (tylko 14,1 proc. sprzeciwiło się zmianie). W badaniu IBRIS dla „Rzeczpospolitej" (10–11 października 2025 r.) aż 65,4 proc. respondentów przyznało, że koalicja 13 grudnia rządzi gorzej, niż się spodziewali, a jedynie 3,3 proc. respondentów uznało, że władza jest sprawowana lepiej, niż się spodziewali. Z badania CBOS (11–22 września 2025 r.) wynika, że niezadowolonych z kierunku zmian w kraju pod rządami Tuska jest 44 proc. badanych (zadowolonych jest 31 proc.), a odsetek przeciwników gabinetu (46 proc.) znacznie przekracza odsetek jego zwolenników (29 proc.).

Rząd kłamców i oszustów uznaje za swój sukces przywrócenie do służby żołnierzy „niesłusznie zwolnionych po 2015 r.": od 12 grudnia 2023 r. do 8 maja 2025 r. do zawodowej służby wojskowej przywrócono 2040 żołnierzy (384 oficerów, 844 podoficerów i 812 szeregowców), którzy zostali zwolnieni w latach 2015–2023. Tyle że to często zasłużeni towarzysze albo ludzie ze służb PRL.

Jednocześnie „przyjaciele wsioków" chcą postawić przed Trybunałem Stanu Andrzeja Dudę, Mateusza Morawieckiego, Piotra Glińskiego, Jacka Sasina, Zbigniewa Ziobrę, Adama Glapińskiego czy Macieja Świrskiego. A procesy karne chcą wytoczyć Jarosławowi Kaczyńskiemu, Łukaszowi Szumowskiemu, Antoniemu Macierewiczowi.

CICHA ZGODA NA RELOKACJE I MERCOSUR

Gdy chodzi o najnowsze przykłady systemowego okłamywania i oszukiwania Polaków przez rząd Tuska, są nimi kwestie przymusowej relokacji imigrantów (w ramach paktu migracyjnego, który wejdzie w życie w połowie 2026 r.) oraz umowy z krajami Mercosur.

„Mówiłem, że nie będzie w Polsce relokacji migrantów i nie będzie! Załatwione. [...] Że zaostrzymy przepisy wizowe i azylowe – i Polska stała się wzorem dla innych" – napisał 11 października 2025 r. Donald Tusk na platformie X. To kłamstwo, a co najmniej manipulacja. 15 października 2025 r. Komisja Europejska nie opublikowała – choć powinna – raportu ustalającego m.in., które kraje UE podlegają silnej presji migracyjnej i w związku z tym mogą być wyłączone z paktu migracyjnego. Zapewnienia Tuska są więc puste. A decyzje mają być podejmowane co roku, czyli nie ma nawet cienia pewności, jak Polska zostanie potraktowana w kolejnych latach. Jednym z powodów opóźnienia publikacji raportu migracyjnego są przedterminowe wybory w Holandii (29 października 2025 r.) – to znaczy, że Komisja Europejska nie chce zaszkodzić „swoim". Podobnie będzie w wypadku polskich wyborów parlamentarnych w 2027 r.

eprasa.pl b4eba63ab8



Fot. Andrzej Wiktor

Polityka migracyjna to stek kłamstw i oszustw, także w sposobie jej przedstawiania przez Donalda Tuska i jego ministrów. Gdy szef MSWiA Marcin Kierwiński zapewniał 14 października 2025 r., że „Polska przez wiele lat będzie zwolniona z mechanizmów relokacji migrantów", zwyczajnie blefował. Nie wiadomo na pewno, czy w ogóle i na jak długo Polska byłaby wyłączona z mechanizmu solidarnościowego, jeśli Komisja uzna, że dotychczasowe przesłanki (uchodźcy z Ukrainy, presja na granicy polsko-białoruskiej) ustały. Rząd nie przedstawił wiarygodnych gwarancji, że w najbliższym i kolejnych raportach migracyjnych KE wyjątkowa sytuacja Polski będzie uwzględniana, a opowiadać można dowolne „głodne kawałki". Tusk i Kierwiński puszą się, że niezależnie od tego, czy w przyszłości będziemy zwolnieni z mechanizmu solidarnościowego, czy nie, to nie przyjmiemy żadnego migranta w ramach relokacji. Nikt poważny w to nie wierzy. A prezydent Karol Nawrocki wskazuje drogę: „Pakt migracyjny to niebezpieczeństwo dla Polaków, dlatego musi być jednostronnie wypowiedziany". Tyle że rząd Tuska tego nie zrobi.

> Tusk i Kierwiński puszą się, że niezależnie od tego, czy w przyszłości będziemy zwolnieni z mechanizmu solidarnościowego, czy nie, to nie przyjmiemy żadnego migranta w ramach relokacji. Nikt poważny w to nie wierzy

Premier i jego gabinet oszukują i kłamią także w kwestii umowy z krajami Mercosur. 28 czerwca 2019 r. strony osiągnęły porozumienie polityczne w tej sprawie, ale dopiero 6 grudnia 2024 r., po roku rządów Tuska, sfinalizowały szczegóły techniczne i prawne. Obecnie chodzi tylko o implementację przepisów. Raczej przesądzona jest zgoda Parlamentu Europejskiego, podobnie jak decyzja na poziomie Rady UE, gdzie potrzeba co najmniej 55 proc. głosów krajów członkowskich reprezentujących 65 proc. populacji Unii. Obecnie istnieje taka większość, gdyż umowie stanowczo sprzeciwiają się tylko Węgry, Irlandia, Austria i Rumunia, a Francja i Włochy raczej zostaną przekupione przez zwolenników układu. Rząd Tuska niczego konkretnego zaś nie osiągnął, tylko mydli oczy. Może dlatego, że na umowie najwięcej skorzystają Niemcy. Francja wprowadziła do niej dodatkowe zabezpieczenia i limity, Polska – żadnych. Układ doprowadzi do zalania polskiego rynku produktami wątpliwej jakości z Ameryki Południowej, które będą mogły omijać wiele restrykcyjnych norm. Ewa Zajączkowska-Hernik, eurodeputowana Konfederacji, zarzuciła premierowi, że jego sprzeciw jest pozorny i że zgadza się on na „wykończenie naszego rolnictwa".

Komisja Europejska chce, by umowa z Mercosur została przyjęta większością głosów, bez zgody parlamentów

eprasa.pl b4eba63ab8

narodowych. Polska nie będzie mogła jej zablokować, a rolnicy nie będą mieli wpływu na tę decyzję. Nasz kraj zaleją towary produkowane po znacznie niższych kosztach, bez przestrzegania norm bezpieczeństwa, środowiskowych i dotyczących dobrostanu, które obowiązują rolników w UE. Komisja Europejska dąży do tego, by Rada UE przyjęła umowę przed końcem 2025 r. I raczej tak się stanie, bo rząd Tuska tylko gada, a żadnych realnych zabezpieczeń dla Polski nie załatwił.

PRAWORZĄDNOŚĆ WEDŁUG ŻURKA

Stekiem kłamstw i oszustw jest „przywracanie praworządności" przez ministra Waldemara Żurka. Dowodzi tego m.in. dr Bartosz Pilitowski, szef fundacji Court Watch Poland, monitorującej polskie sądy. W rozmowie z Grzegorzem Sroczyńskim (dla gazeta.pl) dosłownie rozniósł na strzępy „reformy" Żurka. W istocie są one oszukiwaniem zarówno obywateli, jak i sędziów. Zdaniem Pilitowskiego Żurek „przekracza kolejne czerwone linie. Nie stosuje się do ustaw. Mówi: moim zdaniem ten czy tamten przepis nie obowiązuje. W ten sposób władza wykonawcza – politycy, rząd – przejmuje nad nami ogromne władztwo, jakiego nigdy nie miała". Waldemar Żurek „wydał rozporządzenie, że składy sędziowskie mogą być wyznaczane nie losowo, ale według dowolnych zasad, jakie sobie ustalą prezesi sądów". A wcześniej wymienił tych prezesów na „ludzi zaufanych" i zrobił to z pominięciem przepisów ustawy. W tym wszystkim chodzi o to, że „sędzia przy wydawaniu wyroku ma prawo pominąć jakiś przepis, jeśli zorientuje się, iż ten przepis jest sprzeczny z zasadami wyższego rzędu, na przykład z konstytucją. […] Jeżeli politycy – ministrowie, premierzy, urzędnicy – zaczną się brać za badanie konstytucyjności ustaw, to wezmą do rąk instrument o mocy bomby atomowej. Przychodzi jakiś minister i twierdzi, że ta czy tamta ustawa jest, jego zdaniem, niekonstytucyjna, więc on te przepisy pomija". Efekt będzie taki, że „władza wykonawcza zostanie zupełnie pozbawiona granic i obowiązków, jakie nakłada na nią prawo".

Dr Pilitowski zauważył, że „Żurek idee rozproszonej kontroli konstytucyjnej rozszerzył na władzę wykonawczą". I teraz to samo „może zrobić każdy minister, każdy urzędnik". Nic nie znaczy to, że Europejska Konwencja Praw Człowieka mówi o prawie do sądu ustanowionego ustawą. W Polsce Tuska i Żurka sąd nie będzie ustanowiony ustawą, nie będzie nawet ustanowiony rozporządzeniem ministra, bo „Żurek nie wpisał tam zasad. To będzie sąd ustanowiony na podstawie widzimisię prezesa sądu. Każdy sąd będzie miał inne reguły ustalania składów w procesach odwoławczych, bo w każdym sądzie prezes będzie mógł coś innego wymyślić. Czy prezes jest organem ustawodawczym w Polsce? Nie jest".

> „Przywracanie praworządności" przez ministra Waldemara Żurka jest w istocie oszukiwaniem zarówno obywateli, jak i sędziów. Dlaczego? Bo Żurek nie stosuje się do ustaw i przekracza kolejne czerwone linie. Wkrótce Polacy będą mogli już tylko pomarzyć o uczciwym procesie

BAJKI O WOLNEJ KWOCIE OD PODATKU

Premier Tusk i jego rząd od dwóch lat kłamią i oszukują w kwestii kwoty wolnej od podatku w wysokości 60 tys. zł. Ta obietnica nie zmieściła się w budżecie na 2025 r., nie zmieści się w budżecie na 2026 r. (już w lipcu 2025 r. poinformował o tym minister finansów i gospodarki Andrzej Domański), podobnie jak w budżecie na 2027 r.

W kampanii wyborczej w 2023 r. Koalicja Obywatelska obiecała, że podniesie kwotę wolną od podatku z 30 tys. do 60 tys. zł. Tyle że to oszustwo, gdyż Ministerstwo Finansów nie chce tak dużego ubytku dla budżetu. Minister Domański mami Polaków, iż rząd rozważa podnoszenie kwoty wolnej np. o 10 tys. zł rocznie, ale to wynika tylko z taktyki wyborczej. A przecież miało być 60 tys. zł, i to już w czasie pierwszych 100 dni urzędowania gabinetu Tuska. Dr hab. Michał Myck, dyrektor think tanku ekonomicznego Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA, wyliczył, że kwota wolna podniesiona do 60 tys. zł oznaczałaby stratę dochodów dla sektora finansów publicznych w wysokości 45 mld zł rocznie, na co rząd Tuska nie pójdzie, bo i tak ma budżetowy nóż na gardle. Z tej perspektywy obietnica wydaje się oszustwem zaplanowanym z premedytacją, żeby zyskać głosy w wyborach parlamentarnych w 2023 r., co się udało.

BZDURY O IMIGRANTACH

Bodaj największym kłamstwem i oszustwem Tuska oraz jego żołnierzy – wciąż powtarzanym – jest sprawa sprowadzonych rzekomo przez rząd Mateusza Morawieckiego setek tysięcy imigrantów, szczególnie z Afryki i państw muzułmańskich. To kłamstwo i oszustwo rozniósł w pył na portalu OKO.press Piotr Pacewicz, wcześniej nieznany jako przeciwnik Tuska i Platformy Obywatelskiej. Okazuje się, że liczba wiz pracowniczych dla osób z „innych krajów" (tych samych, które premier i spółka wskazywali jako muzułmańskie i niebezpieczne) „zdecydowanie rośnie od czasów PiS (niecałe 30 tys.), do 68 tys. w I półroczu 2024 r. i 56,9 tys. w I półroczu 2025 r.". Za rządów Tuska, w I połowie 2024 r., „drzwi do pracy zostały cudzoziemcom otwarte szerzej niż w I połowie 2023 r. Na osiem krajów pięć odnotowało wzrost liczby wiz. W tym Indie aż sześciokrotny, Turcja i Kazachstan – pięciokrotny, a Gruzja – dwuipółkrotny". W I połowie 2023 r. wszystkich wiz pracowniczych (poza tymi dla Ukraińców i Białorusinów) było tylko 30 tys., w 2024 r. – już ponad dwa razy więcej (68 tys.), a w 2025 r. – niewiele mniej niż w 2024 r. (57 tys.).

Katarzyna Lubnauer kłamała jak najęta (jeszcze w październiku 2025 r.),

eprasa.pl b4eba63ab8

twierdząc, że za czasów rządu Mateusza Morawieckiego wydano 2,87 mln wiz pracowniczych (47 proc. wszystkich wiz pracowniczych dla obcokrajowców w UE), z tego 366 tys. dla „osób z Afryki i krajów muzułmańskich". Epatowała liczbą 46 tys. pracowników z Indii, a okazało się, że chodziło o tyle zezwoleń na pracę – faktycznie wydano zaledwie 3404 wizy, czyli 13 razy mniej. Za rządów Tuska ogólnie zezwoleń na pracę jest więcej niż wtedy, gdy rządził Morawiecki: w 2022 r. – 134,2 tys., w 2023 r. – 140,6 tys., w 2024 r. – 171,1 tys., a w 2025 r. – już 143 tys.

Kłamcy i oszuści z rządzącej obecnie koalicji sami się zapędzili w kozi róg, gdyż okazuje się, że o ile za rządów PiS pracownicy z Afryki i państw muzułmańskich stanowili 19 proc. tych, którym przyznano wizy pracownicze, to za trzeciego rządu Tuska – 33 proc. w 2025 r. i 32 proc. w 2024 r. Piotr Pacewicz tak próbował wbić te dane do głów Katarzyny Lubnauer i Witolda Zembaczyńskiego: „Demagogiczne traktowanie zezwoleń na pracę jako wiz i nieuwzględnianie tego, że masowe zatrudnienie osób z Ukrainy wypadło ze statystyk zezwoleń pozwalało już w kampanii wyborczej 2023 r. rozwijać fantazje o »masowej migracji z Azji i Afryki« w czasach PiS, z ksenofobicznym czy wręcz rasistowskim podtekstem". A lista „sześciu feralnych krajów Zembaczyńskiego i Lubnauer to kolejna wersja fake newsów o »zalewie setek tysięcy migrantów z Azji i Afryki« itd. »Według ustaleń kontroli posłów [ówczesnej] opozycji w MSZ w latach 2021–2023 wizy pracownicze wydano między 250 a 350 tys. osób z Pakistanu, Bangladeszu, Iranu, Iraku czy Nigerii« – słyszeliśmy przed wyborami 2023 r. Tymczasem chodziło o zezwolenia na pracę, zresztą nawet te liczby się nie zgadzały".

WIARYGODNI INACZEJ

„Tylko ludzie wiarygodni mogą formułować tak konkretne propozycje" – mówił Donald Tusk przed wyborami parlamentarnymi, odnosząc się do 100 konkretów na 100 pierwszych dni rządów. W 100 dni ci „wiarygodni ludzie" zrealizowali zaledwie kilka „konkretów". „Jeżeli [»ludzie wiarygodni«] zapowiadają coś, o czym z góry wiedzą, że to jest nie do zrealizowania, to wtedy to jest operacja manipulacyjna" – oceniał Jarosław Kaczyński, prezes Prawa i Sprawiedliwości.

Koalicja Obywatelska zapisała w swoich konkretach likwidację 42 stanowisk w rządzie – ministrów, wiceministrów i pełnomocników. Nawet po rekonstrukcji rząd premiera Donalda Tuska jest najliczniejszy po 1989 r. „Przez trzy miesiące zrobiliśmy więcej niż jakikolwiek rząd wcześniej w historii III RP" – żartował Donald Tusk.

ZWIJANIE CPK I ANTYEDUKACJA

W czerwcu 2024 r. Tusk zapowiedział „realizację Programu Centralnego Portu Komunikacyjnego". I mamił Polaków, że „program CPK będzie trójskokiem w nowoczesność. Po pierwsze, Koleje Dużych Prędkości, które najpierw połączą Warszawę, Łódź, Poznań i Wrocław. Po drugie, centralny port lotniczy w Baranowie przy jednoczesnej rozbudowie sieci lotnisk regionalnych. Po trzecie, rozwój Polskich Linii Lotniczych LOT, aby stały się jednym z wiodących przewoźników". Rządzący zapewniają, że „budowa powinna ruszyć jeszcze w 2026 r., a pierwsze samoloty odlecą z CPK w 2032 r.". To wszystko bajki, a projekt został tak okrojony, że niezrealizowane zostaną zakładane funkcje, np. w zakresie przewozów cargo czy jako centrum operacji wojskowych w razie agresji. Tusk i Trzaskowski zarzucali rządowi PiS „gigantomanię", a sami postawili na mikromanię.

Kłamstwa i oszustwa w systemie edukacji zdemaskowała na portalu wPolityce.pl Hanna Dobrowolska z Ruchu Ochrony Szkoły/Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły. Chodzi o fundamentalną transformację systemu oświaty, co jest maskowane nowomową o projekcie „Reforma26. Kompas Jutra – nowa szkoła dla nowego pokolenia". Chodziło o usunięcie 20 proc. treści z podstawy programowej z 18 przedmiotów, likwidację prac domowych, likwidację nauczania historii współczesnej (HiT) oraz wychowania do życia w rodzinie i wprowadzenie w ich miejsce „skażonej klimatyzmem edukacji obywatelskiej oraz antyedukacji antyzdrowotnej mającej rozseksualizować dzieci". Efektem będzie „oddanie suwerenności polskiej szkoły pod zarząd z Brukseli w ramach Europejskiego Obszaru Edukacji". To ma być „gwarantem opanowania serc i wyprania mózgów kolejnych pokoleń polskich dzieci".

> Koalicja Obywatelska zapisała w swoich konkretach likwidację 42 stanowisk w rządzie – ministrów, wiceministrów i pełnomocników. Ale nawet po rekonstrukcji rząd premiera Donalda Tuska jest najliczniejszy po 1989 r.

Kłamcom i oszustom w edukacji chodzi o „przeprowadzenie transformacji, która całkowicie zmieni paradygmat szkoły. Wówczas już tylko krok do utraty suwerenności oświaty na rzecz organów decyzyjnych ulokowanych poza granicami Polski, czyli do przejęcia polskiej szkoły przez Europejski Obszar Edukacji".

To, co się dzieje w edukacji, jest wytyczną dla zarządzających nauką, kulturą, mediami. Rządy Tuska chcą przekształcić te dziedziny w narzędzia politycznej kontroli i powszechnego ogłupiania. A w ochronie zdrowia doprowadzą do tego, że nikt nie będzie czuł się bezpiecznie. Wiele wskazuje na to, iż skutki rządów kłamców i oszustów mogą się okazać gorsze, niż poczynania zaborców.

eprasa.pl b4eba63ab8



Młodzi kontra Tusk

Partia Tuska jest otoczona starzejącymi się ludźmi, którzy przeżyli już większość swojego życia, a teraz zaciekle bronią własnej pozycji i stanu posiadania. To prowadzi do nieuchronnego konfliktu z młodym, ambitnym pokoleniem Polaków



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Na szczęście nie uwierzyłem, że jestem skończony, za stary i nie wiem na czym polega polityka” – powiedział Donald Tusk. W ten sposób 68-letni premier wyjaśniał 62-letniemu Kubie Wojewódzkiemu, dlaczego zdecydował się powrócić do władzy. Relacja ze spotkania dwójki mocno już dojrzałych panów, którym towarzyszył Piotr Kędzierski (43 lata, a więc młokos w tym towarzystwie), została opublikowana przez portal Onet.

Jednak rzeczywistość przeczy temu, co powiedział Tusk. Powinien był raczej uwierzyć w opinie, że nie nadaje się do rządzenia. Bo choć zaawansowany wiek wcale nie musi być przeszkodą w pełnieniu ważnych funkcji (niekiedy jest nawet wskazany), to akurat w jego przypadku stanowi poważny, z roku na rok pogłębiający się problem.

Już u progu swojej politycznej kariery Tusk zdradzał charakterologiczne defekty, takie jak zawiść, krętactwo czy ponadnormatywna – nawet jak na standardy panujące w polityce – obłuda. Z wiekiem te cechy zaczęły się nasilać, aż Tusk popadł w obsesję, która w końcu przejęła nad nim kontrolę. Być może dodawało mu to energii, ale zarazem stanowiło poważne ryzyko dla państwa. Nie jest bowiem obojętne, czy na czele rządu stoi człowiek przytomny i o chłodnym umyśle, czy też poszukujący zemsty, zrzędliwy fiksat.

POPISY DZIADERSÓW

Tusk nie potrafi pogodzić się z tym, że jest coraz starszy i coraz bardziej stetryczały. Po ludzku to zrozumiałe, ale dyskwa-

Fot. Wojciech Stróżyk/REPORTER

eprasa.pl b4eba63ab8

lifikuje go to jako polityka odpowiadającego za losy państwa. Zatrzymał się w miejscu i nie dostrzega, że świat wokół się zmienił. Wciąż próbuje tych samych tandetnych zagrywek i dziwi się, że już nie działają.

Po fatalnym występie w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie przemawiał do najbardziej sekciarskiego elektoratu (jedna z jego wyznawczyń była dumna z tego, że ludzie nazywają ją „k...wą Tuska") i gdzie ku jego osłupieniu zaatakowały go lewackie aktywistki, postanowił się pokazać z innej strony. Jako równy gość, który nie boi się rozmowy i z którym można pogadać w zasadzie o wszystkim. Wywiad – pierwszy od kilku miesięcy – miał mieć szeroki rezonans, dlatego powierzono go Kubie Wojewódzkiemu. Widocznie ktoś uznał – być może sam premier – że marka Wojewódzkiego zagwarantuje rozmowie odpowiedni blask i prestiż, a Tusk wyjdzie z niej odświeżony niczym pacjent po dawce botoksu.

Jednak ta operacja – jak zwykle bywa w takich przypadkach – nie przyniosła pożądanego efektu. Bo jedynie ktoś, kto 30 lat temu zatrzymał się w miejscu i od tamtej pory nie pogodził się z upływem czasu, mógłby pomyśleć, że Tusk jest energicznym politykiem w kwiecie wieku, a Wojewódzki to wyluzowany idol młodzieży. Prawda jest bowiem taka, że Tusk jest emerytem, a jedyny luz, z którego pozostaje znany Wojewódzki, to luz w jego spodniach.

Znany na platformie X kpiarz i komentator polityczny podpisujący się jako Memcenas Pingwin porównał Wojewódzkiego, Tuska i Kędzierskiego do facetów, z których ten pierwszy „nie może zrozumieć, że nie ma już 20 lat", drugi przypomina „menedżera średniego szczebla w kryzysie wieku średniego", a ostatni „typa, co cały czas mieszka z matką i jest przez nią ubierany". Jeżeli więc Tusk chciał puścić oko do młodzieży, to zupełnie pomylił obiekt pożądania.

Czy ktoś widział młodego człowieka, który zachwycałby się Kubą Wojewódzkim? Śmiał się z jego czerstwych dowcipów? Uważał go za autorytet w jakiejkolwiek sprawie? Telewizyjny emeryt w zwisających porciętach może się wydawać „buntownikiem" jedynie dla innych podobnych mu dziadersów, którym ciągle wydaje się, że są w awangardzie społeczeństwa. Że jak zaklną lub wbiją polską flagę w psią kupę, to od tej ich „kontestacji" zatrzęsie się cały świat. Dlatego występ Tuska u Wojewódzkiego nie odwrócił żadnych negatywnych trendów w notowaniach Platformy, a w szczególności nie zatrzymał najbardziej niepokojącego zjawiska dla tej partii, jakim jest wyraźny spadek poparcia wśród najmłodszych wyborców.

TEST WIARYGODNOŚCI TUSKA

Najwięcej cierpienia sprawia szefowi rządu prezydent Nawrocki. Nie chodzi wyłącznie o politykę i to, że zwycięstwo Nawrockiego odebrało Tuskowi nadzieje na przejęcie pełni władzy. Premier – a wraz z nim cała Platforma – nie może znieść tego, że Nawrocki jest od niego młodszy, fajniejszy i o wiele bardziej sympatyczny. Że podoba się ludziom, zwłaszcza młodym.

Jak wynika z sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski prezydent zdobył aż 73 proc. pozytywnych ocen Polaków w wieku 18–29 lat i 67 proc. w grupie 30–39 lat. Dziś Tusk może jedynie pomarzyć o takim wyniku, tym bardziej że młodzi wyborcy mają go najwyraźniej dość. Dymisji premiera domaga się bowiem 59 proc. osób w grupie 25–29 lat i 56 proc. w wieku 30–39 lat (według sondażu Opinia24 dla RMF FM).

To gwałtowna zmiana, biorąc pod uwagę to, że podczas ostatnich wyborów parlamentarnych w 2023 r. tendencje były odwrotne. Na Koalicję Obywatelską zagłosowało wówczas 27,6 proc. wyborców z grupy wiekowej 18–29 lat i 28,8 proc. w przedziale 30–39 lat. Te wyniki dały partii Tuska najwyższe poparcie wśród młodych wyborców. Co się więc stało, że teraz ci sami ludzie masowo odwracają się od premiera?

Odpowiedzi jest wiele, ale główna z nich brzmi: Tusk zawiódł oczekiwania. Dla każdego średnio rozgarniętego Polaka to oczywiście banalne stwierdzenie, bo przecież nikt rozsądny nie mógł się spodziewać po Tusku i jego partii niczego dobrego. Jednak najmłodszym wyborcom, którzy zmobilizowani krzykliwą antypisowską propagandą poszli w 2023 r. do urn, dość skutecznie wmówiono, że oddając głos na Platformę i jej koalicjantów, bronią wolności, demokracji i swojej lepszej przyszłości. Tymczasem Tusk ich najzwyczajniej w świecie oszukał. Tak jak oszukał wielu naiwnych Polaków, którzy postawili krzyżyk na liście jego partii.

Gdy dziś szef rządu mówi, że „100 konkretów było na 100 proc. władzy", stanowi to kolejny policzek wymierzony tym, którzy dwa lata temu uwierzyli w jego farmazony. Paradoksalnie jest to po części efekt rządów PiS, które podczas ośmiu lat u władzy wysoko podniosło poprzeczkę w polityce, przyzwyczajając Polaków do tego, że dotrzymuje się obietnic złożonych wyborcom. Platforma nigdy nawet się nie zbliżyła do tych standardów, tkwiąc w miejscu, w którym znalazła się 20 lat temu, gdy rozpoczęła trwającą do dziś wojnę z pisowcami. Być może każde pokolenie musi przejść bolesny „test wiarygodności Tuska", aby się o tym przekonać i wreszcie zmądrzeć. Problem w tym, że – jak się okazuje – niektórzy są tak oporni intelektualnie, że muszą przechodzić ten test wielokrotnie.

BRAK PERSPEKTYW

Mimo to Polska bardzo się zmieniła w ciągu ostatniej dekady. Za rządów PiS – przynajmniej do wybuchu pandemii i wojny na Ukrainie – wyraźnie podniósł się standard życia Polaków, którzy po raz pierwszy – bodaj od stuleci – przestali się czuć w Europie jak ubodzy krewni ze Wschodu. Wielu, zwłaszcza młodych, wychowało się w takiej rzeczywistości i nie bardzo dziś rozumie, dlaczego muszą z niej rezygnować.

Dzięki tym rozbudzonym aspiracjom Tusk zdołał przejąć władzę w 2023 r. Korzystając wówczas z globalnej zawieruchy, która wstrząsnęła także Polską, wmówił ludziom, że tylko on jest w stanie zagwarantować stabilny rozwój, choć oczywiście nigdy nie miał takiego zamiaru.

To oszustwo stało się wyjątkowo okrutne dla młodych ludzi, którzy wchodząc w dorosłe życie, coraz częściej zderzają się ze ścianą. Dobra edukacja kosztuje majątek, a pracy zgodnej z kwalifikacjami zwykle nie da się znaleźć bez protekcji i znajomości. Perspektywy młodego, ambitnego człowieka są na ogół fatalne – wielu nie ma najmniejszych szans na usamodzielnienie się i założenie rodziny. Nagle się okazało, że młode pokolenie może mieć w życiu gorzej, niż mieli ich rodzice.

eprasa.pl b4eba63ab8

Dziś w Polsce bezrobocie wśród młodych ludzi rośnie w ekspresowym tempie. Według danych Eurostatu z maja 2025 r. stopa bezrobocia w grupie wiekowej do 25 lat wyniosła 13,5 proc., co oznacza wzrost aż o 27,4 proc. rok do roku. To najgorszy wynik w całej Unii Europejskiej.

Okazuje się, że rynek pracy nie jest w stanie wchłonąć rosnącej z roku na rok liczby absolwentów uczelni wyższych. Owszem, praca jest, ale w mniej prestiżowych profesjach: głównie w handlu czy usługach. Wywołuje to dość powszechne i zrozumiałe rozczarowanie młodych ludzi. Wielu z nich staje przed wyborem: bezrobocie lub praca poniżej kwalifikacji. Ci, którzy mogą sobie pozwolić na rezygnację z pracy i utrzymanie przez rodziców, często wybierają bezrobocie. Oczywiście wielu z nich pracuje i dokłada się do utrzymania domu, ale część żyje na koszt rodziców. Obie grupy nie mają jednak szans na zarobki wystarczające do usamodzielnienia się i zaciągnięcia kredytu na zakup własnego mieszkania.

Kilkanaście lat temu, za czasów pierwszych rządów Tuska, pojawiły się podobne problemy – tyle że na mniejszą skalę, bo dotyczyły głównie tych, którzy nie mieli ukończonych studiów. Wtedy udało się uniknąć wybuchu frustracji, głównie dzięki masowej emigracji zarobkowej. Jednak teraz takie wyjazdy przestały być wentylem bezpieczeństwa. Różnica w zarobkach i standardzie życia między Polską i Europą Zachodnią nie jest już tak gigantyczna jak kiedyś, a pracę na zmywaku można bez problemu znaleźć także u nas. Dziś młodzi ludzie nie chcą szukać szczęścia za granicą, domagają się lepszych warunków życia we własnym kraju, zwłaszcza że jeszcze kilka lat temu wydawało się to realne. Dlaczego więc rząd jest głuchy na te postulaty i zamiast – jak obiecał Tusk – walczyć o poprawę życia ludzi, trawi czas na niekończące się rozliczenia i polowanie na pisowców?

> Młodzi ludzie pytają polityków, co zrobili przez te 30 lat, aby żyło się lepiej. Żeby można było budować tu własną przyszłość? I Tusk nie ma odpowiedzi na te pytania

Jedyny wniosek, jaki z tego wyciąga wielu młodych ludzi, jest taki, że Tusk to stary, uprzywilejowany „dziad", który zamknął się w bańce swoich urojeń i nie rozumie świata, w którym żyje. Szef rządu utknął w innej, nieistniejącej już epoce i sięga po zużyte narzędzia, które może działały 20 lat temu, ale dziś są nieskuteczne.

Tusk myśli, że ciągle mamy 2007 r. Że młodym ludziom wystarczą banialuki o wspólnej Europie i o tym, że na Zachodzie nas doceniają. Tymczasem mało kogo to obchodzi. Tak samo jak nikt dziś nie wierzy w zapewnienia, że ciężka praca jest gwarancją sukcesu, bo gdyby naprawdę tak było, to mielibyśmy w Polsce samych milionerów. Nikogo też nie pokrzepią rady, że jak się nie ma pieniędzy, to można jeść mirabelki i zupę szczawiową. Młodzi ludzie nie chcą dłużej słuchać takich bzdur. Pytają polityków, co zrobili przez te 30 lat, aby żyło się lepiej. Żeby można było tu budować własną przyszłość? I Tusk nie ma odpowiedzi na te pytania.

Przejechał się już na tym Rafał Trzaskowski, który podczas ostatniej kampanii prezydenckiej próbował budować dumę narodową na ogórkach kiszonych i wafelkach Prince Polo. Większość młodych ludzi odebrała to jako żenujący brak ambicji i przede wszystkim brak pomysłu na Polskę. A jeśli tego pomysłu brakuje, to kraj nie ma przyszłości.

PLATFORMA EMERYTÓW

„Podniecacie się jak trzynastoletni chłopcy, że Konfederacja jest taka potężna, ma 15 proc., a Koalicja Obywatelska jest do d..., bo ma 32 proc. i to jest w ogóle katastrofa" – drwił Tusk podczas rozmowy z Wojewódzkim i Kędzierskim.

Akurat w tej kwestii podniecenie Wojewódzkiego i jego kolegi jest całkowicie zrozumiałe. Nie chodzi bowiem o to, jaki jest dziś wynik sondażowy Konfederacji i Koalicji Obywatelskiej, ale o to, czyje głosy składają się na ten wynik. Bo gdy spojrzymy na średnią wieku elektoratu obu partii, szybko zauważymy, że Konfederacja zbiera głosy młodych, a partia Tuska powoli staje się formacją emerytów. To kiepski prognostyk na przyszłość.

Premier ma ten sam problem z Nawrockim – o czym już była mowa. Młodzi ludzie odpływają od partii Tuska, bo chcą zerwania z dawną polityką, szukają nowego otwarcia, nadziei na przyszłość. Oczywiście można dyskutować o tym, czy Konfederacja da im taką nadzieję (wątpię w to), ale trudno nie widzieć w tych przepływach elektoratu rozpaczliwego poszukiwania wyjścia z obecnej sytuacji. Jest to zresztą także sygnał ostrzegawczy dla PiS, które nie powinno spoczywać na laurach. Ucieczka młodych od Tuska wcale bowiem nie oznacza automatycznie, że staną oni po stronie PiS.

Potrzebna jest nowa jakość, czego dobrym przykładem pozostaje właśnie Karol Nawrocki. Prezydent jest odbierany jako człowiek spoza partyjnych układów, niezależny i przede wszystkim wiarygodny. Bo ktoś, kto nie wywodzi się z uprzywilejowanej elity, ma szanse zrozumieć potrzeby zwykłego człowieka.

Tusk i jego partia, otoczona starzejącymi się ludźmi, którzy przeżyli już większość swojego życia i teraz zaciekle bronią własnej pozycji oraz stanu posiadania, nie mają takich zdolności. To prowadzi do nieuchronnego konfliktu z młodym, ambitnym pokoleniem. Być może uda się go rozstrzygnąć politycznie, choć dziś trudno przesądzać, jaki będzie tego efekt. Jeżeli jednak okaże się to niemożliwe, to prędzej czy później zadziała biologia.

Dlatego dziś warto bić się o młode pokolenie i uważnie wsłuchiwać się w jego głos. Bez drażniącego protekcjonalizmu, a także bez sztucznego „luzu", który młodzi natychmiast wyczuwają i odrzucają. To najbardziej strategiczna inwestycja w przyszłość Polski. Bo od tego, w którym kierunku pójdą dziś młodzi ludzie, zależą dalsze losy kraju.

eprasa.pl b4eba63ab8



Konfederacja Korony Polskiej, czyli partia Grzegorza Brauna. Chwilę temu skandalizujący margines. Dzisiaj czwarta siła polityczna z sondażami dochodzącymi do 8 proc. poparcia. O Braunie i jego partii jest głośno, ale tak naprawdę niewiele o niej wiadomo. Czym jest? Jaki ma program? I wreszcie: czy da się być z nią w koalicji?

DRUŻYNA BRAUNA 2025

Czwarta siła



PIOTR GURSZTYN

Grzegorz Braun, wypchnięty z Konfederacji przez Sławomira Mentzena, miał zniknąć z polskiej polityki. Poszedł na swoje i na razie dobrze mu się wiedzie. W wyborach prezydenckich osiągnął zaskakująco dobry wynik – 1,2 mln głosów, czyli 6,4 proc. poparcia.

Od chwili wyborów wiedzie mu się jeszcze lepiej. Owszem, on i jego ugrupowanie przeszli niedawno trudny kryzys, gdy lider pogardliwie wypowiadał się o obozowym raporcie rtm. Witolda Pileckiego. Wtedy notowania KKP spadły do 3 proc. Dziś się odbudowały, i to z nadwyżką. Partia Brauna ma w sondażach nawet 7–8 proc., a i tak wielu obserwatorów uważa, że jest niedoszacowana. Gdyby KKP w wyborach parlamentarnych miała tyle, ile dają jej obecnie sondaże, to wprowadziłaby do Sejmu 30–40 posłów. Byłby to wzrost o tysiąc procent, bo dzisiaj Grzegorz Braun – oprócz tego, że on sam jest eurodeputowanym – ma trzech posłów. Dwóch wychodźców z Konfederacji – Włodzimierza Skalika i Romana Fritza oraz jednego uciekiniera z PiS – Sławomira Zawiślaka. Jeśli chodzi o stronę organizacyjną partii, czyli jej struktury, to raczej wszystko jest jeszcze w zalążku. Oficjalny adres partii to jakieś lokum na peryferiach Częstochowy, a niektórzy pełnomocnicy muszą zarządzać kilkoma okręgami, co świadczy o tym, że w wielu miejscach Polski KKP nie ma żadnych struktur.

PROGRAMOWY KONCERT ŻYCZEŃ

Oficjalnie Konfederacja Korony Polskiej przedstawia się jako partia konserwatywnych tradycjonalistów. Program ugrupowania w większości nie brzmi ekscentrycznie. Gdyby nie pewne fragmenty, można by pomyśleć, że to dokumenty ZChN, Ligi Polskich Rodzin czy ugrupowania założonego np. przez Marka Jurka.

Są jednak i kurioza, które nadają partii Brauna specyficzny rys. W programie czytamy, że „KKP jest partią stawiającą monarchię jako docelowy model sprawowania władzy". Nie napisano jednak, jaki będzie tryb odbudowy królestwa w Polsce. I czy będzie wolna elekcja, czy jednak monarchia dziedziczna? Jeśli tak, to która dynastia i kto o niej zdecyduje?

Wśród innych ciekawostek warto wspomnieć również taką, że wśród

Fot. Andrzej Wiktor, Liudmyla Skwarczyńska

eprasa.pl b4eba63ab8

dokumentów programowych do pobrania na stronie internetowej KKP wisi encyklika papieża Benedykta XIV „A quo primum". Na stronie partii została zatytułowana „O nadmiernej roli Żydów w Królestwie Polskim". Encyklika pochodzi z... 1751 r. i dotyczyła tego, jak wtedy powinny wyglądać relacje między ludnością chrześcijańską a żydowską.

Propozycje programowe to na ogół koncert życzeń typu „jasny, spójny i zrozumiały system prawny", „skuteczna, dobrze uzbrojona i wyszkolona armia" albo „profesjonalna dyplomacja, realizująca polską rację stanu". Mocno eksponowany jest całkowity zakaz aborcji, podkreśla się prawo własności, także obietnice obniżenia podatków oraz prawo do posiadania niezarejestrowanej broni. W punkcie o polityce społecznej zawarto fragment, który uderza w solidaryzm PiS: „Jesteśmy przeciwni prowadzonej obecnie polityce bezrefleksyjnego rozdawnictwa w oparciu o pożyczone przez skarb państwa pieniądze, której głównym celem jest korupcja polityczna dużych grup społecznych – wyborców, a efektem trwałe uzależnianie ich od pomocy państwa". Plan na gospodarkę to miks pomysłów wyniesionych z Konfederacji, złagodzonych nieco odniesieniami do katolickiej nauki społecznej. W sumie nic kontrowersyjnego, może poza postulatem całkowitej likwidacji płacy minimalnej.

Inne pomysły to wprowadzenie okręgów jednomandatowych i zmniejszenie liczby posłów do 300. Widać, że pisał to ktoś, kto nie ma pojęcia o rzeczywistości politycznej. W takim systemie mandat posła (gdyby nie było progu wyborczego) zdobyłby z Korony może sam Braun, a parlament składałby się prawie wyłącznie z posłów PiS i Platformy (lub na odwrót – w zależności od tego, kto w danej chwili miałby większe poparcie). Oprócz tego KKP chce, aby była tylko jedna, siedmioletnia kadencja prezydenta. Jest za likwidacją powiatów, pomnożeniem województw do 20–22 ze specjalnym statusem metropolii warszawskiej.

W dziale dotyczącym polityki zagranicznej znajdziemy charakterystyczny *passus*: „Żądamy zaprzestania angażowania autorytetu Państwa Polskiego do realizacji obcych interesów – sprzecznych z polską racją stanu, co miało miejsce w sposób szczególnie widoczny w działaniach rządu polskiego wobec Ukrainy, Iranu i Białorusi". Ale za to: „Szczególną uwagę i energię dyplomacja polska powinna poświęcić na wypracowanie stosunków dwustronnych z mocarstwami regionalnymi, tj. Republiką Federalną Niemiec oraz Federacją Rosyjską. Równie starannie przemyślane i wypracowane powinny być relacje Rzeczpospolitej Polskiej z mocarstwami globalnymi, tj. Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej oraz Chińską Republiką Ludową". Jak widać, stosunki transatlantyckie nie są priorytetem.

W programie kilkakrotnie powtarza się fraza o „bezprecedensowym kryzysie NATO i UE". I jeśli w sprawie Unii cała prawica zgodzi się, że UE przechodzi ostry kryzys, to nie będzie porozumienia w kwestionowaniu roli Sojuszu Atlantyckiego. To coś, co mocno oddala partię Brauna nie tylko od PiS (niekiedy nazywanego przez zwolenników KKP na forach internetowych „podnóżkiem USA"), lecz także Konfederacji, a zwłaszcza jej skrzydła reprezentowanego przez Krzysztofa Bosaka.

Pod programem jest podpisany Piotr Heszen, wcześniej dziennikarz i pisarz (tak się przedstawia), a teraz dyrektor biura Koła Poselskiego KKP. W sumie nie wiadomo, czy to ekspresja jego poglądów, autoryzowana przez partię, czy jednak wynik przemyśleń samego Brauna. Tu można mieć tę wątpliwość, że czym innym jest napisany dość dawno program, a czym innym – temperament i bieżące interesy lidera partii.

ELITARNE POCHODZENIE

Latem br. Grzegorz Braun wykazał się nieostrożnością. Rozpoczął walkę z tym, co nazywa „hagadą żydowską". W praktyce walczy z całością oficjalnej historiografii na temat Holokaustu – zarówno tą, która jest zideologizowana i służy politycznym interesom środowisk żydowskich oraz państwa Izrael, jak i tą, która stara się być merytoryczna i uczciwa pod względem naukowym. Na cel wziął komory gazowe, twierdząc, że Niemcy w ogóle ich nie mieli. Przy okazji popełnił błąd, pogardliwie wypowiadając się na temat rtm. Pileckiego. Notowania jego partii zauważalnie spadły.

Widać, że Braun się przestraszył, bo od tej pory zarzeka się, że ma szacunek do polskiej historii. Prowadzi długie monologi o członkach swojej rodziny zamordowanych przez Niemców. Opowiada, że historię Polski zna nie tyle z książek, ile z „osmozy rodzinnej" – jak się wyraził. Czyli samoistnie, dzięki posiadaniu wybitnych przodków, przeszły na niego ten szacunek i patriotyzm.

Uwiarygodnianiu się odległymi przodkami towarzyszy – być może mimowolne – podkreślanie elitarnego pochodzenia. Opowiada o stryjecznym dziadku Jerzym Braunie, ostatnim Delegacie Rządu na Kraj. Ale nie tłumaczy, jak ta sama osmoza rodzinna wpłynęła na poglądy rodzonego stryja, Juliusza Brauna, wpływowego człowieka Platformy Obywatelskiej w mediach. Lub siostry Moniki, z zawodu aktorki, która odcina się od brata i publicznie atakuje go z lewicowych pozycji.

Ta opowieść o elitarnym rodzinnym pochodzeniu – trochę w stylu dawnej Unii Demokratycznej – wygląda na potwierdzenie osobistych ambicji Brauna. Może być to więc znak, że chciałby dostąpić – wzorem przodków – publicznych zaszczytów i mieć wpływ na rzeczywistość. To mogłoby sugerować jego zdolność do kompromisów oraz zawieszenie na jakiś czas urządzania happeningów i skandali.

DRAŻLIWY I EMOCJONALNY

Ale jednocześnie są inne znaki. Np. to, że jest drażliwy i emocjonalny. Tak reaguje na krytykę. Gdy wybuchła awantura o rotmistrza, z Braunem chciała debatować na ten temat autorka książek o Pileckim dr Anna Mandrela. To bliska znajoma Brauna, z którym nagrała wiele rozmów. Mimo że polityk sam proponował debatę, w tym przypadku odmówił pod jakimś wymyślonym pretekstem. W środowiskach narodowych zostało to odebrane jako tchórzostwo. Niedawno odbyła się wielogodzinna debata na temat komór gazowych Brauna z prof. Janem Żarynem. Historyk był nadzwyczaj uprzejmy dla europosła, podkreślał punkty styczne, ale... nie zgadzał się z twierdzeniem, że komór nie było. Braun reagował więc drażliwie, a najbardziej obraził się na komplementy Żaryna, że

eprasa.pl b4eba63ab8

był utalentowanym reżyserem. „Pan chce mnie zamieść do szuflady jako tylko reżysera" – stwierdził wyraźnie rozdrażniony.

Sprawa komór gazowych wskazuje na obsesję. Jaki jest sens w tym, że traci na nią tyle czasu i energii? Manifestowana niechęć do Żydów jest połączona z mocnym antyamerykanizmem. „Anglosasi" – jak stale mówi – są negatywnymi bohaterami jego opowieści, na równi z Żydami i Sowietami. Co ciekawe, Niemcy w tym kontekście – mimo jego zarzekań – przestają być głównymi winowajcami i są redukowani do ofiar spisku „Anglosasów", Sowietów i Żydów.

WYZNAWCY BRAUNA

Ta opowieść Brauna – a pod względem demagogii i retoryki jest on bardzo zręczny – przyciąga do niego specyficznych wyznawców. I wracając do pytania, czy jest możliwa koalicja z kimś takim jak on, trzeba opisać jego wyborców. To bardzo aktywne i przy tym fanatyczne grupy ludzi. Każda z nich ma swój temat i jest do niego gorąco przywiązana. Pierwsza grupa to ludzie o poglądach zdecydowanie antysemickich. Druga jest antyukraińska, trzecia antyszczepionkowa. Braun przyciągnął także wyborców rusofilskich. To także bardzo widoczny segment, głównie anonimowo w mediach społecznościowych, ale wszystkie badania pokazują, że stanowi znikomą część społeczeństwa polskiego. Uśredniając: sympatię do Rosjan deklaruje mniej niż 10 proc. ankietowanych. A stosunek do Ukraińców, mimo rosnących animozji, wygląda inaczej – ciągle więcej Polaków odczuwa do nich sympatię niż niechęć.

Przy czym każdy objaw rosyjskiego niebezpieczeństwa sprawia, że antyukraińskość w takim momencie słabnie. Widać było to po reakcjach społeczeństwa, w tym ogromnej części polskiej prawicy, na aresztowanie ukraińskiego nurka Wołodymyra Żurawlowa. A dla Brauna i jego partii odmowa przekazania go Niemcom była „kuriozalną decyzją", budzące zaś powszechne uznanie słowa sędziego Łubowskiego – „absurdalnym uzasadnieniem".

Niedawno Braun udzielił wywiadu, w którym był pytany, czy będzie wojna z Rosją. Odpowiedział, że już jest, ale agresorem jest Polska, a nie Rosja: „Przecież tę wojnę wypowiedziały najważniejsze osoby w państwie. Wypowiedzieli ją urzędujący premier i przywódcy wszystkich partii tworzących koalicję podżegaczy wojennych. Większościową, niestety, koalicję w naszym Sejmie. To wypowiedzenie wojny miało miejsce już w 2022 r.".

Braun rozbudza nastroje swoich wyborców, ale jednocześnie staje się ich zakładnikiem. Czy w imię jakiejś koalicji będzie mógł wykonać zwrot i stać się pragmatycznym, przewidywalnym politykiem? On i jego partia cały czas głoszą hasło rozliczeń za szczepionki i politykę sanitarną w czasie pandemii COVID-19. „Będziesz pan wisiał" – to on krzyczał do pisowskiego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego. A dalszym ciągiem było przecież pobicie Niedzielskiego przez dwóch podpitych typów.

> Kim są wyborcy Brauna? Pierwsza grupa to ludzie o poglądach zdecydowanie antysemickich. Druga jest antyukraińska, trzecia antyszczepionkowa. Przyciągnął także wyborców rusofilskich

KKP cały czas propaguje hasło: „Stop ukrainizacji Polski". Prawa ręka Brauna Włodzimierz Skalik przemawiał niedawno na wiecu: „Nie chcemy brać udziału w przedłużeniu najbardziej skorumpowanego, banderowskiego reżimu kijowskiego!".

Rosja i jej jeszcze bardziej skorumpowany rzeczywisty reżim nie są dla Skalika i całej KKP problemem. Temat rosyjskiego zagrożenia nie pojawia się w narracji partii Brauna. Za to przeżywa ona mocno to, co jest związane z Izraelem i środowiskami żydowskimi. Ludobójcze – niewątpliwie – działania Izraela w Gazie wzbudziły u Brauna i jego zwolenników oburzenie, którego nie wykazywali podczas tragedii Mariupola. Jawna dysproporcja zachowania w jednej i drugiej sprawie wywołała falę drwin pod adresem Brauna. „To nie nasza wojna" – komentowali internauci jego wyrazy oburzenia na Izrael, nawiązując do hasła Brauna wzywającego do niepomagania Ukrainie. „Żydowskie ludobójstwo na narodzie palestyńskim" wywołało wzmożenie Brauna i jego partii. A ich reakcja powinna być inna, bo sami nawołują, aby w polityce zagranicznej kierować się wyłącznie polską racją stanu: „Głównym kryterium działania powinien być interes Polski. Względy moralne i sentymentalne w polityce międzynarodowej powinny mieć znaczenie drugorzędne". To fragment z dokumentów programowych KKP.

TRUDNY KOALICJANT

Obsesje i idiosynkrazje zakrywają to, co bywa sensowne w działaniach i wypowiedziach polityków KKP – odruchy rozsądku, np. wtedy, gdy partia krytykuje niebezpieczne pomysły brukselskiej biurokracji. Po za tym Braun jest całkowicie skoncentrowany na skandalach i szokowaniu. Skalik koncentruje się na rezonowaniu pomysłów swojego szefa. Roman Fritz wydaje się najbardziej rozsądny w tym gronie. Oczywiście trzyma linię partii, ale jednocześnie – jako rodowity Ślązak – w sensowny sposób zwalcza przejawy śląskiego separatyzmu i jego proniemieckich tendencji. Sławomir Zawiślak to przykład typowego posła z tylnego szeregu, który w dość ostrożny sposób propaguje linię swojej partii i lidera, w zasadzie nie dodając niczego od siebie. Ale trudno przewidzieć, kim będą kolejni posłowie tej partii. Dzieje wszystkich nowych ugrupowań pokazują, że nagły sukces wiąże się z wprowadzeniem do parlamentu wielu zupełnie przypadkowych ludzi, kompromitujących Sejm i własną partię.

Trzy miesiące temu Jarosław Kaczyński krytykował Brauna w kontekście jego negacjonizmu, mówiąc, że „niszczy nasze stosunki z USA". Jawny antyamerykanizm lidera KKP i jego prorosyjskość (oraz niejednoznaczny stosunek do Niemiec) rzeczywiście wydają się przeszkodami nie do ominięcia. Dzisiaj prawie wszystko wskazuje więc na to, że nie będzie paktu Kaczyński–Braun.

eprasa.pl b4eba63ab8

Skandal w związku wędkarzy



Prokuratura sprawdza, czy władze zrzeszającego ponad 500 tys. osób Polskiego Związku Wędkarskiego ukrywały przed członkami tłuste umowy z kancelarią Dubois i Wspólnicy oraz firmą PR-ową Glaubicz Garwolińska Consultants



ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Polski Związek Wędkarski to potężna organizacja skupiająca ponad 550 tys. członków. Dla porównania Polski Związek Łowiecki liczy ok. 120 tys. myśliwych. PZW ma do dyspozycji setki milionów złotych ze składek i innych przychodów, spore wpływy polityczne i poważne obowiązki, m.in. dotyczące zarybiania wód.

Władze związku mają też poważny problem. Od listopada ub.r. ich działaniom przygląda się prokuratura. Chodzi o ukrywanie przed członkami PZW umów z zaprzyjaźnioną z władzą kancelarią prawną Dubois i Wspólnicy oraz znaną warszawską firmą PR-ową Glaubicz Garwolińska Consultants.

– Pod nadzorem Prokuratury Rejonowej Warszawa-Wola w Warszawie prowadzone jest dochodzenie dotyczące ukrywania dokumentów Polskiego Związku Wędkarskiego, to jest o czyn z art. 276 kk. Postępowanie jest w fazie *in rem*, dotychczas w toku postępowania przesłuchano świadków i zgromadzono niezbędną dokumentację – potwierdza rzecznik warszawskiej Prokuratury Okręgowej Piotr Skiba.

Wędkarze, którzy opowiadają nam o aferze w PZW, chcą zachować anonimowość. Choć może to zabrzmieć dziwnie – mówimy wszak o stowarzyszeniu miłośników odpoczynku nad wodą, a nie np. o korporacji produkującej tajne systemy szpiegowskie – nasi rozmówcy wyglądają na autentycznie zaniepokojonych reperkusjami, jakie mogłyby ich spotkać po ujawnieniu tożsamości.

– Nie chcemy problemów, wędkarstwo to dla nas pasja i przyjemność, a władze Związku potrafią działać bezwzględnie – tłumaczą. Pozyskane od nich informacje zweryfikowaliśmy w innych źródłach i skonfrontowaliśmy (tam, gdzie to było możliwe) z dokumentami.

KONTROLA I SKANDAL

Aby zrozumieć tę historię, trzeba się cofnąć do 2023 r. Główna Komisja Rewizyjna Polskiego Związku Wędkarskiego prowadziła wówczas kontrolę działań Zarządu Głównego. Trwała ona od maja do września i zakończyła się wielkim skandalem.

Zarzuty postawione przez kontrolerów w protokole z 15 września były poważne. Główna Komisja Rewizyjna wytknęła władzom PZW m.in. sankcjonowanie bezprawnych zdaniem kontrolerów działań jednego z okręgów Związku, brak reakcji na podwójnie opłacane delegacje, bezpodstawne ingerowanie w działania Rzecznika Dyscyplinarnego czy sięgające 400 tys. zł straty czasopisma „Wiadomości Wędkarskie".

Najwięcej kontrowersji wywołały jednak uwagi Komisji w kontekście współpracy Zarządu Głównego PZW z firmą PR-ową Glaubicz Garwolińska Consultants oraz kancelarią Dubois i Wspólnicy.

Tę drugą zna każdy interesujący się polską polityką. Adwokat Jacek Dubois to zajadły krytyk PiS, występujący w głośnych sprawach związanych z partią Jarosława Kaczyńskiego.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b4eba63ab8

GGC to także znana marka, choć lata świetności ma już raczej za sobą. Szefowa firmy Anna Garwolińska w ostatnim czasie zasłynęła przede wszystkim z hejtowania PiS (snuła np. fantazje o otruciu ministra cyfryzacji w rządzie prawicy – Janusza Cieszyńskiego). O GGC zrobiło się głośno także przy okazji protestu kontrolerów lotów w 2022 r. – Garwolińska reprezentowała ich w rozmowach z szefostwem Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej.

Po co PZW współpraca z jedną z najdroższych kancelarii adwokackich w Polsce? Z jakiego powodu trzeba było zatrudniać (za wielkie pieniądze, jak się za chwilę przekonamy) warszawską firmę PR-ową?

Według krytyków obecnego zarządu Związku chodziło m.in. o utrzymanie wędkarzy w ryzach, tłumienie jakiejkolwiek krytyki władz i promowanie ambitnej prezes PZW Beaty Olejarz. Sprawuje ona tę funkcję – jako pierwsza kobieta – od 2022 r. Wcześniej była członkiem prezydium i sekretarzem Zarządu Głównego.

Mówiąc wprost: pieniądze ze składek wędkarzy miały posłużyć do działań przeciwko tym, którym nie wszystko w Związku się podoba.

POZWY I SALONY

Przykład? Zarząd Główny PZW pozwał władze niezależnej, krytycznej wobec Związku fundacji Społeczeństwo Wędkarzy Polskich „Nasze Wody" o rzekome „naruszenie dobrego imienia". Od działaczy malutkiej organizacji domagano się 100 tys. zł i publicznych przeprosin. W maju br. Sąd Okręgowy w Warszawie uznał, że żądania PZW należy oddalić.

„Zarząd Główny PZW był reprezentowany w tej sprawie przez jedną z najbardziej znanych (i najdroższych) kancelarii adwokacko-radcowskich w Polsce, czyli Dubois i Wspólnicy […]. Nie nam oceniać, czy należy wydawać pieniądze ze składek wszystkich wędkarzy zrzeszonych w PZW na procesy cywilne i karne (bo takich spraw jak nasza jest już kilka w całej Polsce), które są kierowane przeciwko członkom PZW, jak również fundacjom takim jak nasza, które chcą walczyć o ochronę polskich wód" – pisał po ogłoszeniu wyroku pierwszej instancji prezes SWP „Nasze Wody" Mateusz Dzierza.

„Jednak odnosimy wrażenie, że osobiste animozje zarządzających PZW wzięły w tym przypadku górę i wykorzystano przeciwko nam cały aparat PZW, w tym środki finansowe pochodzące ze składek Was wszystkich" – dodał Dzierza.

A firma Anny Garwolińskiej? Wiadomo, że współpraca ze specjalistką od wizerunku ułatwiła Beacie Olejarz poruszanie się na politycznych salonach. Na stronie agencji wciąż można znaleźć np. informację o wizycie szefowej Związku w Parlamencie Europejskim i zdjęcie obu uśmiechniętych kobiet z ówczesnym europosłem Lewicy Bogusławem Liberadzkim. W środowisku plotkowało się także o próbach zaangażowania wędkarskich youtuberów do atakowania SWP „Nasze Wody". Padały pytania, czy narzekający na ciągły brak pieniędzy i podwyższający składki członkowskie Związek naprawdę stać na zatrudnianie tego typu firm.

– Ciekawe, czy faktycznie w Zarządzie Głównym pieniędzy jest tak mało, że te składki trzeba aż tak podnosić? Może jesteśmy dzisiaj w punkcie, w którym możemy powiedzieć, że trochę nas oskubano? – dzielił się swoimi wątpliwościami w związku ze współpracą PZW z GGC Paweł Kukla, autor popularnego kanału na YouTube o wędkarstwie.

W SEJFIE U PANI PREZES

„PZW rozpoczął współpracę z Kancelarią Dubois i Wspólnicy we wrześniu 2022 r. Współpraca ta obejmuje kompleksową obsługę prawną Zarządu Głównego PZW oraz poszczególnych Okręgów PZW we wszelkiego rodzaju postępowaniach (cywilnych, karnych, administracyjnych) oraz sprawach nieprocesowych (np. opinie prawne, udział w negocjacjach, szkolenia dla Okręgów PZW itp.). Co do wysokości wynagrodzenia Kancelarii informujemy, że stawka wynagrodzenia jest ustalana na warunkach rynkowych i jest uzależniania od zakresu świadczonych usług prawnych" – odpowiada na nasze pytania prezes PZW Beata Olejarz.

„PZW rozpoczął współpracę z firmą Glaubicz Garwolińska Consultants w połowie 2022 r. Obecnie ta bieżąca współpraca nie jest już kontynuowana. Zakres zawartej umowy obejmował szeroko pojęte usługi public relations: kontakty z mediami i opinią publiczną, organizację wydarzeń i spotkań czy doradztwo komunikacyjne i kryzysowe. Co do wysokości wynagrodzenia ww. podmiotu informujemy, że stawka wynagrodzenia była ustalana na warunkach rynkowych i była uzależniania od zakresu świadczonych usług" – podkreśla Olejarz.

Pani prezes nie ujawnia wysokości kontraktów ani szczegółowego zakresu usług świadczonych przez kontrahentów PZW. Informacje te ukryto także przed Główną Komisją Rewizyjną w 2023 r. Kontrolerzy nie dostali do rąk umów z GGC i kancelarią Jacka Dubois.

– Księgowa Związku stwierdziła, że dokumenty są w sejfie u pani prezes i ona nie zna ich treści – słyszymy od naszych rozmówców.

Kontrolerom udało się ustalić w księgowości Związku kwoty wypłacane firmie GGC. Za połowę 2022 r. miała ona wynieść 464 tys. zł, za 2023 r. do chwili przeprowadzenia kontroli – 429 tys. Razem dawało to ok. 75 tys. zł miesięcznie. Ile pobierała wówczas kancelaria Jacka Dubois – nie wiemy.

W protokole kontroli z 15 września 2023 r. wnioskowano o natychmiastowe ujawnienie dokumentów, aby można było ustalić dokładny zakres obowiązków kontrahentów i ocenić na tej podstawie zasadność wydatków ponoszonych przez Zarząd Główny.

Dlaczego PZW nie chciał pokazać umów z kancelarią Dubois i Wspólnicy oraz GCC? Narracja władz związku jest następująca: umowy zawierają zapisy o zachowaniu poufności, a ich ujawnienie narażałoby Związek na wynikające z tego faktu kary. Beata Olejarz zarzeka się, że członkowie komisji rewizyjnej mogli uzyskać dostęp do dokumentów. Rzecz jasna pod pewnymi warunkami.

„Tymczasem niektóre osoby, zapewne których perspektywa ma być przedstawiona w Pana artykule, przy zagwarantowaniu im dostępu do wszelkiej dokumentacji, po prostu

eprasa.pl b4eba63ab8

odmawiały podpisywania oświadczeń o zachowaniu poufności, co narażało PZW na ryzyka finansowe" – napisała do nas pani prezes.

„W tym miejscu można postawić tylko pytanie retoryczne, czy celem takich osób było rzeczywiste przeprowadzenie czynności kontrolnych w PZW, czy jednak motywem miało być »anonimowe«/ przypadkowe udostępnienie otrzymanych do wglądu dokumentów w Internecie, aby pokazać i zbudować zupełnie fałszywą narrację, jakoby Związek bezzasadnie wydawał pieniądze wędkarzy. Bezzasadne bowiem wydawanie pieniędzy polskich wędkarzy miałoby miejsce, gdyby PZW, nie respektując zobowiązań umownych, podejmował działania narażające Związek na zapłatę kar umownych czy odszkodowań" – tłumaczy Olejarz.

Sęk w tym, że według naszych rozmówców członkowie GKR mieli podpisać zobowiązanie o zachowaniu poufności przewidujące karę za jej naruszenie w wysokości... 100 tys. zł.

– Nikt o zdrowych zmysłach by czegoś takiego nie podpisał. Przecież wystarczyłaby jakakolwiek wzmianka o treści tych umów, nawet celowo wypuszczona przez Związek, żeby ci ludzie poszli z torbami – mówią nam działacze PZW.

Jest jeszcze argumentacja czysto prawna. Stowarzyszenia nie mogą bowiem utajniać przed swoimi członkami umów zawieranych z podmiotami zewnętrznymi. Wynika to z zasad jawności określonych w ustawie Prawo o stowarzyszeniach. Zapisu, który umożliwiałby utajnienie dokumentów bądź żądanie podpisywania zobowiązań do zachowania poufności nie ma też – co oczywiste – w statucie PZW.

JAKO WĘDKARKA, A NIE ADWOKAT

Konflikt pomiędzy niektórymi członkami GKR a Zarządem Głównym się nasilał. W 2024 r. Komisja – już w zmienionym składzie – ponownie przeprowadziła kontrolę, tym razem nie zgłaszając zastrzeżeń dotyczących umów z kancelarią adwokacką i firmą PR-ową. Tym, którzy domagali się wyjaśnień, wytoczono za to postępowania dyscyplinarne. W imieniu Związku występuje w nich Rzecznik Dyscyplinarny PZW, adwokat Izabela Wilk, związana od 2014 r. z... kancelarią Dubois i Wspólnicy.

Jak to możliwe, że sprawę przeciwko działaczom, którzy domagali się m.in. ujawnienia treści umowy PZW z Dubois i Wspólnicy, prowadzi osoba pracująca dla kancelarii? Prezes Beata Olejarz uważa, że nie ma w tym nic dziwnego. Bo Izabela Wilk nie jest Rzecznikiem Dyscyplinarnym jako adwokat, tylko jako wędkarka.

> Po co Polskiemu Związkowi Wędkarskiemu współpraca z jedną z najdroższych kancelarii adwokackich w Polsce? Z jakiego powodu trzeba było zatrudniać warszawską firmę PR-ową?

„Pani Izabela Wilk od końca 2023 r. pełni funkcję Rzecznika Dyscyplinarnego Zarządu Głównego PZW nie jako adwokat, a wyłącznie jako członek stowarzyszenia PZW. Wykonywane przez nią działania w ramach ww. funkcji nie mają jakiegokolwiek związku ze świadczeniem pomocy prawnej na rzecz PZW, której nigdy nie świadczyła, czy posiadaniem przez nią uprawnień zawodowych adwokata" – wyjaśnia w odpowiedzi na nasze pytania Beata Olejarz, podkreślając, że adwokat Wilk „nigdy nie świadczyła usług prawnych na rzecz PZW".

Jednak nie wszyscy wierzą w ludzi tak mocno, jak prezes Olejarz. Na ewidentny – zdaniem zawiadamiających – konflikt interesów owi malkontenci poskarżyli się Okręgowej Radzie Adwokackiej w Warszawie.

– Do Rzecznika Dyscyplinarnego wpłynęło zawiadomienie o możliwości popełnienia przez adwokat Izabelę Wilk czynu mającego znamiona przewinienia dyscyplinarnego. Rzecznik obecnie podejmuje konieczne i przewidziane prawem czynności w celu rozpoznania zawiadomienia – poinformowała nas adwokat Maria Sankowska-Borman, rzeczniczka prasowa warszawskiej ORA.

Kancelaria Dubois i Wspólnicy nie odpowiedziała na nasze pytania.

WARSZAWA MILCZY

Skonfliktowani z władzami PZW działacze szukali pomocy u władz Warszawy, bo to prezydent stolicy sprawuje formalny nadzór nad stowarzyszeniem. Bez skutku. Urzędnicy wymienili z szefostwem Związku kilka pism i stwierdzili, że wszystko odbyło się zgodnie ze statutem wędkarskiej organizacji. Uznano, że nie ma nic dziwnego w tym, iż przeprowadzono dwie kontrole, których wyniki radykalnie się od siebie różnią. Wcześniej miasto odmówiło wystąpienia do Związku o udostępnienie umów z GGC oraz kancelarią Dubois i Wspólnicy – według urzędników wykraczałoby to poza kompetencje nadzorcze prezydenta.

Mimo próśb do momentu zamknięcia tego wydania tygodnika „Sieci" władze Warszawy nie odpowiedziały na nasze pytania dotyczące działań nadzorczych wobec PZW. Pytaliśmy także, czy ratusz korzysta jeszcze z usług Dubois i Wspólnicy.

Na pewno było tak wiosną br. Kancelaria obsługiwała miasto w postępowaniach prowadzonych przez Komisję do spraw reprywatyzacji nieruchomości warszawskich. Jak sama podawała – w reakcji na konferencję prasową posłów PiS wskazujących na powiązania Rafała Trzaskowskiego z Jackiem Dubois – w latach 2017–2025 „Miasto Stołeczne Warszawa uiściło na rzecz kancelarii wynagrodzenie w łącznej kwocie 2 483 130,00 zł powiększone o należną stawkę podatku VAT, co daje średnio miesięcznie kwotę ok. 25 tys. zł".

eprasa.pl b4eba63ab8



Od lewej: Katarzyna Szałajko, Agnieszka Stefaniuk i Maria Mościcka

Fot. Andrzej Wiktor

Komu przeszkadzają dzieci?

Chcemy być sygnalistkami problemu związanego z demografią. Mamy wpływ na to, co się dzieje wokół nas. Jako matki mamy prawo alarmować, że nie ma dzieci. Znamy blaski i cienie macierzyństwa

z Marią Mościcką, Agnieszką Stefaniuk i Katarzyną Szałajko,
współautorkami książki „Bezpotomni", rozmawia Dorota Łosiewicz

W Polsce istnieje dość negatywny stereotyp matki wielodzietnej. Nie macie z nim nic wspólnego.

Agnieszka Stefaniuk: Podczas wizyty lekarskiej z którymś z dzieci często słyszę: „A pani nie wygląda na mamę siódemki". Skoro „nie wyglądam", to jak powinnam wyglądać? To już nawet nie chodzi o zęby czy włosy, ale jest takie przekonanie, że skoro decydujesz się na posiadanie tak dużej liczby dzieci, to coś musi być z tobą nie tak. Ludzie często też uważają, że istnieje znak równości między dużą liczbą dzieci a biedą. Wielodzietni kojarzą się z patologią, zaniedbaniem, nieporadnością życiową, socjalem. Być może tak bywa, ale w większości znanych mi przypadków wielodzietność jest świadomą decyzją. Z badań wynika, że na drugie, trzecie i kolejne dzieci decydują się w Polsce kobiety wykształcone, mające stabilną sytuację finansową, bo dziś dzieci są luksusem.

Maria Mościcka: Myślę, że korzenie tego stereotypu tkwią w historii. Pamiętam ze swojego dzieciństwa duże, dysfunkcyjne rodziny, w których dzietność nie wynikała ze świadomych decyzji, tylko z przypadku. Fakt, że mamy taki stereotyp wielodzietności, jest dla nas dużą krzywdą społeczną. A prawda o rodzinach wielodzietnych jest taka, że często tworzą je ludzie bardzo wykształceni, którzy wszechstronnie kształcą też swoje dzieci. Zapisują je na zajęcia sportowe, naukę języków, rozwijają talenty, by zapewnić im jak najlepszy start w życie.

Katarzyna Szałajko: Ten stereotyp często wynika z niewiedzy. Duże rodziny to rzadkość, więc wiele osób po prostu nigdy nie miało z nimi kontaktu i stąd uprzedzenia. Niestety rzadkość, bo Polska wymiera, statystyki demograficzne są dramatyczne.

eprasa.pl b4eba63ab8

Za chwilę społeczeństwo zacznie to odczuwać na własnej skórze. Polska się starzeje i u nas – jak w bogatych krajach Zachodu – dzieci zaczynają znikać z przestrzeni publicznej. Takiego świata chcemy?

Ale przecież chyba nie dla Polski zdecydowałyście się na wielodzietność? Jakie były wasze motywacje?

AS: Mam dzieci, ponieważ rodzina kojarzy mi się z miłością, dobrem i bezpieczeństwem. Wyniosłam to z domu. Zupełnie naturalne było dla mnie to, że będę miała męża i dzieci. Nawet nie zakładałam innego scenariusza, choć może nie myślałam, że wyjdę za mąż już na studiach. Dziś młode dziewczyny zderzają się natomiast z inną narracją wobec rodziny, stabilizacji, odpowiedzialności. Życie dziś jest nastawione na komfort, indywidualizm. Ciężko przebić się przez to z czymś oczywistym – że wartością jest posiadanie kogoś bliskiego i warto pozostawić po sobie kolejne pokolenia. Ale dzieci ma się dla siebie, nie dla państwa. Choć przecież w przyszłości to one będą lekarzami, nauczycielami czy sanitariuszami w domu opieki.

MM: U nas decyzja o dzietności była wynikiem miłości. I myślę, że ta miłość przyświeca każdej z nas. Gdy założyłam z mężem rodzinę i pojawiło się pierwsze dziecko, nie ubyło nam miłości w relacji, tylko jej przybyło. I tak było z każdym kolejnym dzieckiem, a mamy ich siedmioro. Jesteśmy taką rodziną, że można by nas podejrzewać, że mamy dzieci dla państwa. Gdy urodził się Józek, wchodził w życie rządowy program 500+, więc ktoś mógłby uznać, że zrobiliśmy to dla pieniędzy, co oczywiście nie jest prawdą.

Skoro wspomniałyście program 500+, to był właśnie ten moment, gdy z mediów liberalnych wylało się na wielodzietnych morze hejtu, stereotypy ożyły i zaczęły straszyć. Okazało się, że dzieci przeszkadzają nad morzem, w górach, rodziny drażnią, hałasują. Jak to odbieralyście?

KS: To był początek przekazu, który trwa. Ta fala hejtu była dla mnie bardzo przykra, czułam, że to jest nie fair. A przecież w obliczu wydatków, które musimy ponieść na dziecko, ta kwota to kropla w morzu potrzeb. Te pieniądze na pewno nie były kluczowe przy decyzji o rodzicielstwie. Jednak jeśli były rodziny, dla których były one ważne, a ich sytuacja uległa poprawie dzięki tym środkom, to było dla nich przywrócenie godności, sprawiedliwość społeczna. Tymczasem wystrzeliło stare, dobre szufladkowanie. Wielodzietni = patologia. Wystartowało dzielenie na wy: wielodzietni i my: bezdzietni. My – świadomi, nowocześni, stawiający na samorozwój, karierę, otwarci na świat, posiadający świetne figury, wnikający w głąb siebie. Wy – zacofani, niedbający o rozwój osobisty, powielający patriarchalne schematy. Może to trochę przerysowane, ale tak to pokazywały media.

> Do czego doszliśmy? Że rodzina postrzegana jest jako problem, a nie jako dobro społeczne. A przecież każde społeczeństwo składa się z podstawowych komórek, jakimi są rodziny. Każdy urodził się w rodzinie i każdy w niej umrze

MM: Nie wiem, czy to jest przerysowane. Wystarczy poczytać komentarze na Facebooku, żeby zrozumieć, że tak myśli masa ludzi.

AS: Na fali dyskusji o 500+ bardzo mocno przesunięto granicę tego, co można, a czego nie można mówić o rodzicach. Od lat 90. XX w. o rodzinie chętnie mówiło się w złym kontekście. Rozumiem, że tragedie się niosą, dobrze się czyta i klika, że pan zabił panią, dzieci znaleziono w beczce, a trudny poród zakończył się śmiercią. Poza tym mamy filmy, seriale serwujące nam inżynierię społeczną, pokazujące kobiety, które cały czas walczą o siebie, o swoją niezależność, samoświadomość, wolność i niezależność finansową. Cała ta druga fala feminizmu, która przekonuje, że kobieta może wszystko, jednocześnie zapomina, że tylko kobieta może rodzić dzieci. Feministki o tym nie mówią, bo w ich świecie macierzyństwo jest wyborem kategorii B. Wiele kobiet, z którymi mam kontakt, z którymi pracuję, które są w moim klubie mam, a które zdecydowały się na macierzyństwo, będąc na jakimś etapie kariery zawodowej, widzą w oczach kobiet, które nie mają dzieci, wielkie rozczarowanie ich decyzją. „Będziesz miała dziecko? Koniec z twoją wolnością". „Do końca życia będziesz uwikłana w problemy". „Co się z tobą stało, czemu podjęłaś taką kiepską decyzję?". Dlatego chciałyśmy być sygnalistkami tematu, że rodzicielstwo jest społecznie użyteczne. Do czego doszliśmy? Że rodzina postrzegana jest jako problem, a nie jako dobro społeczne. A przecież każde społeczeństwo składa się z podstawowych komórek, jakimi są rodziny. Każdy się urodził w rodzinie i każdy w niej umrze. Chyba że ktoś zdecyduje się na „psiecko" i samotność. Teraz na rynku jest promowana książka pod hasłem: „Nie potrzebuję, by ktoś mi podawał szklankę wody". Mamy narrację, że rodziny stanowią problem, bo hałasują, przeszkadzają, mają socjal, są roszczeniowe. Tymczasem rodzina to nie problem, a dobro wspólne.

Media liberalne kreują modę na bezdzietność, a przecież decyzje o rodzicielstwie lub jego braku mają korzenie kulturowe. Tymczasem zewsząd wylewa się promocja indywidualizmu i wygody. Dlaczego?

KS: No właśnie ze wszystkich stron w social mediach atakują mnie teksty pt. „Zostałam matką i tego żałuję", „Nie urodziłam dziecka dla jego dobra", „Jestem samotnym 60-latkiem i jestem szczęśliwy". To jakieś szaleństwo.

eprasa.pl b4eba63ab8

MM: Odpowiedź jest wielopłaszczyznowa. Pojawia się w niej opowieść będąca wynikiem ideologii klimatyzmu i sprowadzająca się do przekonania, że planetę trzeba ratować przed katastrofą, w związku z tym egoizmem jest sprowadzanie na ten świat życia, czeka je bowiem niebezpieczna przyszłość, a poza tym nowi ludzie przyczyniają się do zagłady planety. Ponadto indywidualizm, samorealizację często promują ludzie, którzy sami dokonali takich wyborów i chcą je narzucić innym. W naszej książce pytamy, czy dokonali ich świadomie, czy może płyną z nurtem, nie do końca wiedząc, dokąd i po co. Nie zadają sobie jednak fundamentalnego pytania: „Dlaczego tak wybrałem?".

KS: Oni często nie mają czasu na namysł, na wybór. W naszej książce nie dzielimy, nie osądzamy. Mamy świadomość, z jakimi wyzwaniami zmaga się dziś młody człowiek. Nie ma łatwo. Świat przedstawia kuszącą ofertę, a młody człowiek nieraz nie ma czasu czy sposobności, by usłyszeć głos swojego serca. Nie każdy musi być rodzicem, nie namawiamy do tego w książce „Bezpotomni". Warto się jednak zatrzymać i wsłuchać w swoje prawdziwe potrzeby. Zachęcamy, by to zrobić, póki jeszcze jest czas. Biologia ma swoje prawa. Rozumiem, że dramatyczne historie dobrze się sprzedają, ale to jest ekstremum, a nie norma. Matki, które żałują swojego macierzyństwa, stanowią margines, a media pokazują to jako normę. To nieprawdziwy obraz świata.

MM: Piszemy też o tym, że rodzic ma ogromny wpływ na to, jak dziecko postrzega rodzinę. Czy to trud i znój, czy piękno relacji. To ważne, żebyśmy jako rodzice potrafili tworzyć bezpieczny styl przywiązania. Jeśli rodzina go ma, nasze dzieci nie będą się wahały i bały, czy im się uda, czy nie uda stworzyć fajnej rodziny, tylko będą wychodziły z domu zaopatrzone w umiejętność budowania zdrowych i trwałych relacji.

AS: Dziś wmawia się ludziom, że rodzicielstwo jest bardzo skomplikowane. Tymczasem jest bardzo proste. Każdy, kto kocha, może być rodzicem. Mówimy o mediach. Czy w Polsce w prime timie, gdy najwięcej ludzi siedzi przed telewizorami, mamy programy dla rodzin? Jakieś poradniki dla rodziców? Nic takiego nie ma.



Matki, które żałują swojego macierzyństwa, stanowią margines, a media pokazują to jako normę. To nieprawdziwy obraz świata

Być może zadziałała zasada wahadła? Za poprzedniej władzy było dofinansowanie tego typu audycji czy publikacji, starano się robić rodzinie dobry PR. Teraz wręcz przeciwnie.

AS: W wojnie politycznej, która toczy się w Polsce, rodzina nie powinna być tematem, który dzieli, tylko takim, który łączy. Powinna być traktowana jako wspólne dobro. Jeśli nie będą się rodziły dzieci, nie będzie rozwoju gospodarczego, nastąpi zapaść i powinny to rozumieć wszystkie rządy bez względu na opcję. Rodzicom należy się szacunek, bo decydują się poświęcić kawał swojego życia, by wychować kolejne pokolenie. A rodzice i dzieci są wręcz wypychani z przestrzeni publicznej. I nagle decyzja o posiadaniu dzieci okazuje się heroizmem. Publicznie narzekanie na dzieci jest na porządku dziennym. Nikogo nie szokuje, jak ktoś mówi, że nie cierpi dzieci albo że o dzieciach mówi się jako o „bachorach". Dzieci przeszkadzają tym, że są.

KS: No właśnie, jest coraz więcej lokali, które zastrzegają, że nie wpuszczają dzieci, coraz więcej hoteli, które nie przyjmują dzieci. Dzieci są niechętnie widziane w przestrzeni publicznej.

AS: Bo hałasują, psują, brudzą. A dzieci są dobrem. To mali ludzie. To forma rozwoju człowieka – nie będzie dorosłego, jeśli najpierw nie będzie dziecka.

KS: Znikanie dzieci z przestrzeni publicznej nazwałyśmy w książce powolnym wygaszaniem dzieci. Robi się im kulturowy ghosting. Z jednej strony jest ich mniej, bo rodzi się ich coraz mniej, z drugiej – społeczeństwo krzywo na nie patrzy, bo przeszkadzają. Gdy byłam z synem w szpitalu, widziałam dzieci, które nie mogą być dziećmi – tak cierpią. Przestają się śmiać, rozrabiać, płakać, nie bawią się. To była bardzo przykra obserwacja. Dzieci muszą się wybawić, wykrzyczeć, napsuć itd. Obserwowanie tego jest uzdrawiające. Może dzieci

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b4eba63ab8

w przestrzeni publicznej są dla niektórych wyrzutem sumienia lub czymś na kształt ataku na ich niezależność i styl życia? Jako matka jestem postrzegana jako ta, która narzuca się ze swoim macierzyństwem i atakuje tych, którzy dokonali innych wyborów. Nie ma naszej zgody na taką narrację.

MM: Ludzi się przekonuje, że mają się czuć komfortowo, wygodnie. Jeszcze w 2012 r., kiedy na świat przyszedł Józio, wydawało mi się naturalne, że dzieci są wpisane w przestrzeń publiczną. Prężnie rozwijały się kąciki dla dzieci w restauracjach, przychodniach. Teraz tendencja jest odwrotna. Dlaczego? Aż tak wielu Polaków jest zdegustowanych posiadaniem potomstwa? Czy tak daleko przesunęła się narracja społeczna, że modne stało się narzekanie na dzieci? Dziś w społecznym odczuciu obciachem jest kibicowanie koleżance, która rodzi trzecie czy kolejne dziecko. „Postępowy" świat mówi raczej: „Stara, marnujesz życie", „Kiedy zrobisz karierę?", „Po co ci to?" Wielkim kłamstwem dzisiejszych czasów jest wmawianie kobietom, że decydując się na dzieci, tracą. A przecież macierzyństwo oznacza rozwój w wielu obszarach. Jest on możliwy dlatego, że nasze dzieci mają bardzo różne charaktery. Matki umieją łączyć wiele zadań życiowych. Wszystkie, które znam, mówią o tym, że wraz z macierzyństwem poszerzyły się ich horyzonty. W naszym ciele i umyśle uruchamiają się nowe zasoby.

Co zyskałyście na macierzyństwie?

AS: Odwagę. Narodziła się mama lwica. Stałam się bardziej odpowiedzialna, zyskałam kompetencje komunikacyjne, organizacyjne, logistyczne. Dzieci nadają sens.

MM: Zyskałam pokłady cierpliwości, stałam się mistrzem logistyki, nauczyłam się słuchać, fachowo mówi się – „mentalizować" dzieci, czyli domyślać się ich potrzeb, nawet gdy one nie są w stanie ich nazwać. Ta umiejętność przełożyła się na relacje z dorosłymi.



KS: Dzięki macierzyństwu mogłabym zrobić doktorat z marketingu i zarządzania oraz profesurę z poczucia humoru. Ono mnie zawsze ratuje. Nigdy nie byłam królową logistyki, a osiągnęłam mistrzostwo. Rozwinęłam się jako człowiek. Macierzyństwo bardzo też spaja relację małżeńską – o ile mamy ludzi dojrzałych. O dojrzałości też piszemy w książce, jej brak to dziś plaga.

> Znikanie dzieci z przestrzeni publicznej nazwałyśmy w książce powolnym wygaszaniem dzieci. Robi się im kulturowy ghosting. Z jednej strony rodzi się ich coraz mniej, z drugiej – społeczeństwo krzywo na nie patrzy, bo przeszkadzają

AS: Deklaratywnie Polki chcą mieć dzieci, ale często nie znajdują właściwego partnera, mamy przecież lukę edukacyjną. Są też oszukiwane przez media i pracodawców, którzy np. wydłużają okres zatrudnienia na czas nieokreślony, a przecież posiadanie umowy o pracę często warunkuje decyzję o macierzyństwie. Jednak bezpieczeństwo finansowe to często pretekst i nieprawdziwy bożek. Pandemia COVID-19 pokazała, że możesz mieć wszystko, a następnego dnia już cię nie ma. Jak masz dzieci i jesteś zaradny, to znajdziesz sposoby, by zarobić na te dzieci i już. Bagatelizowanym tematem jest endometrioza, która staje się częstą przyczyną bezpłodności. Fałszywa jest też dyskusja wokół in vitro, które nie jest żadnym leczeniem bezpłodności, ale wmawia się dziewczynom, że jak nie zdążą naturalnie, to przecież zawsze mają furtkę. Jest jeszcze takie zjawisko – poparte badaniami – że kobiety, które z powodu macierzyństwa niezwykle rozwinęły swoje kompetencje, w środowisku pracy muszą niemal ukrywać, że są matkami. Nie mogą się przyznać do gorszej nocy, słabszego dnia, bo bycie matką jest w zespole postrzegane in minus. Matki wspierają się w zespołach, z bezdzietnymi natomiast pracuje się im najgorzej. A my, matki, powinnyśmy być doceniane. Może nie trzeba nam od razu dawać medalu, choć właściwie – dlaczego nie?

MM: Medalu może nie, ale normalizacja wizerunku rodziny w mediach byłaby wielce pożądana.

To właśnie dlatego powstała książka „Bezpotomni"?

MM: W dużej mierze. Chciałyśmy dać narzędzie mamom, rodzicom, kobietom, które szukają swojej drogi, żeby mogły się zmierzyć z mitami i narracjami, jakie mogą spotkać. Chcemy też, by kobiety umiały odpowiedzieć na pytanie, czy decyzja o rodzicielstwie lub jego braku jest ich własna czy została im wtłoczona przez środowisko.

KS: Wszyscy poniesiemy skutki jednostkowych decyzji, dlatego powinniśmy rozumieć własne motywacje. Trzeba umieć usłyszeć własny wewnętrzny głos. Trzeba wyciszyć świat, jego narracje, social media, żeby poznać swoje myśli i pragnienia. I trzeba to zrobić, nim będzie za późno.

AS: Chcemy być sygnalistkami problemu związanego z demografią. Mamy wpływ na to, co się dzieje wokół nas. Jako matki mamy prawo alarmować, że nie ma dzieci. Znamy blaski i cienie macierzyństwa.

Maria Mościcka – filozof, charakteryzator, architekt, trener TUS, edukator metod wychowawczych, mama siódemki dzieci.

Agnieszka Stefaniuk – filolog, dyplomowany coach z wieloletnią praktyką, autorka poradnika „Jak to ogarnąć", mama siódemki dzieci.

Katarzyna Szałajko – dziennikarka, pisze teksty do amerykańskiego serwisu informacyjnego, autorka wielu książek, mama szóstki dzieci.

eprasa.pl b4eba63ab8



Kwatera powstańców styczniowych na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie

Fot. Andrzej Skwarczyński

Cmentarze, które mówią po polsku



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Od Rossy po Monte Cassino, od Łyczakowa po Teheran – w Zaduszki warto pamiętać, że wspomnienie poległych nie kończy się na granicach naszego państwa. Na całym świecie rozsiane są tysiące grobów Polaków, którzy oddali życie za ojczyznę. Każdy z nich to rozdział naszych dziejów – historia walki, tułaczki i wierności Polsce nawet w najtrudniejszych momentach

Zbliżają się dni, w których całymi rodzinami odwiedzamy groby bliskich nam zmarłych. Podróżujemy w rodzinne strony, często w odległe miejsca, by uczcić pamięć tych, których już nie ma, zapalić światło i ofiarować modlitwę. Z tej okazji warto się zatrzymać, spojrzeć dalej, poza granice Polski. Na mapie świata istnieją setki miejsc, gdzie wśród obcych krajobrazów spoczywają Polacy. Każdy z tych cmentarzy to inny rozdział polskich dziejów – opowieść o ludziach, ich oddaniu, wierze i nadziei.

eprasa.pl b4eba63ab8

MATKA I SERCE SYNA

Cmentarz na Rossie, założony w 1801 r. (choć pierwsze nagrobki pochodzą jeszcze z końca XVIII w.), jest jednym z najstarszych i najbardziej symbolicznych miejsc polskiej pamięci narodowej poza granicami kraju. Ta nekropolia stała się miejscem spoczynku przedstawicieli wielu pokoleń Polaków związanych z Wilnem i Wileńszczyzną – od uczestników powstań listopadowego i styczniowego przez profesorów Uniwersytetu Stefana Batorego po żołnierzy wojny polsko-bolszewickiej i obrońców Wilna w 1919 r. Szczególne znaczenie ma tu mauzoleum Matki i Serca Syna, gdzie złożono serce Józefa Piłsudskiego oraz prochy jego matki Marii. Spoczywają tam również wybitni przedstawiciele polskiej kultury i nauki, m.in. Joachim Lelewel, Władysław Syrokomla, a także wielu uczestników walk o niepodległość i tożsamość narodową.



Wileński Cmentarz na Rossie

Fot. Andrzej Skwarczyński x3



Po II wojnie światowej wiele nagrobków uległo dewastacji, jednak od lat 90. XX w. trwa proces odnowy. Cmentarz na Rossie z jego neogotyckimi kaplicami, kamiennymi pomnikami i inskrypcjami w języku polskim pozostaje nie tylko miejscem spoczynku, lecz także sanktuarium pamięci o polskim Wilnie i dawnych Kresach.

ORLĘTA

Na Kresach znajduje się także Cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Założony w 1786 r. jako nekropolia miejska należy do najstarszych w Europie Środkowo-Wschodniej i jest prawdziwym panteonem narodowym Polaków. Spoczywają na nim tysiące zasłużonych obywateli dawnego Lwowa – pisarze, artyści, uczeni, duchowni, politycy i żołnierze. Odnajdziemy tu groby takich postaci, jak Maria Konopnicka, Gabriela Zapolska, Seweryn Goszczyński, Artur Grottger, Stefan Banach czy Karol Szajnocha.

Szczególne miejsce zajmuje Cmentarz Orląt Lwowskich, na którym pochowano młodych ochotników poległych w walkach o Lwów w latach 1918–1919 oraz żołnierzy wojny polsko-bolszewickiej. Mimo zniszczeń i trudnych losów w okresie sowieckim nekropolia została odrestaurowana, dziś stanowi symbol polskiej obecności kulturowej i historycznej w tym regionie.

ZNISZCZONE NEKROPOLIE

Na dawnych Kresach Wschodnich zachowało się wiele nekropolii świadczących o obecności Polaków i historii I i II Rzeczypospolitej. Wśród nich na uwagę zasługuje staropolski cmentarz w Kowlu na Wołyniu, na którym spoczywają polscy żołnierze polegli w walkach I wojny światowej oraz mieszkańcy przedwojennego miasta, dziś w większości zatarci przez czas.

W Brześciu nad Bugiem, w obrębie słynnej twierdzy, zachował się Polski Cmentarz Garnizonowy z jedną z największych kwater żołnierzy wojny polsko-bolszewickiej z lat 1919–1920.

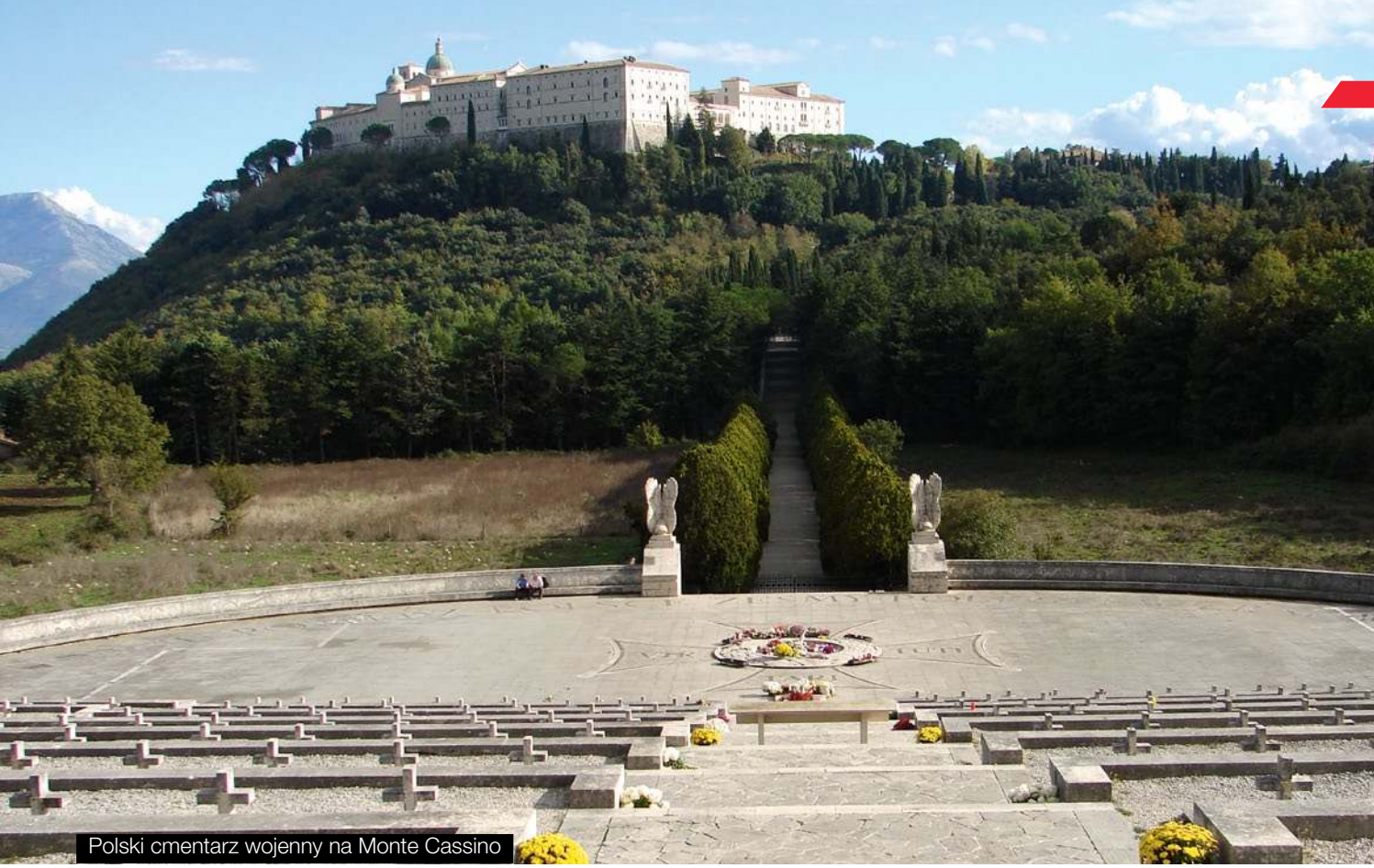
Jeden z najstarszych polskich cmentarzy na terenie obecnej Ukrainy znajduje się w Żytomierzu. Powstał w XVIII w., na kamiennych krzyżach do dzisiaj można odczytać polskie nazwiska i łacińskie inskrypcje. Są tam pochowani m.in. rodzice Ignacego Jana Paderewskiego oraz rodzina Stanisława Moniuszki.

Na dawnych Kresach spoczywają także żołnierze Armii Krajowej polegli w walkach z Niemcami i Sowietami, rozsiani m.in. po lasach Wileńszczyzny i Nowogródczyzny – w Surkontach, Mikuliszkach, Jodkiewiczach i innych miejscach, gdzie ich mogiły przez lata były pielęgnowane przez miejscową ludność. Niestety w ostatnich latach część tych miejsc pamięci została zniszczona i zbezczeszczona przez białoruski reżim, który próbuje wymazać ślady polskiej obecności i walki o wolność.

Na rozległych terenach dawnego Związku Sowieckiego, od Smoleńska po stepy Kazachstanu i pustynie Uzbekistanu, są rozsiane tysiące mogił ofiar komunistycznego totalitaryzmu. W Katyniu, Miednoje, Charkowie i Bykowni znajdujemy szczątki oficerów Wojska Polskiego, policji i państwowców zamordowanych w 1940 r. przez NKWD. Ich groby stały się symbolem zbrodni i kłamstwa katyńskiego.

Dalej na wschód, w Kazachstanie i Uzbekistanie, istnieją cmentarze Polaków zesłanych w czasie sowieckich deportacji: w Ługowoj, Kustanaju, Koływnie, Taszkencie, Dżalalabadzie czy Buzułuku. Tysiące uchodźców i żołnierzy Armii Andersa zmarło z głodu i chorób, zanim zdołało wydostać się z imperium Stalina. Te rozproszone nekropolie, często bezimienne, stanowią

eprasa.pl b4eba63ab8



Polski cmentarz wojenny na Monte Cassino

ciche świadectwo cierpienia i wytrwałości Polaków, których komunistyczni zbrodniarze rzucili na syberyjskie bezdroża i azjatyckie pustkowia, daleko od ojczyzny – za to, że byli Polakami.

W kontekście byłych krajów ZSRS nie można zapomnieć o nadal czekających na godny pochówek ofiarach rzezi wołyńskiej, tysiącach Polaków pomordowanych w latach 1943–1944 przez oddziały UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Ich szczątki wciąż oczekują na oddanie im należnej czci. Dziś spoczywają w nieoznaczonych mogiłach rozsianych po wsiach, polach i lasach, często bez krzyża i tablicy. Te miejsca, choć milczące, stanowią bolesny, niezamknięty rozdział polsko-ukraińskiej historii. Przypominają, że pamięć i prawda o ofiarach zbrodni są niezbędne w drodze do prawdziwego pojednania.

WIELKA EMIGRACJA I MACZKOWCY

Na zachodzie Europy, w podparyskim Montmorency, znajduje się cmentarz Les Champeaux, zwany Panteonem Polskiej Emigracji. To właśnie tu, w cieniu francuskich drzew, kształtowała się duchowa stolica polskiego uchodźstwa. Od XIX w. spoczywają tam przedstawiciele Wielkiej Emigracji, wśród nich Julian Ursyn Niemcewicz oraz Cyprian Kamil Norwid. Znajduje się tam również grób Ignacego Paderewskiego, a także grobowiec rodzinny Mickiewiczów – jednak bez prochów wieszcza, które w 1890 r. zostały przeniesione na Wawel.

W samym Paryżu, na Père-Lachaise, spoczywa m.in. Fryderyk Chopin, generałowie Józef Wysocki, Walery Wróblewski i Jarosław Dąbrowski. Niedaleko, w Normandii, można napotkać Polski Cmentarz Wojenny w Grainville-Langannerie, gdzie pochowanych jest 696 żołnierzy 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka, poległych w 1944 r. podczas wyzwalania Francji.

SZLAKIEM 2. KORPUSU

We Włoszech, pod wzgórzem klasztornym Monte Cassino, spoczywają żołnierze 2. Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. Władysława Andersa, którzy w maju 1944 r. zdobyli tę potężną niemiecką pozycję. Na białych krzyżach widnieją nazwiska tysięcy poległych Polaków. Centralny plac wypełnia ogromny krzyż Virtuti Militari oraz piękne epitafium: „Przechodniu, powiedz Polsce, żeśmy polegli wierni w jej służbie". Pieśń „Czerwone maki na Monte Cassino", upamiętniająca boje 2. Korpusu, stała się jednym z najważniejszych symboli polskiego czynu niepodległościowego. Na samym cmentarzu co roku odbywają się uroczystości, w których uczestniczą najważniejsi przedstawiciele władz RP. Jednocześnie należy wspomnieć o największym z czterech polskich cmentarzy wojennych we Włoszech, znajdującym się w San Lazzaro – na przedmieściach Bolonii.

Wracamy na wschód, do Iranu – w Teheranie, w dzielnicy Dulab, znajduje się Polski Cmentarz. W 1942 r. przez irańskie porty przybyła duża grupa Polaków (żołnierzy i cywilów) ewakuowanych z ZSRS razem z armią Andersa. Wielu z nich nie przeżyło trudów marszu, głodu i chorób. Ambasada RP kupiła część terenu w Dulabie i oznaczyła polski sektor. Spoczywa tam ok. 2 tys. osób, zarówno dorosłych, jak i dzieci. Na cmentarzu znajduje się cokół z tablicą pamiątkową z polskim napisem: „Pamięci Wygnańców Polskich, którzy w drodze do ojczyzny w Bogu spoczęli na wieki 1942–1944". W czasie

eprasa.pl b4eba63ab8

wojny na obszarze Iranu zmarło ponad 3,5 tys. Polaków, w tym 611 wojskowych. Poza Teheranem największe polskie nekropolie w Iranie znajdują się w Isfahanie, nazywanym Miastem Polskich Dzieci, Anzali i Kazwinie.

W konsekwencji ewakuacji Polaków ze Związku Sowieckiego osiedle dla polskich uchodźców powstało także w miejscowości Valivade w regionie Kolhapur w południowo-zachodnich Indiach. Na cmentarzu przy obozie Valivade zostało pochowanych – według różnych relacji – od 76 do 86 Polaków. Prace renowacyjne z udziałem strony polskiej miały tam miejsce w 2014 r. W Afryce Wschodniej pamiątką po tamtym exodusie są polskie cmentarze w Nyabyeya w Ugandzie i Tengeru w Tanzanii, gdzie pochowano Polaków, głównie kobiety i dzieci, którzy po opuszczeniu ZSRS znaleźli schronienie w brytyjskich koloniach. W Nyabyeya do dzisiaj stoi krzyż-pomnik, na którym widnieje inskrypcja: „Let us pray for the dead Poles. 1939–1947". Prace konserwacyjne na tym cmentarzu ukończono w 2023 r. dzięki polskim instytucjom. W latach 1942–1948 w polskim obozie w Tengeru mieszkało ok. 5 tys. Polaków, a miejsce wiecznego spoczynku odnalazło tam ok. 150 osób.

W Egipcie, w pobliżu Kanału Sueskiego, znajduje się Cmentarz Wojenny w Kantarze. Pochowano tam 259 Polaków walczących na afrykańskim teatrze wojny lub zmarłych w polskim szpitalu nr 8, w tym gen. bryg. Kazimierza Radziwiłłowicza z 2. Korpusu oraz płk. Bahaeddina Chursz-Emir-Hassana – uczestnika wojny polsko-bolszewickiej walczącego w pułku jazdy tatarskiej. Każdy z tych cmentarzy przypomina o losach tysięcy Polaków wyrwanych ze swoich domów, którzy do końca wierzyli w powrót do ojczyzny.

AMERYKAŃSKA CZĘSTOCHOWA

Za oceanem pamięć o Polsce trwa w miejscach, gdzie swoje życie budowała emigracja. W USA, w Niles na przedmieściach Chicago, znajduje się Cmentarz św. Wojciecha, założony w 1872 r. przez polskich imigrantów. Wśród tysięcy nagrobków wyróżnia się odsłonięty w 2009 r. pomnik ofiar zbrodni katyńskiej, upamiętniający polskich oficerów zamordowanych w 1940 r. przez NKWD. Najbardziej znany polski cmentarz w USA – Narodowe Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown w stanie Pensylwania – jest potocznie nazywany amerykańską Częstochową. Przy wejściu do tamtejszego kościoła znajduje się wmurowane serce Ignacego Paderewskiego. Wśród pochowanych tam 5 tys. osób można odnaleźć m.in. jednego z liderów Polskiego Państwa Podziemnego, Stefana Korbońskiego, oraz dowódcę dywizjonu 303 gen. Witolda Urbanowicza.

> Jeden z najstarszych polskich cmentarzy na terenie obecnej Ukrainy znajduje się w Żytomierzu. Powstał w XVIII w., na kamiennych krzyżach do dzisiaj można odczytać polskie nazwiska i łacińskie inskrypcje. Są tam pochowani m.in. rodzice Ignacego Jana Paderewskiego oraz rodzina Stanisława Moniuszki

W Stanach Zjednoczonych większe polonijne nekropolie znajdują się także w Detroit, Nowym Jorku oraz Buffalo. W sąsiedniej Kanadzie w miejscowości Libau w prowincji Manitoba znajduje się cmentarz św. Józefa, miejsce spoczynku pierwszych polskich osadników na północy. Niedaleko jeziora Ontario, w Niagara-on-the-Lake, jest cmentarz wojskowy, gdzie pochowano polskich ochotników z armii Hallera, którzy w latach 1917–1919 trenowali w Obozie Kościuszko i zmarli w czasie epidemii hiszpanki.

POD BRAZYLIJSKIM SŁOŃCEM

Najdalej na południe, w Pátio Velho w brazylijskim stanie Paraná, znajduje się cmentarz polskich emigrantów. Do ówczesnej kolonii Polacy przybyli w drugiej połowie XIX w. w poszukiwaniu lepszego życia. W wyniku epidemii tyfusu wielu zmarło już na początku pobytu; cmentarz powstał ok. 1911 r., z prostymi drewnianymi krzyżami. Dziś stoi tam drewniana kaplica z 1912 r. z inskrypcją: „Opuścili Polskę, swoją ojczystą ziemię, przybyli do Brazylii, ziemi obiecanej, przeszli przez ból i cierpienie... spoczęli na tym cmentarzu". Ich groby, często skromne i drewniane, są świadectwem nie tylko biedy i trudu, lecz także siły wspólnoty, która zachowała język, wiarę i tradycję, mimo że od ojczyzny dzieliło ją tysiące kilometrów.

* * *

Te rozsiane po świecie nekropolie – od Wilna po Tanzanię, od Normandii po Brazylię – tworzą szlak historii polskiej tożsamości narodowej. Każda z nich stanowi świadectwo poświęcenia i miłości do ojczyzny. Pamięć o Polakach wykracza więc poza granice naszego państwa. Imiona zapisane na kamieniach, nawet jeśli zatarte przez czas, wciąż opowiadają dzieje narodu i jego tułaczki. Pamięć ta przetrwała dzięki pielęgnowaniu tej tradycji przez liczne pokolenia Polaków rozsianych po całym świecie, którzy niekiedy dokonali żywota na obczyźnie.

Gdy oddajemy należny szacunek naszym bliskim zmarłym, nie zapominajmy o licznych historiach ludzi samotnych i opuszczonych. Kultywujmy ich pamięć, wspierając chociażby jedną z wielu zbiórek mających na celu ratowanie zapomnianych polskich nekropolii. Jednak pamięć o naszych narodowych bohaterach, a także często bezimiennych tułaczach, nie powinna kończyć się na Zaduszkach – wymaga ona naszej stałej uwagi, czerpania mądrości z ich życia oraz śmierci.

eprasa.pl b4eba63ab8



Nie będzie rozejmu na wschodzie Europy



JAN ROKITA

Tylko dwa państwa na całym ziemskim globie dysponują na tyle silnymi narzędziami presji na Moskwę, iżby móc w ogóle myśleć o doprowadzeniu do rozejmu w wojnie Rosji z Ukrainą

Mocno pomylili się wszyscy, którzy parę tygodni temu uznali, że Donald Trump porzucił sprawę pokoju na Wschodzie Europy, albowiem odkrył, że to w istocie sprawa beznadziejna.

Pamiętamy, jak we wrześniu 2025 r. Trump niespodzianie oznajmił, iż Ukraina jest na tyle silna, że sama może odbić wszystkie terytoria utracone na rzecz Moskwy, Ameryka zaś ograniczy się do sprzedawania broni NATO, „z którą może ono robić, co chce". W Kijowie nie wiedzieli wtedy, czy mają się radować z tak nagle odzyskanej przez Trumpa wiary w zwycięstwo Ukrainy, czy raczej smucić konstatacją – sugerującą nie wprost – iż dalsze zajmowanie się tą wojną przez Stany Zjednoczone jest wysiłkiem jałowym, niczym przelewanie z pustego w próżne.

Pośród tych, którzy się pomylili, wieszcząc czas rosnącej obojętności Ameryki na losy wojny na Wschodzie, jest także premier Donald Tusk. Niesłusznie pisał wtedy na platformie X: „Za tym zaskakującym optymizmem kryje się zapowiedź mniejszego zaangażowania USA i przerzucenie odpowiedzialności za zakończenie wojny na Europę. Lepsza prawda niż iluzje".

Fot. Daniel Torok/Official White House

eprasa.pl b4eba63ab8

DWA FUNDAMENTY ROZEJMU

Od blisko czterech lat wojny na Wschodzie Europy w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło, gdy idzie o realne szanse na przywrócenie pokoju. Dwie oczywistości są i zapewne pozostaną niezmienne.

Pierwszą jest ta, że sednem jakiegokolwiek rozejmu musi być rozkaz Władimira Putina, by zatrzymać, choćby na jakiś czas, dalsze parcie armii rosyjskiej na zachód, z czego wynika, że zakończenie rozlewu krwi jest możliwe tylko wtedy, gdy toczą się jakieś negocjacje z Moskwą. Ilekroć takie rozmowy są zrywane, oznacza to, że wojna musi trwać, a Moskale, choć opornie i powoli, będą się dalej posuwać naprzód, do geograficznego i politycznego centrum Ukrainy. W tych dniach znów posunęli się o kilka wsi w regionie Charkowa i Dnipro. I ilekroć kontakty z Putinem są wznawiane, tylekroć znów rysuje się słaba, ale jednak jakaś nadzieja na zatrzymanie pochodu Moskali na zachód. Piszę tutaj te – jak mi się zdaje – polityczne truizmy tylko dlatego, że zawsze, gdy biorę do ręki prasę europejską, w tym polską, mam uporczywe wrażenie powszechnego ignorowania owej pierwszej oczywistości – nie tylko przez licznych komentatorów, lecz także polityków.

Oczywistością drugą, która również nie uległa zmianie od blisko czterech lat wojny i zapewne nie zmieni się także w przyszłości, jest to, że tylko dwa państwa na całym globie dysponują na tyle silnymi narzędziami presji na Moskwę, iżby móc w ogóle myśleć o doprowadzeniu do rozejmu. Każdy wie, jakie to państwa – Chiny i Stany Zjednoczone. Wyraźna odmowa wsparcia inwazji rosyjskiej przez Pekin musiałaby wprawić Putina w przerażenie, ale niestety cała strategia chińskich komunistów polega na tym, aby w Europie umiejętnie podsycać poczucie zagrożenia przez Moskwę. Jak ostatnio dość bezceremonialnie i zapewne nie bez racji mówił szef NATO Mark Rutte: „Kiedy Chińczycy zdecydują się na inkorporację Tajwanu, to najpierw skłonią Moskwę do ataku na Europę, aby w ten sposób sobie ułatwić życie". Dlatego żywione jakiś czas temu rachuby na choćby ciche i poufne przywołanie do porządku Putina przez Xi Jinpinga dawno spaliły na panewce. I dziś nikt poważny w nic takiego już nie wierzy.

Pozostaje zatem Ameryka i Trump. María Machado, świeża laureatka Pokojowej Nagrody Nobla, która (jeśli można tak rzec) właśnie „pokonała" Trumpa, jawnie ubiegającego się o tę nagrodę – co wzbudziło słyszalne pomruki niezadowolenia w Białym Domu – w pierwszych spontanicznych słowach swojej radości mówiła, iż dziękuje amerykańskiemu prezydentowi za to, iż swoim mocnym sprzeciwem wobec komunistycznej dyktatury w Wenezueli „wlał nadzieję w serca Wenezuelczyków".

> Wcześniej czy później Trump uzbroi Ukrainę w ciężkie pociski dalekiego zasięgu. To nie zmieniłoby z dnia na dzień ogólnej sytuacji w tej wojnie, ale kremlowski tron może się w końcu naprawdę zachwiać

Ukraińcy są w identycznej sytuacji, a ich jedyną nadzieją na ocalenie – poza własną odwagą i skutecznym przywództwem Wołodymyra Zełenskiego – jest Ameryka i Trump.

WSPÓLNY FRONT WOBEC ROSJI

To nie przypadek, że wtedy, gdy europejskie media rozrywały szaty po zapowiedzi kolejnego szczytu Trumpa z Putinem, tym razem w Budapeszcie, szef ukraińskiej dyplomacji Andrij Sybiha z satysfakcją stwierdzał, iż to, że Waszyngton i Kijów debatują ostatnio o wyposażeniu armii ukraińskiej w rakiety dalekiego zasięgu Tomahawk, „zmusiło Putina do powrotu do dialogu z Ameryką". Co prawda optymizm Sybihy okazał się przedwczesny, ale za to mogliśmy się dobitnie przekonać, iż Kijów ma autentyczną motywację do przerwania wojny.

Szef ukraińskiej dyplomacji nawiązuje oczywiście do ciągle nieudanych starań Zełenskiego o tomahawki, co – jak się uważa – miało być głównym tematem rozmów podczas jego ostatniej wizyty w Białym Domu w piątek 17 października. Ukraiński prezydent mówi, iż w tej sprawie jest realistą, więc cieszy się, że Trump „nie powiedział »nie«, ale na dziś nie powiedział też »tak«".

Ale wszystko wskazuje na to, że przynajmniej do tej pory Trump – jak często zwykł czynić w polityce międzynarodowej – używa groźby dostawy tych pocisków dla Ukraińców jako instrumentu presji na Putina. Zresztą sam prezydent USA (jeśli tylko uważnie słuchać tego, co mówi) przyznaje to niemal otwarcie, w taki sposób relacjonując własną długą rozmowę telefoniczną z władcą Kremla: „Powiedziałem mu: czy nie miałbyś czasem nic przeciw, abym wysłał kilka tysięcy tomahawków twoim przeciwnikom? No i nie spodobał mu się ten pomysł". Po czym niby żartem Trump dodaje: „Czasem należy okazać trochę beztroski".

Oczywiście w unijnej Europie zgrozę wzbudziła nawet nie tyle sama zapowiedź ponownego amerykańsko-rosyjskiego szczytu, ile polityczna geografia stojąca za tym spotkaniem. Z perspektywy unijnej elity, która izoluje dzisiejsze Węgry, a Victora Orbána traktuje jako europejskiego „czarnego Piotrusia", wybór Budapesztu (co było propozycją USA) był traktowany jako „polityczny koszmar". To określenie pochodzi z wypowiedzi kilku wysokich urzędników unijnych, anonimowo rozmawiających z dziennikarzem lewicowej hiszpańskiej gazety „El Pais".

Europejczycy zwykli alergicznie reagować na wszelkie przejawy niedoceniania ich znaczenia w rozwiązaniu konfliktu na Wschodzie, co świadczy raczej o uprawianiu w Europie niskiej jakości „polityki prestiżu". A jak wiadomo, skoro do szczytu ostatecznie nie

Autopromocja

eprasa.pl b4eba63ab8

doszło – wskutek buty moskiewskiej polityki – tym bardziej pozostało fatalne wrażenie europejskiego obrażalstwa.

W prawdziwie wielkiej polityce amerykańsko-rosyjskiej jest przecież tylko jedno istotne pytanie: czy Putin jest teraz choć trochę bardziej przelękniony niźli w sierpniu na Alasce, a w efekcie bardziej skłonny do zawieszenia broni? Prawdę mówiąc, nadal zbyt mało na to wskazuje. A niezmienny optymizm prezydenta USA, będący jego stałą strategią negocjacyjną, ciągle jeszcze wydaje się co najmniej przedwczesny. Podobnie jak przed spotkaniem w Anchorage Trump zapewnia świat, iż po rozmowie telefonicznej z Putinem uważa, że władca Rosji chce doprowadzić do rozejmu. Ale wszyscy pamiętają, że tamte sierpniowe nadzieje okazały się płonne.

Choć stopniowo dowiadujemy się o ciekawych okolicznościach tamtego spotkania, obalających upowszechniony wtedy mit o tym, jak to Putin potrafił „robić Trumpa na szaro". Teraz jednak okazuje się, że rozmowy obfitowały w gwałtowne spory, a jak donosi „Financial Times", Trump miał krzyczeć na Putina i grozić mu przerwaniem rozmowy. Rzecz jasna nie wiemy, w jakim stopniu te przecieki odpowiadają prawdzie.

Istotne jest to, iż pomiędzy Waszyngtonem i Kijowem nie ma dziś żadnych różnic zdań co do tego, jak miałaby wyglądać droga do hipotetycznego pokoju na Wschodzie Europy. Po ostatnich rozmowach z Zełenskim Trump tak pisał na Truth Social: „Powinni się zatrzymać tam, gdzie są. Niech obaj odniosą zwycięstwo. Niech zadecyduje historia". A Zełenski tak reagował: „Prezydent ma rację. Musimy zatrzymać się tam, gdzie jesteśmy, a potem rozmawiać".

Publicznie wygląda to zatem tak jakby Ukraina i USA utrzymywały dziś spójny front wobec Moskwy, którego sednem jest żądanie uznania przez Putina prawnej zasady *uti possidetis* jako jedynej możliwej formuły zawieszenia broni. To mogłoby wyglądać na spory przełom. Ale zza kulis waszyngtońskiej wizyty Zełenskiego napływają wieści, jakoby w trakcie tej wizyty Trump jeszcze raz podjął nieudaną próbę nakłonienia przywódcy Ukrainy do wydania Moskalom całego obwodu donieckiego, na terenie którego nadal toczą się walki. Amerykański prezydent nie tak dawno publicznie sugerował, iż będą musiały nastąpić jeszcze (oczywiście na żądanie Putina) jakieś „wymiany terytoriów", co Kijów kategorycznie odrzucał. Z kolei przywództwo Ukrainy nie akceptowało zasady „tam, gdzie dziś stoimy", pryncypialnie uważając, że Moskwa ma ustąpić z ukraińskich ziem okupowanych przez armię rosyjską.

UPARTY PUTIN

Jeśli zatem uznać, że także z polskiej perspektywy lepiej, aby ta wojna się skończyła, to sam fakt, iż Ameryka nadal będzie prowadzić wysiłki mediacyjne, napawa optymizmem. I to mimo oczywistego fiaska prezydent Stanów Zjednoczonych, który pomimo licznych wysiłków ciągle nie jest w stanie sprostać sytuacji.

Niezbitym faktem jest jednak to, iż Rosja po raz pierwszy stoi w obliczu kryzysu ekonomicznego wywołanego przez wojnę, w tym – co dla Rosjan musi być swego rodzaju szokiem – energetycznego. Już nie jest tylko tak, że rosyjskie drony i pociski demolują system energetyczny Ukrainy, okazuje się, iż w tej materii to Ukraina ma coraz większe możliwości odwetu. Więc coraz częściej płoną rosyjskie instalacje energetyczne, a Moskale stoją w kolejkach po benzynę, której brakuje.

Jednak twardy i uparty Putin daje wyraźny znak, iż bardziej zależy mu na likwidacji niepodległej Ukrainy niźli na znalezieniu rozwiązania dla krwawego konfliktu. Ale to znaczy, że Moskwa musi się liczyć z tym, iż Trump wcześniej czy później uzbroi Ukrainę w ciężkie pociski dalekiego zasięgu. To nie zmieniłoby z dnia na dzień ogólnej sytuacji w tej wojnie, ale kremlowski tron może się w końcu naprawdę zachwiać.



eprasa.pl b4eba63ab8

Warunki zakończenia wojny

Tak długo, jak każda ze stron konfliktu będzie uważała, że w wyniku działań wojennych jest w stanie zyskać dodatkowe atuty potrzebne w czasie rozmów pokojowych, szanse na przełom wydają się niewielkie



MAREK BUDZISZ

Negocjacje między Trumpem a Putinem, które miały się odbyć w Budapeszcie, zostały odwołane. Jest to rezultat dialogu telefonicznego szefa rosyjskiego MSZ z jego amerykańskim odpowiednikiem. Co prawda przedstawiciele Białego Domu powiedzieli mediom, że rozmowy Rubio–Ławrow były owocne, a anonimowy niemiecki dyplomata zdradził dziennikarzom „The Financial Times", że szefowie dyplomacji obydwu krajów spotkają się w Budapeszcie najprawdopodobniej 30 października, ale odwołanie spotkania na szczycie potwierdza nie tylko, że do ewentualnego porozumienia jeszcze bardzo daleko, lecz także to, iż stanowiska wyjściowe uczestników negocjacji są – na razie – nie do pogodzenia.

Warto zatem opisać, czego chce Moskwa, jakie rozwiązania preferuje Kijów i wspierające Ukrainę europejskie stolice, wreszcie – o czym myśli się w Waszyngtonie. Wizje pokoju, warunków zakończenia wojny i tego, jak będzie wyglądał powojenny świat, różnią się bowiem – nieraz znacznie – co utrudnia, a na razie nawet blokuje rozpoczęcie rzeczywistego procesu pokojowego.

Następnego dnia po odwołaniu spotkania w Budapeszcie, aby zwiększyć presję na Moskwę, amerykański Departament Skarbu ogłosił objęcie sankcjami dwóch największych rosyjskich koncernów paliwowych – Rosnieftu i Lukoilu, a prezydent Trump powiedział, że „nie ma zamiaru" uczestniczyć w spotkaniach, które nie prowadzą do oczekiwanego celu, czyli zawieszenia broni i rozpoczęcia rozmów pokojowych.

Jakie są szanse na przełom? Na razie niewielkie, bo rozbieżności są na



eprasa.pl b4eba63ab8

tyle głębokie, że uniemożliwiają zbudowanie kompromisu. To oznacza, że w najbliższym czasie będziemy raczej obserwowali intensyfikację walk, nalotów i ataków rakietowych, bo presja musi rosnąć, aby zmiękczyć walczące strony.

ROSJA CHCE CAŁEGO DONBASU

Pierwszym punktem spornym blokującym rozmowy są warunki, po spełnieniu których mają zostać rozpoczęte negocjacje. Ukraina i jej europejscy sojusznicy, którzy przygotowali specjalny 12-punktowy „plan pokojowy", chcą zawieszenia broni i zamrożenia walk wzdłuż obecnej linii frontu. Z kolei Ławrow stanowczo odrzucił tę koncepcję, deklarując, że „natychmiastowe zawieszenie broni, o którym teraz nagle znów się dyskutuje, w przeciwieństwie do konieczności rozwiązania istoty problemu i wyeliminowania jego przyczyn oznaczałoby tylko jedno – że ogromna część Ukrainy pozostaje pod kontrolą reżimu nazistowskiego". Innymi słowy – Rosja chce wszystkiego, również podporządkowania sobie Ukrainy, i nie zamierza zadowalać się połknięciem Donbasu.

Po niedawnym spotkaniu Trump–Zełenski w Białym Domu, które w świetle nieoficjalnych informacji amerykańskich mediów przebiegało „w napiętej atmosferze", prezydent USA miał się domagać, aby Wołodymir Zełenski zgodził się na wstępne warunki Putina. Miałyby się one sprowadzać do zgody na oddanie „całości Donbasu" w zamian za niesprecyzowane ustępstwa terytorialne Rosjan, bo w czasie rozmowy telefonicznej z Trumpem Putin miał się ponoć zgodzić na zwrot Ukrainie części okupowanych obwodów chersońskiego i zaporoskiego. Jednak kwestia, czy negocjacje mają zostać poprzedzone zawieszeniem broni, czy równolegle będą toczyć się walki, jak chce Moskwa, a także ewentualna wstępna zgoda stron na „wymianę terytoriów" nie mają technicznego charakteru, tylko przesądzają, o jakim pokoju mówimy. Dlatego wzbudzają tyle emocji.

Ukraińcy, oddając Rosjanom 22 proc. obwodu donieckiego – bo taki obszar dziś kontrolują – straciliby swe główne punkty oporu, bo Słowiańsk, Kramatorsk czy Pokrowsk zostały przekształcone przez nich w twierdze, umocnione i trudne do zdobycia w obecnej fazie wojny. Ich oddanie oznaczałoby, że Rosjanie mają otwartą drogę w głąb lewobrzeżnej Ukrainy i mogą wznowić działania wojenne ze znacznie lepszych pozycji w dogodnym dla siebie momencie.

Kijów musiałby zatem podjąć trudną, bo kosztowną, decyzję o budowie kolejnej linii umocnień albo wierzyć, że Rosjanie będą przestrzegać zawieszenia broni. Bez gwarancji bezpieczeństwa – czy w postaci porozumień traktatowych, czy międzynarodowych sił rozjemczych na linii rozgraniczenia walczących wojsk, tak jak od 70 lat na Półwyspie Koreańskim – Ukraina byłaby zdana na łaskę Rosjan.

> Ukraińcy, oddając 22 proc. obwodu donieckiego – bo taki obszar dziś kontrolują – straciliby swe główne punkty oporu i otworzyli Rosjanom drogę w głąb lewobrzeżnej Ukrainy

Alternatywą jest budowa nowych ufortyfikowanych pozycji, ale na to Kijów nie ma pieniędzy. Ukraina wydaje na potrzeby wojny 28 proc. swego PKB, czyli wszystkie środki, które zdoła zebrać z podatków czy innych opłat. Aby państwo mogło normalnie funkcjonować, Kijów potrzebuje rocznie pożyczyć albo dostać w formie pomocy 40 mld dol. Minister obrony Szmyhal powiedział niedawno, że szacowane potrzeby finansowe Ukrainy na najbliższe cztery lata – niezależnie od tego, czy wojna się zakończy, czy będzie trwała – wynoszą minimum 150 mld dol. I taką pożyczkę Kijów negocjuje właśnie z Bankiem Światowym, pokładając przy tym nadzieję w decyzji państw europejskich, które skłaniają się do tego, aby użyć rosyjskich aktywów zamrożonych w Belgii w charakterze zabezpieczeń dla ukraińskich kredytów.

Rosjanie nazywają to konfiskatą ich własności i zapowiadają srogie konsekwencje, w tym niekończące się procesy, a także nacjonalizację majątków zachodnich firm, ale bez tej decyzji trudno będzie finansować Ukrainę, korzystając wyłącznie z zasobów rynkowych. Powód jest prosty. Już w tym roku ukraiński dług publiczny przekroczył 108 proc. w relacji do PKB i wszyscy zajmujący się finansami doskonale wiedzą, że Ukraina zapewne nie spłaci ani starych, ani tym bardziej nowych kredytów. A to z kolei oznacza, że bez rozstrzygnięcia kwestii gwarancji bezpieczeństwa i źródeł finansowania państwa ukraińskiego raczej nie ma mowy o zakończeniu wojny, bo równałoby się to skokowi w nieznane w wykonaniu Zełenskiego i jego ekipy. A ukraiński prezydent nie chce ryzykować, tym bardziej że rozpoczęcie procesu pokojowego przybliża wybory prezydenckie i parlamentarne.

SONDAŻE I NASTROJE NA UKRAINIE

Na decyzje o zakończeniu wojny i rozpoczęcie rozmów oczywisty wpływ mają sondaże przedwyborcze. A te nie dają Zełenskiemu wielkiego pola manewru. Z badań przeprowadzonych pod koniec sierpnia przez Agencję Reiting wynika, że osobą publiczną, której Ukraińcy najbardziej ufają, wcale nie jest urzędujący prezydent. 74 proc. ankietowanych wierzy Wałerijowi Załużnemu, byłemu dowódcy ukraińskich sił zbrojnych, obecnie ambasadorowi w Londynie, Zełenski jest drugi – z 68 proc. wskazań, a trzecie miejsce zajmuje – mając 59 proc. – Kyryło Budanow, szef ukraińskiego wywiadu wojskowego. W innym badaniu ten ostatni w rankingu zaufania wyprzedził Zełenskiego o ponad 5 proc. Ukraińcy pytani o to, na kogo oddadzą głosy w wyborach prezydenckich, wskazali na pierwszym miejscu obecną głowę państwa, którą według badań grupy Socis zamierza poprzeć

Fot. Defense of Ukraine

eprasa.pl b4eba63ab8

21,2 proc. ankietowanych, ale Załużny może liczyć na 19,4 proc. poparcia. W drugiej turze, która przy takim rozkładzie głosów wydaje się niemal pewna, były dowódca ukraińskich sił zbrojnych pewnie wygrywa, bo zamierza na niego oddać głos 63,7 proc. badanych. W wyborach do Rady Najwyższej zwycięzcą – w świetle sondaży – będzie też umowna, a dziś nieistniejąca formacja stworzona przez Załużnego.

Tak się rozkładają nastroje Ukraińców, kiedy kwestia „oddania Donbasu" Rosji nie jest jeszcze poważnie rozpatrywana. Jak wyglądałyby szanse wyborcze Zełenskiego, gdyby zgodził się on na kształt porozumienia podpowiadany mu przez Trumpa i oddałby Rosjanom ukraińskie ziemie, nie mając ani gwarancji bezpieczeństwa ze strony sojuszników, ani pewności, iż pomoc finansowa będzie kontynuowana?

Kijów będzie czekał nie tylko na ważne decyzje finansowe, dostawy broni i gwarancje, lecz także chce przetestować, jakie efekty przyniesie strategia polegająca na nasilonych atakach na obiekty przemysłowe położone na rosyjskich tyłach. W ostatnich kilku tygodniach ukraińskie siły koncentrują się na uderzeniach w rafinerie i instalacje gazowe. Niektóre rosyjskie firmy, takie jak rafineria w Nowokujbyszewsku, która od lipca została trafiona już trzeci raz, są wręcz metodycznie niszczone. W rezultacie rosyjski eksport ropy i artykułów ropopochodnych spadł do najniższego poziomu od 2022 r., a to jedno z głównych źródeł finansowania wojny.

Nie można jednak popadać w hurraoptymizm. Jak napisał dla Carnegie Serhij Wakułenko, mówienie o wyeliminowaniu 38 proc. rosyjskich zdolności przetwórczych bardziej zaciemnia realny obraz sytuacji, niż rzetelnie ją opisuje. Jest oczywiście prawdą, że w wyniku ukraińskich ataków Rosjanie stracili taką część nominalnych, ale już nie realnych możliwości. Po pierwsze, proste sumowanie zdolności przetwórczych całych rafinerii w sytuacji, kiedy uderzenia dotyczą konkretnych linii przerobu ropy (których może być kilka), powoduje, iż zawyżamy skalę zniszczeń. Po drugie, instalacje podlegają naprawie i po kilkunastu dniach, czasem kilku tygodniach, zaczynają funkcjonować. Po trzecie, Rosjanie zawsze mają rezerwowy potencjał. Jeśli unieruchomiona zostaje jedna z dwóch linii w danym zakładzie, nie oznacza to, iż wyeliminowano w ten sposób 50 proc. zdolności przetwórczych, bo czynne instalacje mogą intensywniej pracować.

DYLEMAT PUTINA

Ukraińskie uderzenia są dla Rosji bolesne, co widać na przykładzie przyszłorocznego budżetu Federacji, w którym po raz pierwszy od rozpoczęcia wojny założono wzrost obciążeń podatkowych ludności, i powodują też bolesne zakłócenia na rynku wewnętrznym, ale jeszcze daleko, aby w ich wyniku Rosja została rzucona na kolana i zaakceptowała warunki pokoju korzystne dla Ukrainy. To znacznie dłuższy proces, który w najbliższym czasie będzie podlegał intensyfikacji.

Siły ukraińskie zaczynają bowiem atakować, używając dronów dalekiego zasięgu i rakiet – zarówno własnych, jak i dostarczonych przez sojuszników – rosyjskie fabryki kluczowe dla sektora zbrojeniowego. Tylko jednego dnia uderzono w Briański Zakład Chemiczny produkujący proch i materiały wybuchowe, Sarański Zakład Mechaniczny zaopatrujący rosyjskie siły w amunicję i detonatory oraz w fabrykę Plastmass, również produkującą amunicję i materiały wybuchowe. Ta taktyka w połączeniu ze stałym uderzaniem w rosyjskie linie logistyczne ma doprowadzić do deficytu środków walki po stronie agresora, świadczy również o czymś znacznie ważniejszym.

Słabnie rosyjska obrona przestrzeni powietrznej. Ukraińcy mają zamiar intensyfikować w najbliższym czasie uderzenia na Moskwę i Petersburg – dwa ich zdaniem najlepiej bronione miasta na świecie, aby dotychczasowy atut Rosji, czyli ogromną przestrzeń, przekształcić w jej strategiczne przekleństwo. Kijów chce postawić Putina przed bolesnym dylematem strategicznym, który sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, co bronić przed atakami z powietrza: dwie rosyjskie „stolice" czy zakłady o kluczowym znaczeniu dla wysiłku wojennego.

Na dodatek w najbliższym czasie Ukraina może otrzymać szwedzkie gripeny. W czasie ubiegłotygodniowej wizyty Zełenskiego w Sztokholmie premier Ulf Kristersson poinformował o kontrakcie na sprzedaż Kijowowi docelowo nawet 150 myśliwców czwartej generacji JAS 39 Gripen. Dostawy trwać będą lata, ale warto przypomnieć, że jeszcze w 2023 r. Szwecja planowała przekazanie Ukrainie używanych maszyn tego typu. Wówczas nie podjęto decyzji i całą sprawę zamrożono, bo Ukraińcy rozważali, czy kupić gripeny, czy amerykańskie F-16. Teraz sprawa jest rozstrzygnięta i Kristersson zapowiedział, że już niedługo Szwecja może przekazać używane gripeny, którymi potrafią latach ukraińscy piloci, a dodatkowo sprezentuje Ukrainie samolot Saab 890 typu AWACS.

Te posunięcia oznaczają nową fazę rywalizacji o to, kto będzie dominował w ukraińskiej przestrzeni powietrznej, a także pozyskanie przez Kijów samodzielnych zdolności w zakresie rozpoznania i zwiadu elektronicznego. Bez tego rodzaju danych nie ma mowy o precyzyjnych uderzeniach rakietowych na cele położone na rosyjskich tyłach.

Rosjanie są zdania, że wygrywają wojnę, a ich przewaga będzie rosła w nadchodzących tygodniach. Ukraińcy przeciwnie – przygotowali scenariusz zakładający intensyfikację ataków rakietowych na rosyjskie cele. A czego chce Biały Dom? Szybkiego zakończenia wojny. Nie tylko dlatego, że Trump chce przejść do historii jako „prezydent pokoju", ale przede wszystkim z tego powodu, że wygaszanie konfliktów pozwoli Amerykanom skoncentrować sią na najważniejszym dla nich wyzwaniu, jakim jest rywalizacja z Chinami. W tym celu Waszyngton wywiera presję zarówno na Kijów, jak i na Moskwę. W minionym tygodniu mieliśmy do czynienia z próbami dyscyplinowania Ukraińców, teraz wchodzimy w fazę nakłaniania Putina do rozpoczęcia negocjacji pokojowych. Czy są w takim razie widoki na sukces?

Tak długo, jak każda ze stron konfliktu będzie uważała, że w wyniku działań wojennych jest w stanie zyskać dodatkowe atuty potrzebne w czasie rozmów, szanse na przełom wydają się niewielkie. Ale czas płynie i wojna niedługo zweryfikuje skuteczność strategii, a co za tym idzie, pozycje negocjacyjne walczących.

eprasa.pl b4eba63ab8

W objęciach niedźwiedzia

Wojna zawsze była narzędziem polityki Putina, ale Niemcy postawiły na appeasement i wielomiliardowe kontrakty gazowe. Berlin chciał nawet modernizować rosyjskie wojsko i mało brakowało, by ten plan się ziścił. Tuż przed aneksją Krymu



ALEKSANDRA RYBIŃSKA



25 września 2021 r. Prezydent Rosji Władimir Putin przemawia w Bundestagu. Mówi cicho, z rezerwą i po niemiecku. Wspomina o Goethem i Dostojewskim. „Najważniejszym celem jest stabilny pokój na kontynencie" – zaznacza. I dodaje: „Rosja jest przyjaznym krajem europejskim". Słuchają go pełni oczekiwania niemieckie posłanki i posłowie, kanclerz Gerhard Schröder oraz prezydent Johannes Rau. A słyszą to, co chcą usłyszeć. „Przyniósł nadzieję, odrobinę pewności siebie. Obiecywał nową erę naznaczoną pokojem i współpracą" – piszą dziennikarze śledczy Katja Gloger i Georg Mascolo w swojej książce „Das Versagen" („Klęska" lub „Porażka"), która ukazała się 16 października. Na ponad 400 stronach analizują, jak były agent KGB uwiódł Niemców, a oni dali się uwieść. Mimo lepszej wiedzy.

Wtedy, w 2001 r., Niemcy świętują Putina – jak odnotowuje były obrońca praw człowieka z NRD Werner Schulz – jako „wnuka Gorbaczowa". A jego słowa tak celnie trafiają do niemieckiej duszy, bo w napisaniu przemówienia pomogli mu dwaj Niemcy: Horst Teltschik, który negocjował z kanclerzem Kohlem jedność Niemiec, oraz Klaus Mangold, przewodniczący komisji ds. wschodnich niemieckiej gospodarki. „Przemówienie, które do dziś musi służyć jako dowód istnienia »innego Putina«, reformatora, jako demonstracja jego rzekomo europejskich intencji, zostało w pewnym sensie napisane przez samych Niemców" – czytamy.

Putin, który był pierwszym prezydentem Rosji przemawiającym w Bundestagu, nie tyle uwiódł Niemców, ile oni uwiedli się sami. Aplauz był gorący. Dyskusja z członkami komisji ds. zagranicznych nie była już tak kwiecista ani koncyliacyjna. Na pytania o wojnę w Czeczenii Putin odpowiedział, że „nie będzie akceptował podwójnych standardów" w wojnie z terrorem. Ponadto ma gotowy plan pokojowy. Jest za to otwarty na interesy.

KWITNĄCE KRAJOBRAZY

Także Niemcy były otwarte na te interesy. Jak piszą Gloger i Mascolo, polityczne elity w Berlinie systematycznie starały się zablokować wszelkie informacje o przeszłości Putina w KGB. „Jeszcze w 2020 roku wyraźnie powoływano się na dobro państwa: każde ujawnienie mogłoby wpłynąć na stosunki międzynarodowe i zaufanie dyplomatyczne oraz osłabić zdolność negocjacyjną rządu federalnego. […] Zdumiewające i irytujące jest to, jak precyzyjne były ustalenia i oceny dotyczące Putina i udoskonalonego przez niego systemu władzy siłowików – tylko po to, by potem wyciągnąć z nich błędne lub w ogóle nie wyciągnąć z nich wniosków" – czytamy. Zamiast tego starano się przedstawić pobyt Putina w Dreźnie pod koniec lat 80., gdzie we współpracy ze Stasi rekrutował tajnych współpracowników jako dowód na jego miłość do Niemiec. Klaus Mangold, zwany „Panem Rosją", którego Putin poznał zaraz po powrocie z Drezna do Petersburga, ze wzruszeniem wspominał, jak w grudniu

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b4eba63ab8

2000 r. odwiedził Putinów w ich rezydencji w Nowo-Ogariowie; gospodarze stali z córkami, Marią i Jekateriną, przed „typową niemiecką choinką, bombkami, świecidełkami i całą resztą". Dziewczynki śpiewały niemieckie kolędy i w przeciwieństwie do Mangolda znały wszystkie zwrotki na pamięć. Potem takie wizyty będzie składał Schröder – będą sanki, wystawne kolacje i narady w saunie. Wszystkie rozmowy toczyły się w cztery oczy. Schröder – czytamy, najpierw nieco sceptyczny, szybko dał się uwieść rosyjskiemu prezydentowi, który prezentuje się jako ekonomista wolnorynkowy z poczuciem odpowiedzialności społecznej. I roztacza przed kanclerzem wizję kwitnących gospodarczych krajobrazów.

TANI GAZ DLA NIEMIEC, MILIARDY EURO DLA ROSJI

Schröder odmówił autorom książki rozmowy, podobnie zresztą jak Angela Merkel. O tych dziś wstydliwych koneksjach z Rosja, których trzon stanowili wówczas Teltschik, Mangold oraz późniejszy prezes Nord Stream AG Matthias Warnig, w przeszłości agent Stasi, Amerykanie mówili „schröderyzm". „Putin i Schröder, Władimir i Gerd. To historia uwodzenia o ogromnych konsekwencjach politycznych" – piszą Gloger i Mascolo.

Warnig bezzwłocznie rozpoczyna realizację projektu „Siewiernyj Potok", czyli Nord Stream. W rosyjskim świecie gazowym przeszłość w służbach nie jest przeszkodą, a wręcz warunkiem koniecznym do zatrudnienia. Byli funkcjonariusze Stasi tłumnie zagnieżdżą się w niemieckich oddziałach rosyjskiego imperium gazowego. Według Gloger i Mascolo Schröder i Warnig dołożą wszelkich starań, aby utrwalić narrację, że gazociągi są zasadniczo „projektem czysto ekonomicznym", a Rosja zawsze była wiarygodnym dostawcą, który nie używa gazu jako broni.

System Putina skorzysta na tych dwóch kłamstwach i sfinansuje swoje wojny. A dla Niemiec, „kraju eksportowego numer 1", niedrogi „rosyjski gaz" jest kluczowym czynnikiem sukcesu. „Niemiecki cud gospodarczy po zakończeniu zimnej wojny jest nie do pomyślenia bez energii płynącej ze Wschodu" – czytamy. Tani gaz dla Niemiec, miliardy euro dla Rosji. Gd pojawiają się jakiekolwiek zastrzeżenia czy wątpliwości, są odsuwane na bok.



Po drugim historycznym przemówieniu Putina w Niemczech – jego surowym rozliczeniu się z Zachodem na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w 2007 r. – zespół Ministerstwa Spraw Zagranicznych przygotował możliwe scenariusze przyszłości, w tym „imperialno-autorytarnej Rosji", który przewidywał konflikt zbrojny o Krym i wschodnią Ukrainę, a także ścisły sojusz Rosji z Chinami. Jednak ten scenariusz oceniono w ministerstwie jako „mało prawdopodobny". Dokument znajduje się w archiwach resortu i nadal jest oznaczony klauzulą: „Tajne".

> Tym, co może się wydawać najbardziej szokujące, szczególnie z perspektywy polskiego czytelnika, jest to, że aż do aneksji Krymu „niemieccy żołnierze uczyli Rosjan, jak skuteczniej prowadzić wojnę"

WE WŁASNYM INTERESIE

Wtedy obowiązywała już doktryna „zmiany przez zbliżenie", czy jak kto woli – handel. Kierunek był wytoczony. Po Schröderze przychodzi Merkel, a w MSZ zadomawia się Frank-Walter Steinmeier, który proponuje Rosji „partnerstwo modernizacyjne". W 2008 r., na szycie NATO w Bukareszcie, Niemcy i Francja zamykają Ukrainie i Gruzji drogę do członkostwa w Sojuszu. Według Gloger i Mascolo to, co było wychwalane jako wielki sukces niemieckiej dyplomacji, stanowiło tak naprawdę porażkę, torującą Rosji drogę do agresji na oba państwa. Ustalono, że oba kraje zostaną członkami NATO, ale nie podano ram czasowych, a sukces miał polegać na tym, że z deklaracji końcowej wykreślono słowa: „Pewnego dnia". Merkel jest zadowolona. „W naszym interesie" – odnotowało wówczas niemieckie MSZ – „jest sprzeciw wobec członkostwa Ukrainy i Gruzji". „Najlepiej można to osiągnąć, pozwalając Władimirowi Putinowi przyczynić się do sukcesu szczytu. To przedstawiłoby go jako szanowanego, konstruktywnego i odpowiedzialnego międzynarodowego przywódcę" – zapisano w wewnętrznej notatce resortu, którą cytują autorzy książki.

„Interes" jest tu kluczowym słowem. Zdaniem autorów Niemcy działały świadomie, a nie z naiwności. Dzięki zbliżeniu z Berlinem narracja o demokratyzacji Rosji była wygodną przykrywką dla twardych interesów gospodarczych: Niemcy chcieli kupować, a Rosjanie sprzedawać.

Ówczesny prezydent Łotwy Valdis Zatlers wspominał, że kanclerz Merkel ciągle pytała go na szczycie o to, co sądzi o Nord Stream 1. „Pytała mnie o to aż trzy razy. To wydawało się dla niej szalenie ważne" – zaznaczył.

Po Nord Stream 1 nastąpił oczywiście Nord Stream 2, mimo agresji Rosji na Gruzję oraz aneksji Krymu i wojny w Donbasie.

NOWOCZESNA BROŃ DLA PUTINA

Tym, co może się wydawać najbardziej szokujące, szczególnie z perspektywy polskiego czytelnika, jest to, że aż do aneksji Krymu „niemieccy żołnierze uczyli Rosjan, jak skuteczniej prowadzić wojnę". Jak piszą Gloger i Mascolo po nie-

Autopromocja

eprasa.pl b4eba63ab8

zbyt udanej operacji militarnej w Gruzji z inicjatywy i na polecenie Putina ma się rozpocząć kompleksowa modernizacja sił zbrojnych. „Pożądanym partnerem w tym planie modernizacyjnym są Niemcy" – czytamy. Niemiecki rząd z chęcią i entuzjazmem wszedł w to partnerstwo. A polegało ono na utworzeniu centrum szkoleniowego na terenie rosyjskiego Mulino oraz na zapewnieniu technologicznego i szkoleniowego wsparcia dla rosyjskiej armii. Współpraca miała zostać wzmocniona za pośrednictwem specjalnie utworzonej Niemiecko-Rosyjskiej Komisji Zbrojeniowej. W sumie armia rosyjska chce mieć osiem centrów szkolenia bojowego dla wszystkich okręgów wojskowych. Wszystko ma być gotowe do 2020 r., łącznie z salami wykładowymi do omawiania wyników manewrów. I przez długi czas – a dokładnie do 2014 r. – wygląda na to, że nic nie stanie na przeszkodzie realizacji tej umowy. Szacunkowa wartość: 1 mld euro. Według Gloger i Mascolo naciska na to rząd w Berlinie, a także sama Bundeswehra.

W 2011 r. ówczesny minister obrony Rosji Anatolij Serdiukow zwiedza poligon w Unterlüss koło Celle, gdzie grupa Rheinmetall produkuje amunicję i broń. Wówczas jest mowa o joint venture, wspólnej produkcji uzbrojenia z rosyjskimi spółkami. „MON w Berlinie planuje stałe stacjonowanie niemieckich żołnierzy w Mulino. Pierwsi żołnierze tam docierają, aby obejrzeć mieszkania" – czytamy. Istnieje plan połączenia struktur dowodzenia wojskowego. Niemieckie dowództwo armii w Strausbergu obsadzają Amerykanie, Francuzi i Brytyjczycy. Teraz ma do nich dołączyć oficer rosyjski. W zamian oficer Bundeswehry ma przejść do Sztabu Generalnego Armii Rosyjskiej. Mało brakowało, by latem 2013 r. Niemcy i Rosjanie przeprowadziliby wspólne manewry wojskowe na poligonie na północ od Petersburga. Nie doszło do nich, bo strona niemiecka obawiała się rekcji partnerów w NATO, w szczególność państw bałtyckich.

WĄTPLIWE WNIOSKI

W 2014 r., po aneksji Krymu przez Rosję, wszystkie te plany idą w odstawkę. Rheinmetall otrzymuje zakaz eksportu komponentów dla przyszłego centrum dowodzenia w Mulino i narzeka na rzekomo zbyt restrykcyjne podejście Niemiec: „To nie leży w interesie Republiki Federalnej Niemiec. Mogłoby to nawet zagrozić istnieniu wnioskodawcy". Innymi słowy – bankructwo Rheinmetallu. „Firma odcina się dziś od tych oświadczeń. Nie chce też rozmawiać o odszkodowaniach żądanych wówczas od rządu niemieckiego: co najmniej 120 milionów euro" – piszą Gloger i Mascolo.

Do dziś CDU/CSU często argumentuje, że trudne, a wręcz niemożliwe do wyjaśnienia elementy niemieckiej polityki wobec Rosji były motywowane postawą SPD. Nie dotyczy to jednak niemiecko-rosyjskiej współpracy wojskowej: najważniejsze decyzje zapadły w latach 2009–2013, gdy Merkel rządziła z FDP.

„Das Versagen" kończy się opisem berlińskiej kuchni politycznej w pierwszych dniach wojny na Ukrainie, gdy zarówno kanclerz Olaf Scholz, jak i reszta politycznego establishmentu była przekonana, że Ukraina albo się podda, albo w kilka dni zostanie pokonana przez Rosję.

Książka Gloger i Mascolo to gorzkie rozliczenie z tym, jak „polityka wschodnia i odprężenia prowadzona przez kanclerza Willy'ego Brandta ostatecznie przerodziła się w merkantylistyczny projekt handlowy", w imię którego poświęcono całą europejską architekturę bezpieczeństwa". Pokazuje, jak uporczywie Niemcy dążyły do partnerstwa z Rosją bez względu na krytykę i okoliczności. Zabrakło natomiast wzmianki o tym, że nikt nie poniósł za to odpowiedzialności, nie wspominając o karze.

Prace komisji śledczej parlamentu Meklemburgii-Pomorza Przedniego w sprawie fundacji klimatycznej powstałej w celu ochrony Nord Stream 2 przed sankcjami USA ciągną się od ponad trzech lat, a ich wynik jest niepewny. Schröder i Warnig zasłaniają się chorobą i statusem emeryta, a wielu pozostałych świadków, w tym premier landu Manuela Schwesig, zwyczajnie kłamie. Czy Niemcy rzeczywiście wyciągnęły (właściwe) wnioski ze swoich błędów? Nic nie jest dziś mniej pewne.



eprasa.pl b4eba63ab8



Zwycięzcą XIX edycji Konkursu Chopinowskiego został Eric Lu

Chopinowski skandal i niesmak

Konkurs Chopinowski to narodowa marka, która broni się nawet przed dyskusyjnymi werdyktami jury, kiepską promocją i remontowym blamażem władz Warszawy. Gigantyczny wysyp talentów i zainteresowanie widowni dają mu wielką przyszłość



MACIEJ WALASZCZYK

Chopin powtarzał, że muzyka ma mówić, a pianista śpiewać, więc prócz techniki i stylu jurorzy mieli oceniać, jakie emocje pianiści mają do przekazania. Czy tak było w wypadku zwycięzcy? Na pewno nie. Wynik zaszokował prawie wszystkich i pozostawił niesmak bardziej gorzki niż kiedykolwiek wcześniej.

Laureatem XIX edycji Konkursu Chopinowskiego, najważniejszej imprezy pianistycznej na świecie, został Eric Lu – Amerykanin azjatyckiego pochodzenia. Jest on znany warszawskiej publiczności od dawna, a 10 lat temu, podczas XVII konkursu, zajął IV miejsce. Z II nagrodą zmagania zakończył Kevin Chen z Kanady, a nagrodę III otrzymała Chinka Zitong Wang. Za podium, a więc IV nagrodę, *ex aequo* otrzymały reprezentująca Chiny Tianyao Lyu oraz Shiori Kuwahara z Japonii. Również V nagroda powędrowała do rąk pary pianistów: Polaka Piotra Alexewicza i przeciętnego Vincenta Onga z Malezji. VI nagrodę otrzymał – William Yang ze Stanów Zjednoczonych.

Fot. Wojciech Grzedzinski/NFC

eprasa.pl b4eba63ab8



Prezydent Karol Nawrocki wręcza nagrodę Ericowi Lu



Dlaczego więc to wszystko takie ważne? Konkurs Chopinowski to impreza absolutnie prestiżowa, ze stuletnią tradycją, w jego jury zasiadali m.in. Karol Szymanowski, Maurice Ravel czy Nadia Boulanger. Który odkrył i wypromował kolejne pokolenia wybitnych wykonawców. W przypadku Polski byli to m.in. Halina Czerny-Stefańska, Krystian Zimerman, Piotr Paleczny, Adam Harasiewicz czy Rafał Blechacz. Zwycięstwo otwiera młodym muzykom drzwi do kariery i występów w najlepszych salach koncertowych na świecie, a także do sowitych gaży. Pierwsza nagroda oznacza też kontrakt z Deutsche Grammophon, gwarantujący, że nagrania będą dostępne niemal na całym świecie. Ale tym razem powędrowała do ukształtowanego już wykonawcy.

Do tego przewodniczącym jury był akurat Garrick Ohlsson – także Amerykanin, w którym rozpoznano promotora zwycięzcy i który najszybciej, jak to możliwe, wyjechał z Warszawy, nie pojawiając się na gali rozdania nagród. Do tego w Miami od lat próbują zbudować prestiż własnego konkursu. Jeśli tak dalej pójdzie, warszawskie zmagania utracą niepowtarzalny charakter, stając się tylko jednym z wielu trofeów, jakie można osiągnąć w światowej pianistyce. Tu naprawdę krzyżują się interesy impresariatów, szkół pianistycznych, wytwórni płytowych i soft power mocarstw świata. W czasach PRL radzieccy muzycy masowo próbowali tu sięgać po najwyższe laury, szukając kulturowego pomostu do Polski. Wynik tegorocznego konkursu potwierdził obawy, że może on przestać być najważniejszą pianistyczną imprezą na świecie.

W CIENIU PRAC JURY

Regulamin – system punktacji i ocen – był już niegdyś kwestionowany. Zdaje się, że w jakiś sposób pokonał idee konkursowe, przyćmiewając momentami samą muzykę Chopina i pianistykę w ogóle. A już romantyczne moce, jakie ona z siebie wydobywa, potrafi zabić kompletnie. Nagrodzono solidne rzemiosło, odporność na trudy konkursowego maratonu i presję. Regulamin premiuje w końcu technikę gry, która, choć w przypadku Erica Lu lodowata, to gwarantująca awanse do kolejnych rund muzycznych zawodów.

Werdykt był jednak zaskoczeniem nie tylko dla publiczności, specjalistów, lecz także dla samego zwycięzcy i jurorów. Jego ogłoszeniu towarzyszyła konsternacja i cisza, przerywana westchnieniami rozczarowania. Na szczęście nie ukrywali go nieskorumpowani układami muzyczni eksperci. W studiu TVP Kultura Adam Rozlach mówił o „strasznym wyniku", a znany krytyk Jan Popis o tym, że jest on po prostu „makabryczny do kwadratu". Prawda jest taka, że laureat – poza niedyspozycją wywołaną chorobą – w ogóle nie zwrócił na siebie uwagi i nikt nie wie, dlaczego w ogóle znalazł się w III etapie.



V nagroda powędrowała do rąk Piotra Alexewicza

Fot. Wojciech Grzedzinski/NFC; Krzysztof Szlezak/NFC

eprasa.pl b4eba63ab8



„Nawet od strony czysto pianistycznej, bo przecież jego poziom nie jest zły, ale byli tutaj pianiści, których poziom czysto pianistyczny był wyższy” – dodał Karol Radziwonowicz. Stało się więc coś dziwnego, bo konkurs ujawnił legion talentów, które wspaniale weryfikował wyśrubowany poziom wykonań i doboru repertuaru.

ODRZUCONE TALENTY I INDYWIDUALNOŚCI

Rozczarowaniem było więc zepchnięcie z podium wspomnianych już Tianyao Lyu oraz Shiori Kuwahary. Pierwsza to debiutująca na konkursie genialna 17-latka (w momencie ogłoszenia wyników miała urodziny), będąca obecnie studentką Katarzyny Popowej-Zydroń w poznańskiej Akademii Muzycznej. Drobniutka Chinka za każdym razem olśniewała subtelnością gry i całkowitym wyczuciem chopinowskiego języka muzycznego. To było właśnie to, czego oczekujemy, słuchając Chopina w interpretacjach pianistów z różnych kręgów kulturowych. Dysponująca nieprzeciętnym talentem i budząca wielkie nadzieje dziewczyna zasłużyła więc na znacznie więcej niż zepchniecie jej z konkursowego piedestału. Jak nie ona, to kto? Może po prostu postanowiono odsunąć w czasie jej wejście na pianistyczny Parnas, by w spokoju zbudowała swój styl?

Jeśli tak, to dlaczego sukcesu odmówiono doświadczonej, choć nie mniej utalentowanej Japonce Shiori Kuwaharze? Już od pierwszego etapu udowadniała, że zasługuje na najwyższe laury. Każdy z etapów przechodziła bez przeszkód, grając w sposób efektowny i niezawodny. No i Davit Khrikuli, a więc 30-letni pianista pochodzący z Gruzji. On również podbił serca słuchaczy, od początku przykuwał uwagę swoją grą, łączącą niezwykle głęboką ekspresję (pewnie tym zraził oceniających), techniczną precyzję i indywidualne podejście do muzyki Chopina. Jednak i ten wirtuoz o nieprzeciętnym talencie został właściwie z niczym, co może tłumaczyć tylko fakt, że jego nauczycielem nie był żaden z konkursowych jurorów.

ŚWIETNE WYSTĘPNY POLAKÓW

Najwięcej uczestników, bo aż 30, udało się zaprezentować Chinom. Po 13 reprezentantów wystawiły Japonia i Polska. Nie ma wątpliwości, że Europa, osłabiona brakiem zawsze znakomitych Rosjan, przegrywa pod tym względem rywalizację z Azją, a azjatyckie korzenie mają również pianiści krajów Zachodu. Oto wciąż nie do końca rozumiany „znak czasów”, bo wszak muzyka Chopina jest w wybitny sposób przesiąknięta bardzo specyficznym, narodowym i słowiańskim pierwiastkiem.

Trzeba przyznać, że liczna w tym roku grupa polskich pianistów jednak nie zawiodła, choć dziwne było, że do II etapu dostało się tylko czterech z nich, a już po I etapie jury wyeliminowało z tego grona Mateusza Dubiela. Ten czujący świetnie góralski folklor pianista jak żaden rozumie, czym jest mazurek w polskiej muzyce. I choć publiczność i krytycy byli zachwyceni jego grą, laureat 53. Ogólnopolskiego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina sprzed zaledwie kilku miesięcy musiał pożegnać się z Konkursem Chopinowskim.

Oczywiście największy sukces przypadł w udziale wrocławianinowi Piotrowi Alexewiczowi, który dziś jawi się jako jeden z najważniejszych polskich wykonawców. Mieszkający i uczący się obecnie w Szwajcarii wykazał nieprawdopodobną wrażliwość, kulturę i inteligencję. To właśnie on – jedyny reprezentant Polski – stanął przed orkiestrą Filharmonii Narodowej, by wykonać finałowego Poloneza – Fantazję As-dur op. 61 oraz Koncert fortepianowy f-moll op. 21, wzbudzając entuzjazm publiczności. Zdawało się wręcz, że to on wygra, ale się nie udało.

Wcześniej wyeliminowany został także gdańszczanin Piotr Pawlak, którego brak w finałowej ósemce wzbudził chyba największe kontrowersje. Okazał się jednym z najbardziej wyrazistych i emocjonalnych interpretatorów Chopina – do tego stopnia, że w czasie wykonywania monumentalnej Sonaty h-moll op. 58 popełnił pewien błąd, a może nawet serię, sprawiając, że jurorzy przykładający wielką wagę do technicznej strony wykonania utworów – co wynika z regulaminu konkursu – nie przepuścili go do finału.

No i Yehuda Prokopowicz, nagrodzony za najlepsze wykonanie mazurków. Wbrew pozorom laur, który otrzymał, ma swoją rangę, bo jest najstarszym wyróżnieniem konkursowym, przyznawanym od 1927 r. przez Polskie Radio. Kiedyś otrzymali je m.in. Martha Argerich czy Krystian Zimerman. Ale skoro tak świetnie rozumie kluczowy „chopinowski idiom”, to dlaczego nie znalazł się wśród finalistów? Może czas na zmianę regulaminu i promowanie wirtuozów oraz talentów, a nie seryjnie produkowanych odtwórców, o których za jakiś czas nikt nie będzie pamiętał?

FAWORYCI JURY I PUBLICZNOŚCI

Gusta jurorów kontra emocje i odbiór publiczności to w historii konkursu zjawiska nieodłącznie. Często jednak rozdźwięk między odbiorem widowni a komisją ma posmak goryczy. Choć sam prof. Jan Ekier przyznał po latach, że publiczność również często wykazywała się zdrowym instynktem, umiejąc dostrzec zaletę pianisty, u którego jurorzy widzieli głównie drobne mankamenty, wobec czego nie dopuszczali go do finału. Tak było na pewno w rewolucyjnym 1980 r., gdy faworytem widowni stał się reprezentujący Jugosławię Chorwat Ivo Pogorelić. Jego gra była

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b4eba63ab8



Fot. Liudmyla Skwarczynska

pełna skrajnych kontrastów – radykalna i bezkompromisowa. Przez pewien czas był uważany za jednego z największych pianistów naszych czasów, rodzaj „samotnego wilka", który zapłacił za ten wizerunek pewną cenę. Latami nie chciał potem przyjechać do Warszawy na koncerty, żywiąc urazę za to, że jury konkursowe nie dopuściło go do finału. Jak wiemy, w 1990 r. pierwszej nagrody nie przyznano w ogóle, podobnie jak w 1995 r., choć Argentyńczyk Nelson Goerner, już wtedy nagradzany na świecie i nazywany drugim Rubinsteinem, także nie wszedł do finału, bo dla jury był za „mało chopinowski". Dla publiczności i wielu krytyków był zaś wielki i kompletnie niedoceniony, a po ogłoszeniu werdyktu wygwizdano jurorów.

Znów dokładnie 50 lat temu triumf Krystiana Zimermana był właściwie bezdyskusyjny. Jury, eksperci i wniebowzięta widownia nie mieli żadnych wątpliwości co do tego. Polak nie miał sobie równych, zdobywając także nagrody za najlepsze wykonania mazurków, sonaty i poloneza. Również w 1960 r. 18-letni wówczas Maurizio Pollini już od pierwszych występów stał się faworytem zarówno publiczności, jak i jurorów. Sala była zachwycona jego wirtuozerskimi interpretacjami, nagradzała go długimi owacjami i ponownie wywoływała na scenę, otwierając mu tym samym drzwi do wielkiej kariery na wiele dekad.

ROZKOPANA WARSZAWA

Chopin, konkurs i jego samoistny prestiż oraz jakość koncertowego maratonu to okazja do promocji polskiej kultury, wizerunku miasta i kraju. Jedno z najważniejszych wydarzeń obserwowanych przez cały świat. Prof. Arent van Nieukerken, Holender, znawca literatury, zajmujący się na co dzień m.in. twórczością Norwida, przyjechał do Warszawy na rozpoczęty właśnie rok akademicki. Z pewną zazdrością stwierdził, że to, co się działo wokół konkursu, było dla Polaków „wielkim eventem tożsamościowym", którego nie doświadcza już „całkowicie zdekonstruowana" na poziomie duchowym „holenderska" tożsamość. Na razie nam to nie grozi, choć niestety wydarzenie, które winno stać się okazją dla wielkiego narodowego święta, nie było nawet wizytówką stolicy. O jego rangę nie zadbały ani władze państwowe, a tym bardziej warszawski samorząd.

> Werdykt był zaskoczeniem nie tylko dla publiczności, specjalistów, lecz także dla samego zwycięzcy i jurorów. Jego ogłoszeniu towarzyszyła konsternacja i cisza, przerywana westchnieniami rozczarowania. Na szczęście nie ukrywali go nieskorumpowani układami muzyczni eksperci

Choć prezydent Rafał Trzaskowski starał się podrasować swój „inteligencki" wizerunek komentarzami na temat występów poszczególnych pianistów, nie zadbał nawet o to, by w czasie konkursowych zmagań centrum Warszawy zostało uporządkowane. Przeciwnie – to, co się wydarzyło, dowodzi, że nikt się nie przejmował tymi sprawami. W szczególności okolice budynku Filharmonii Narodowej, w której odbywały się przesłuchania, czy miejsca związane z wielkim polskim kompozytorem, zostały objęte pracami remontowymi. Dopiero w ostatniej chwili, w pospiechu, próbowano porządkować otoczenie Filharmonii Narodowej, a fatalny widok jakoś zatuszować. Mimo to ulice: Złota, Zgoda, Jasna i Sienkiewicza i tak były otoczone blaszanymi parkanami, rozkopane i po prostu brudne.

Wszystko więc przypominało oklejanie przez Rafała Trzaskowskiego taśmą drzwi w czasie jednej z kampanii wyborczych. Także jego wyjaśniania radziły arogancją. „Trudno sobie wyobrazić, że staje całe miasto i przestajemy je zmieniać tylko dlatego, że mamy do czynienia z tego rodzaju konkursem" – oświadczył nerwowo na konferencji prasowej. Dlaczego tuż przed konkursem zasłonięto pomnik Chopina w Łazienkach Królewskich, a jednocześnie dyrekcja parku zdecydowała o jego rewitalizacji wraz otoczeniem, które po prostu poddano generalnemu remontowi? Chociaż zasłonę szybko zdjęto, prace wokół niego trwają i zakończą się dopiero w przyszłym roku.

Do tego w momencie pierwszych przesłuchań na warszawskich Starych Powązkach rozpoczęto prace konserwacyjne przy grobie rodziców kompozytora. Skoro zmagania pianistów odbywają się raz na pięć lat, to również związane z Chopinem i konkursem jego imienia miejsca winny być przebudowywane w innym terminie. Chopin przykryty plandeką to na pewno symbol wizerunkowej porażka stolicy i jej władz.

eprasa.pl b4eba63ab8

Liberalny totalitaryzm

Wydawać by się mogło, że totalitaryzm to zamknięty rozdział historii Zachodu. Demokracja liberalna stanowi przecież jego zaprzeczenie. Żyjemy w ustroju, którego fetyszem są prawa człowieka, jego godność, normy sprawiedliwości nadzorowane przez niezależne sądy: demokracja, pluralizm i tolerancja. Jak więc pogodzić to z lękami, które nawiedzają coraz częściej mieszkańców współczesnego Zachodu i przywołują widmo totalitaryzmu?



BRONISŁAW WILDSTEIN

Na wstępie zaznaczyć trzeba, że lęki te są w pełni uzasadnione, po to jednak, aby je zrozumieć, odejść musimy od klasycznych definicji totalitaryzmu. Te znane nam z pism Hannah Arendt czy Carla Friedricha i Zbigniewa Brzezińskiego odwołują się do zamkniętej już, historycznej wersji tego politycznego modelu. Nie znaczy to, że nie grozi nam jego kolejne wcielenie.

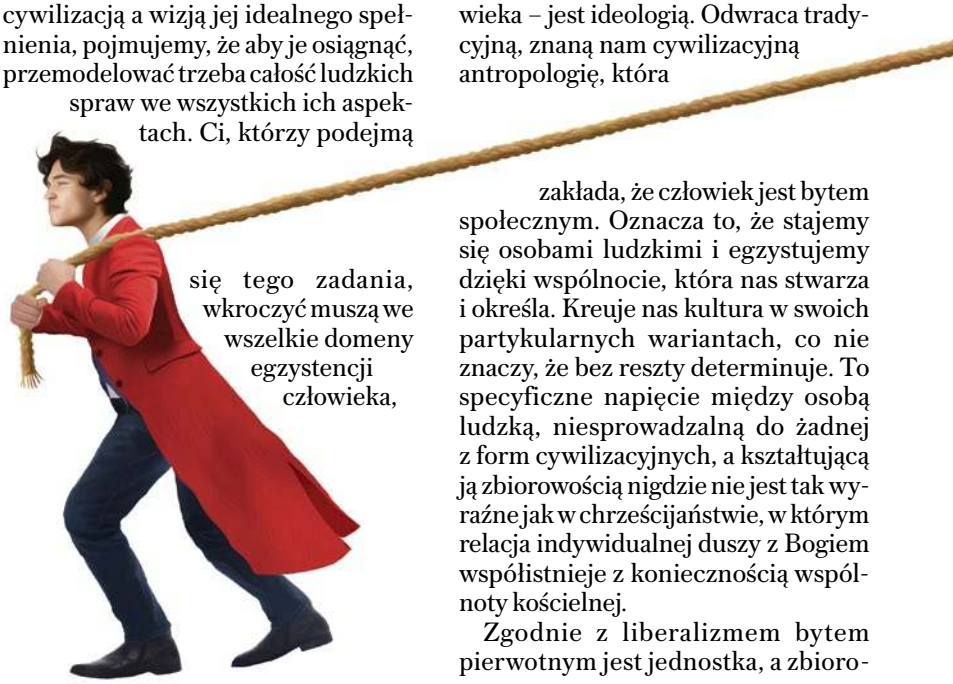
* * *

Totalitaryzm to wszechogarniająca kontrola nad egzystencją mieszkańców kraju lub krajów ze strony panującej nad nimi władzy. Jest zjawiskiem nowoczesnym i wyrasta z innego nowoczesnego fenomenu, jakim jest ideologia. Ta z kolei to całościowa interpretacja ludzkiego życia, jego przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, a także projekt budowy jego optymalnej formy, w którą zgodnie z zamierzeniem kreatorów ma się wcielić ostateczna rozumność.

Ideologia nie toleruje żadnych konkurentów, a za głównego wroga uznaje religię, która przeciwstawia się jej totalnym roszczeniom. Wyrasta z wiary w możność ostatecznego, racjonalnego uporządkowania ludzkich spraw i jako taka stanowi wyraz nowoczesności. Ma charakter rewolucyjny, gdyż po to, aby na nowo stworzyć ludzką rzeczywistość, należy zniszczyć tradycyjny porządek, który przeszkadzać będzie budowie nowego, doskonałego, a w każdym razie – zdaniem jego twórców – optymalnego ładu. Należy zatem wykorzenić tradycyjną kulturę.

* * *

W ideologię wpisane jest myślenie utopijne, a jej rzecznicy często się do tego przyznają. Biorąc pod uwagę rozziew między istniejącą, niedoskonałą cywilizacją a wizją jej idealnego spełnienia, pojmujemy, że aby je osiągnąć, przemodelować trzeba całość ludzkich spraw we wszystkich ich aspektach. Ci, którzy podejmą się tego zadania, wkroczyć muszą we wszelkie domeny egzystencji człowieka, zasadniczo je przekształcić i wyplenić blokujące postęp tradycyjne formy bytowania. Aby to osiągnąć, muszą dysponować władzą totalną. Nie ma innej możliwości realizacji tego przedsięwzięcia.



Wyobrażeniu utopii towarzyszy zawsze totalitarny model porządku społecznego. Na pozór jego charakterystyka sytuuje się na antypodach liberalnej demokracji. Czy rzeczywiście?

* * *

Liberalizm – wbrew świadomości jego wyznawców, którzy uważają go za wcielenie rozumności i ideału człowieka – jest ideologią. Odwraca tradycyjną, znaną nam cywilizacyjną antropologię, która zakłada, że człowiek jest bytem społecznym. Oznacza to, że stajemy się osobami ludzkimi i egzystujemy dzięki wspólnocie, która nas stwarza i określa. Kreuje nas kultura w swoich partykularnych wariantach, co nie znaczy, że bez reszty determinuje. To specyficzne napięcie między osobą ludzką, niesprowadzalną do żadnej z form cywilizacyjnych, a kształtującą ją zbiorowością nigdzie nie jest tak wyraźne jak w chrześcijaństwie, w którym relacja indywidualnej duszy z Bogiem współistnieje z koniecznością wspólnoty kościelnej.

Zgodnie z liberalizmem bytem pierwotnym jest jednostka, a zbioro-

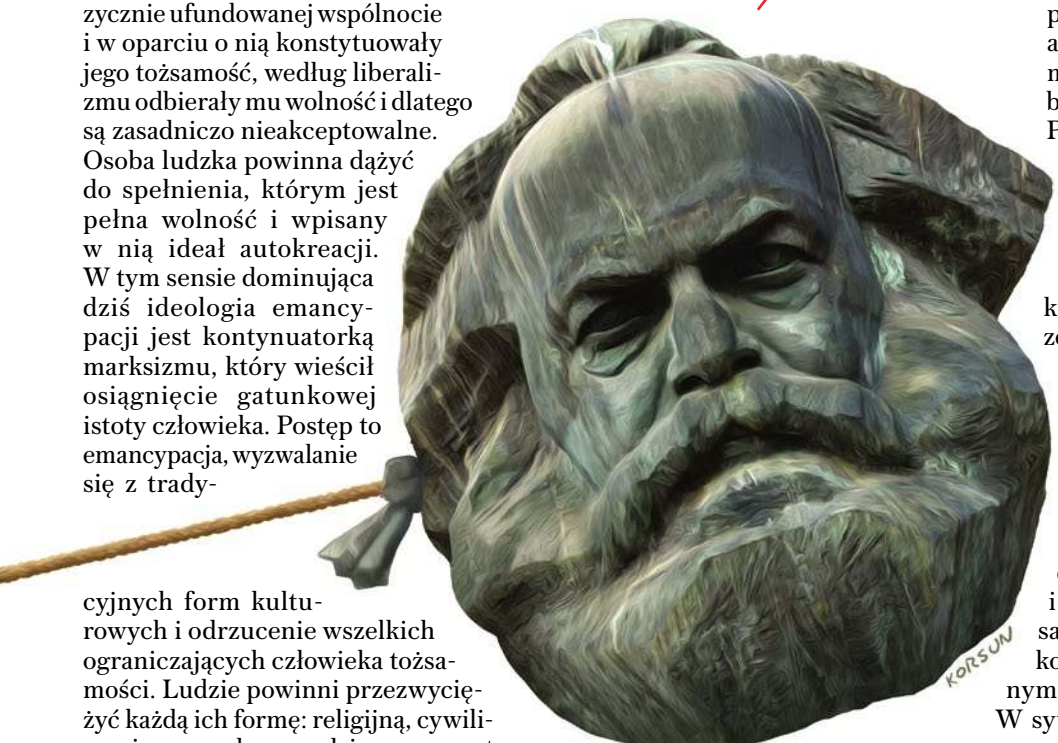
eprasa.pl b4eba63ab8

wość jest sztucznym, powołanym przez nią do życia tworem. Społeczeństwo ma wyrastać z międzyosobowej umowy, a w każdym razie ma być przez nią uzasadnione. Układ taki ma mieć charakter kontraktu, który zobowiązuje ludzi dopóty, dopóki przynosi im wymierne korzyści. Międzyludzkie relacje liberalizm postrzega na kształt ekonomicznych porozumień.

* * *

Znane nam cywilizacje, które osadzały człowieka w metafizycznie ufundowanej wspólnocie i w oparciu o nią konstytuowały jego tożsamość, według liberalizmu odbierały mu wolność i dlatego są zasadniczo nieakceptowalne. Osoba ludzka powinna dążyć do spełnienia, którym jest pełna wolność i wpisany w nią ideał autokreacji. W tym sensie dominująca dziś ideologia emancypacji jest kontynuatorką marksizmu, który wieścił osiągnięcie gatunkowej istoty człowieka. Postęp to emancypacja, wyzwalanie się z tradycyjnych form kulturowych i odrzucenie wszelkich ograniczających człowieka tożsamości. Ludzie powinni przezwyciężyć każdą ich formę: religijną, cywilizacyjną, narodową, rodzinną, a nawet płciową. Naturą osoby ludzkiej ma być autokreacja.

Znane nam cywilizacje, które osadzały człowieka w metafizycznie ufundowanej wspólnocie i w oparciu o nią konstytuowały jego tożsamość, według liberalizmu odbierały mu wolność i dlatego są zasadniczo nieakceptowalne



* * *

Ideologia emancypacji stanowi projekt totalny, który służy całościowemu przekształceniu świata i obejmuje wszelkie jego dziedziny. Jej celem jest kreacja nowego, wyzwolonego z wszelkich tożsamości człowieka. Służy temu na nowo rozumiane prawo, kultura masowa, edukacja. Na rzecz tego działają ponadnarodowe instytucje, zwłaszcza UE, ale także ONZ i powstające wciąż kolejne ideologiczne agendy, które deklarują szczytne, humanitarne programy.

Ideologia emancypacji jak każda ideologia stanowi wehikuł władzy dla niewybieralnej kasty, która coraz głębiej kontroluje nasze życie i podąża w kierunku totalitarnego modelu społecznego.

Najważniejsze idee przywoływane w publicznym dyskursie zostały przekształcone w swoje przeciwieństwa. Pod hasłem wolności następuje jej coraz dalej idące ograniczenie. Pozbawione fundamentów pojęcie godności człowieka prowadzi do jej zanegowania. Tę samą drogę przeszła idea praw człowieka.

* * *

Demokracja liberalna staje się zaprzeczeniem ludowładztwa i dąży do pozbawienia wspólnoty podmiotowości. Pluralizmem nazywany jest narastający monopol dominującej współcześnie ideologii, a sekowanie tych, którzy nie chcą jej przyjąć, paraduje pod szyldem tolerancji. Jako „wartości europejskie" przywoływane są rozwiązania kwestionujące podstawy cywilizacji zachodniej, a więc Europy jako idei, do której musimy się odwoływać, próbując budować kontynentalną jedność. Praworządnością mają być arbitralne rządy prawników itd.

* * *

Nowy totalitaryzm na pozór zasadniczo różni się od tych, które pamiętamy z XX w. Jest zdecydowanie mniej represyjny, a swoją przemoc realizuje głównie w symbolicznym wymiarze. Zamiast jednego centrum wytwarza układ sieciowy. Niemniej – tak jak jego pierwotne wcielenie – usiłuje objąć wszelkie aspekty ludzkiej egzystencji, rozbić tradycyjne wspólnoty i doprowadzić do stanu, w którym samotne i bezbronne jednostki konfrontowane są z wszechwładnym, ideologicznym molochem. W sytuacji zagrożenia, czyli wobec narastającego buntu mieszkańców Zachodu przeciw odbierającemu im wolność systemowi, jego rzecznicy coraz częściej odwołują się do rozumianej dosłownie przemocy.

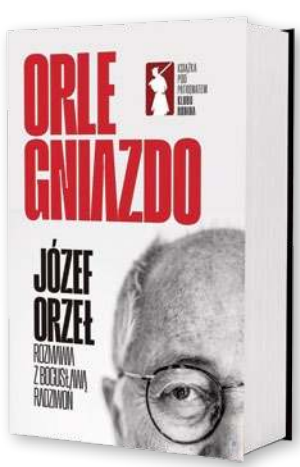
Sieciowa władza nowej oligarchii wygląda jak zaprzeczenie totalitaryzmu. Zmierza jednak do podobnego monopolu. Wytwarza zwarty układ, a jej rozproszenie łatwiej pozwala kontrolować całość życia społecznego. Ponieważ stanowi zjawisko nowe, trudniejsza jest do rozpoznania i do nazwania, co nie znaczy, że jest mniej skuteczna w swoich roszczeniach do panowania co jej poprzedniczki.

Referencje: Shutterstock (3x)

eprasa.pl b4eba63ab8

„Jestem Polakiem, bo tak mi się podoba”

Powyższe słowa Juliana Tuwima z 1944 r. nasunęły mi się na myśl podczas lektury książki pt. „Orle gniazdo”, opublikowanej przez wydawnictwo Zona Zero. To biografia Józefa Orła, postaci znanej Polakom patrzącym na świat prawym okiem. Z wykształcenia ekonomista i filozof, z temperamentu działacz polityczny, doradca i komentator



Był aktywny w pierwszej Solidarności i w pierwszych inicjatywach politycznych lat 90. Uczestniczył w powstawaniu Porozumienia Centrum – pierwszej prawdziwie ogólnopolskiej partii prawicowej. Był też posłem na Sejm I kadencji, a w 2007 r. założył (wspólnie z Rafałem Ziemkiewiczem) Klub Ronina – pierwszy prawicowy think thank, który w formie gildii dyskusyjnej prowadzi do dziś.

Urodził się w 1946 r., więc widział i przeżył wiele. Mówi nam o tym ciekawie i z humorem w formie historii oraz anegdot, opowiadanych chronologicznie Bogusławie Radziwoń, współtwórczyni książki. To lekki i łatwo przyswajalny dla czytelnika rytm. Poddajemy mu się chętnie i łykamy pigułki Józefa Orła jedną po drugiej.

Wracając do tytułowego cytatu: Józef Orzeł wiele rzeczy robił właśnie dlatego, że... tak mu się podobało. Lub nie robił, bo mu się nie podobało. Nie było to powszechne w XX w., w którym upłynęła większość jego życia. To było naprawdę wyjątkowe stulecie właśnie pod względem odbierania ludziom możliwości wyboru. Nasz bohater zachował tę prerogatywę i nie wahał się z niej korzystać zarówno w sprawach codziennych, jak i tych najważniejszych, rzutujących na późniejsze życie.

Rozpoczęło się w rodzinie żydowskiej, wracającej po wojnie do Polski ze Związku Sowieckiego. Dzieciństwo i młodość to Stary Mokotów, bardzo specyficzny wtedy, bo niebiesko-zielony, zamieszkany przez rodziny związane z MSW i MON. Ten okres, literacko odtwarzany po latach, często ma urok małej, swojskiej stabilizacji: mieszkanie, podwórko, sklepy, koledzy, nauczyciele, rodzina. Bezpieczna bańka, w której dorasta młody człowiek nieświadomy zagrożeń zewnętrznych. Tak było i tutaj, ale nastąpił też tam pierwszy, wcale nieoczywisty wybór. Młody Józef Orzeł, żyjąc dość komfortowo – jak na standardy PRL – nie uwierzył w komunizm, nie polubił go. Jak sam mówi: „Coś mi w nim nie grało”. Wolał Radio Luxemburg i muzykę rock’n’rollową.

Drugim ważnym wyborem było uczestnictwo w festiwalu wolności, jak często określa się lata 1980–1981. Orzeł zakładał wtedy Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty w PAN, współtworzył niezależny miesięcznik NTO, stał się również doradcą niektórych regionów „S”, zwłaszcza Śląska Dąbrowskiego i Pomorza Zachodniego. Brał udział w pierwszym zjeździe Związku i posiedzeniach Komisji Krajowej. W stanie wojennym działał w Międzyzakładowym Robotniczym Komitecie „Solidarności” i jego podziemnym piśmie „CDN – Głos Wolnego Robotnika”. To nie było bezpieczne. W warunkach wojny polsko-jaruzelskiej wielu ludzi panny „S” nie podjęło ryzyka działalności konspiracyjnej. Wyciszyli swoją aktywność i czekali na lepsze dni.

Trzecim ważnym wyborem była dezaprobata wobec okrągłego stołu i fraternizowania się części elit opozycyjnych z komunistami. Józef Orzeł założył wtedy – znów w zespole – „Kurier Okrągłego Stołu”, krytyczny wobec tej „idei”. Naturalną konsekwencją było związanie się z redakcją „Tygodnika Solidarność” (kierowanego wtedy przez Jarosława Kaczyńskiego) i tym nurtem opozycji, z którego wyrosło Porozumienie Centrum, a później Prawo i Sprawiedliwość. Taki a nie inny wybór miał swoje konsekwencje. Oznaczał utożsamianie się z obozem, który do dzisiaj ma czarny PR w mainstreamowych mediach i jest oskarżany o chyba wszystkie rodzaje zła, jakie mogą istnieć na ziemi. Choćby o to, że grupuje ludzi ciemnych, niewykształconych i fanatycznych. Dla kogoś z doktoratem z filozofii – jak Józef Orzeł – pewnie korzystniej byłoby brylować wśród „światłych, nowoczesnych i postępowych”. Widocznie jednak podobało mu się właśnie tak, a nie inaczej.

Jednak najbardziej interesujący wydaje się wybór tożsamościowy bohatera książki. „Byłem wychowywany w polskiej kulturze i historii, a na dodatek od szóstego roku życia czułem się wierzącym katolikiem. Wiedza o pochodzeniu nie zmieniła mojej polskiej tożsamości, coś do niej dodała. Nie mogła jej zmienić, tożsamość jest czymś głębokim, ogarniającym całą osobowość”. A przecież urodził się w Charkowie (wtedy na sowieckiej Ukrainie), antenaci byli narodowości żydowskiej

eprasa.pl b4eba63ab8


Józef Orzeł

i nie zawsze identyfikowali się z Polską. Część jego rodziny żyje dziś w Izraelu. Nie miałby zatem problemu ze zmianą obywatelstwa i miejsca zamieszkania. Wiele rzeczy nad Wisłą mu się nie podobało (i nie podoba do dzisiaj), jednak nie zdecydował się, aby zamienić ten kraj na inny. Nie dlatego, żeby to było niemożliwe, ale – jak sam powiedział niżej podpisanemu – nigdy nie wyobrażał sobie wyrzeknięcia się polskości i porzucenia Warszawy. Bo gdzie indziej – sięgając do jego słów – mógłby się pośmiać, pogadać lub nawet pokłócić z przyjaciółmi, których ma właśnie tutaj? Co miałby wspólnie z nimi zjeść i czego się napić, skoro właśnie polska oferta najbardziej mu się podoba?

Józef Orzeł spotkał na swojej drodze wielu ludzi – z jednymi współdziałał, z innym przeciwdziałał. Jedni mu się spodobali, inni nie. Przez strony książki przewinął się ich cały korowód. To głównie ci, którzy w mniejszym lub większym stopniu byli aktywni politycznie. Razem tworzą barwną mozaikę polskiej inteligencji, głównie warszawskiej, ostatnich kilkudziesięciu lat. Jest to obraz urozmaicony i często zaskakujący, zwłaszcza że autor pokazuje nam ich od kuchni, dzięki czemu dowiadujemy się o nich trochę więcej niż z oficjalnych i autoryzowanych przekazów.

Józef Orzeł podkreśla, że zawsze lubił działać w zespole, coś współtworzyć. Fakty to potwierdzają. A to, z kim się przyjaźnimy, z kim współdziałamy, wystawia świadectwo także nam. Warto zatem robić rzeczy, które nam się podobają.

Artur Kolęda

Burgess i jego proroctwa

Tytuł mówi sam za siebie, bo wznowiona po raz kolejny książka autora „Mechanicznej Pomarańczy" jest krytyczną wariacją na temat „Roku 1984". W pierwszej części zawiera wnikliwe rozważania nad odczytaniem najważniejszej dystopii Georga Orwella. Główna teza Burgessa jest – być może – kontrowersyjna. Twierdzi on, że Orwell, będący zadeklarowanym brytyjskim socjalistą, inspirował się z jednej strony wyczulonym na przemoc państwa anarchizmem, a z drugiej – odwoływał do realiów życia w wojennej i powojennej Anglii 1948 r., którą po prostu skarykaturował. To czas ciągłych niedoborów, wojennej propagandy, w której stalinowski sojusznik z dnia na dzień zmienił się w absolutnego wroga, a także dyscyplinowania społeczeństwa i jego kontroli. Niezwykle ciekawe są tu np. rozważania o Angsocu, a więc uproszczonej do granic możliwości nowomowie umożliwiającej kontrolę myśli przez język. Przewidział, że terminy uważane za rasistowskie lub homofobiczne zostaną zakazane przez prawo.

Napisany w 1978 r. tekst zawiera też wiele obserwacji, które odwracają orwellowską wizję. Paradoksalnie szczególnie w Ameryce kolosalnej produkcji zbrojeniowej towarzyszy stale rosnący poziom konsumpcji, sąsiadując ze sobą na tych samych obszarach ekonomicznej ekspansji. I choć współczesne demokratyczne państwo gromadzi gigantyczne ilości informacji o ludziach, to jednak faktycznie następuje osłabienie jego instytucji i tryumf przeciwieństwa państwowej tyranii, jaką jest bezosobowy chaos. Nie istnieje scentralizowana władza, ale słabe państwo terapeutyczno-opiekuńcze przegrywające z siłami, które, choć same w sobie represywne, zawsze są gotowe pomniejszyć jego potęgę. Tu wskazywał na służby specjalne, ponadnarodowe korporacje, odbierające swobodę wyboru i propagujące dwójmyślenie mass media, mniejszościowe lobby, organizacje przestępcze. Do tego następuje atrofia języka, który staje się zbitką slangu i żargonu, upadek szkoły i uniwersytetu, tryumf żyjącej w nieustannej teraźniejszości młodości i nowej formy pelagianizmu przekonanego o dobrotliwej naturze człowieka.



Anthony Burgess, „1985", vis-à-vis/Etiuda 2024

W końcu druga część książki to dystopijna nowela o 1985 r., w której powyższe staje się rzeczywistością. Społeczeństwo jest skonfliktowane, miasta zislamizowane, roi się w nich od gangów nieletnich bandytów, katolicyzm staje się protestantyzmem, a protestantyzm angostycyzmem. Jedzenie traci smak, podobnie jak łatwo dostępny seks. Proroczą wizję dopełnia ciekawy epilog: wywiad z autorem.

Maciej Walaszczyk

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b4eba63ab8



Co mamy oddać Niemcom?

Dyskusja na temat reparacji, odszkodowań czy zadośćuczynienia, jakie należą się Polsce od Niemiec za krzywdy i straty wyrządzone podczas II wojny światowej, nabiera nowej dynamiki. Prezydent Karol Nawrocki uczynił ten postulat jednym z istotnych punktów programu swojej prezydentury



JERZY SZMIT

Na reakcję obrońców niemieckich interesów nie trzeba było długo czekać. Nowy rozdział w korowodzie oszustw i krętactw próbuje otworzyć obecny minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Chcąc zanegować prawo Polski do roszczeń wobec Niemiec, odgrzewa starego kotleta. Twierdzi, że „odszkodowaniem", jakie nasz kraj dostał od Niemiec, są tereny, które przed II wojną światową znajdowały się w granicach państwa niemieckiego, a po wojnie stały się częścią Polski.

Sikorski nie jest autorem tej tezy – została ona ukuta w Berlinie. Co ciekawe, ani rządcy Niemiec, ani ich media czy środowiska historyczne nie wypisują jej na sztandarach. Wiedzą, że poruszanie tego tematu stanowiłoby otwarcie z ich strony dyskusji o rozliczeniach za II wojnę światową Niemiec wobec Polski. Wolą więc twierdzić, że ta sprawa jest definitywnie zamknięta.

Skoro jednak polski minister spraw zagranicznych wyręcza Berlin w odrzucaniu polskich żądań, to warto polemizować z głoszonymi przez niego tezami.

Chcąc ustawić sprawę we właściwym świetle, należy zacząć od paktu Ribbentrop–Mołotow podpisanego 23 sierpnia 1939 r. W najistotniejszym protokole Berlin z Moskwą ustaliły, że dokonają IV rozbioru Polski i polskie granice ponownie znikną z mapy. Umowa obowiązywała do 22 czerwca 1941 r. Wtedy Niemcy zaatakowały swojego dotychczasowego sojusznika, co spowodowało radykalny zwrot w sytuacji wojennej.

STALIN DOPIĄŁ SWEGO

Po ponad dwóch latach w Teheranie nastąpiło pierwsze spotkanie wielkiej trójki: Stalina, Roosevelta i Churchilla. Rozmawiano, jak będzie wyglądał świat po zakończeniu wojny. Jednym z najważniejszych tematów był kształt polskich granic. Wstępnie zadecydowano,

Fot. NAC

eprasa.pl b4eba63ab8

że połowa terytorium RP ma trafić pod sowiecki but. Ostateczne decyzje zapadły w Jałcie na Krymie na początku 1945 r. Stalin dopiął swego. Przesunął zachodnie granice Związku Sowieckiego kosztem Polski do linii Bugu.

Sowiecki dyktator chciał tym ruchem osiągnąć jeszcze dwa cele. Po pierwsze, rozciągnąć wpływy Kremla o blisko 700 km na zachód od formalnej granicy Związku Sowieckiego. Po drugie, przesuwając Polskę możliwie daleko na zachód, jeszcze bardziej uzależnił ją od Rosji. Kalkulował, że wyniszczona wojną Polska będzie musiała stale korzystać z moskiewskiego parasola ochronnego, aby utrzymać ziemie zachodnie i północne.

W odróżnieniu od Polski los powojennych Niemiec nie był jeszcze wtedy przesądzony. Schorowany Roosevelt godził się na wszystko, co zaproponował sowiecki przywódca, a choć Churchill nie chciał wzmacniania siły Rosji Sowieckiej i opierał się jej parciu na zachód, to jego głos nie był istotny.

Trzecia runda rozmów wielkiej trójki odbyła się w Poczdamie w lipcu 1945 i dotyczyła już szczegółowych ustaleń. Rozmawiano np. o tym, czy zachodnia granica Polski będzie się opierać na Nysie Kłodzkiej, czy na Nysie Łużyckiej.

Dokumenty podpisane przez ówczesne zwycięskie mocarstwa mówiły jasno: tereny zachodniej i północnej Polski zostały „przyznane" naszemu krajowi jako rekompensata za ziemie, które wcielono do Związku Sowieckiego. A zatem nie były zadośćuczynieniem za straty i krzywdy, które poniosła Polska w wyniku wojny od Niemiec, ale jedynie rekompensatą za utracone terytoria na wschodzie.

Sikorski stwierdził natomiast, jakoby ziemie zachodnie i północne są naszym zyskiem osiągniętym kosztem Niemiec! Bez unoszenia się emocjami trzeba jasno powiedzieć, że takie tezy nie mają podstaw ani faktycznych, ani politycznych, ani prawnych. Świadczą o brakach w jego edukacji albo świadomym kłamstwie. Zresztą sam fakt, że polski minister spraw zagranicznych wspiera niemiecką argumentację skierowaną przeciw interesom polskim, jest kuriozalny.

Trzeba też stale przypominać kilka innych oczywistych spraw. Polska nie była obecna podczas rozmów, które dotyczyły jej przyszłości i granic. Co więcej, nikt nas nie pytał o zdanie. Dotyczy to zarówno polskiego legalnego rządu w Londynie, jak i nawet tzw. rządu lubelskiego.

„Przyznane" Polsce terytoria były obszarami zdewastowanymi wojną, a potem spustoszone grabieżą dokonaną przez wojska sowieckie: Wrocław został zniszczony w ponad 70 proc., Szczecin, Olsztyn – w ok. 45 proc., Kołobrzeg – w 95 proc. Polacy przesiedleni ze Wschodu zaczynali nowe życie ograbieni z majątków, wyniszczeni wojną i pozbawieni naturalnych więzi społecznych. Podejmowanie przez nich trudu odbudowy i przystosowania do nowych warunków samo w sobie było niczym niezasłużoną dotkliwą karą.

Tereny zachodniej i północnej Polski zostały „przyznane" naszemu krajowi jako rekompensata za ziemie, które wcielono do Związku Sowieckiego. A zatem nie były zadośćuczynieniem za straty i krzywdy, które poniosła Polska w wyniku wojny od Niemiec, ale jedynie rekompensatą za utracone terytoria na wschodzie

MUR RUNĄŁ, SPRAWA REPARACJI NIE RUSZYŁA

Porozumienia i różnej rangi prawnej umowy między PRL a NRD dotyczące granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej nie łączą spraw granicznych z kwestią reparacji czy zadośćuczynienia. Podpisany w grudniu 1970 r. układ między PRL a RFN o uznaniu granic nic nie wspomina, że ich kształt miałby być rozliczeniem między Polską a Niemcami. Porozumienie z października 1975 r. również nie dotykało rozliczenia między narodami i państwami.

W 1989 r. runął mur berliński, a NRD została wchłonięta przez Republikę Federalną Niemiec. Sprawy polskich krzywd wojennych nie były podnoszone. Niestety ówczesny premier Tadeusz Mazowiecki nie skorzystał z okazji, aby upomnieć się o ogólne rozliczenie polsko-niemieckie. Zadowolił się symbolicznymi w stosunku do skali problemu świadczeniami wypłacanymi osobom poszkodowanym przez III Rzeszę, które jeszcze żyły. Niemcy dostrzegli w końcu, że była grupa Polaków, którym państwo niemieckie – III Rzesza – wyrządziła szkodę. Ale dotyczyło to tylko więźniów obozów koncentracyjnych i osób zmuszonych do niewolniczej pracy. Niemniej przedstawiano to jako wyraz dobrej woli Niemiec albo wręcz przykład chrześcijańskiego miłosierdzia.

Zwolennicy zamknięcia sprawy wyrównania przez niemieckiego agresora krzywd, których doznała Polska i Polacy w czasie II wojny światowej, mają właściwie jeden argument. Dowodzą, że Rada Ministrów PRL w 1953 r. rzekła się uchwałą reparacji wobec „strony niemieckiej". Wszystkich, którzy zgadzają się z tym stwierdzeniem, proszę – zapoznajcie się z bogatą literaturą na ten temat. Szczególnie polecam odpowiedź minister Anny Fotygi na interpelację posła Janusza Dobrosza (pismo nr SPS-023-4836/06 z 28 września 2006 r.). Pani minister szeroko i wyczerpująco wyjaśnia, że rozliczenie nie zostało dokonane. Choć od daty opublikowania tego stanowiska minęło już blisko 20 lat, nic nowego się nie pojawiło. A ze strony Niemiec nadal słyszymy twarde: „Nie".

Jakże fałszywie brzmią w tym kontekście kreślone w Berlinie plany uzyskania dla Ukrainy reparacji od Rosji za napaść i wyrządzone jej tragedie i szkody. Pozostaje nam zatem wspierać prezydenta Karola Nawrockiego w jego dążeniach do wyrównania krzywd.

eprasa.pl b4eba63ab8

Sumiasty olbrzym



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Nie wiemy, jaka masę miał olbrzymi sum, jednak znając ją w przypadku niektórych innych gigantycznych ryb tego gatunku, musiała ona oscylować w granicach 130 kg. Być może nieco mniej albo więcej – niewykluczone, że nawet sporo więcej – co czyniłoby go nie tylko najdłuższym, lecz także najcięższym udokumentowanym sumem w historii. W naszych wodach żyje więc olbrzym (żyje, ponieważ został wypuszczony) przewyższający wszystkie inne okazy – przynajmniej te dobrze udokumentowane. Wyjaśnijmy wszystko po kolei.

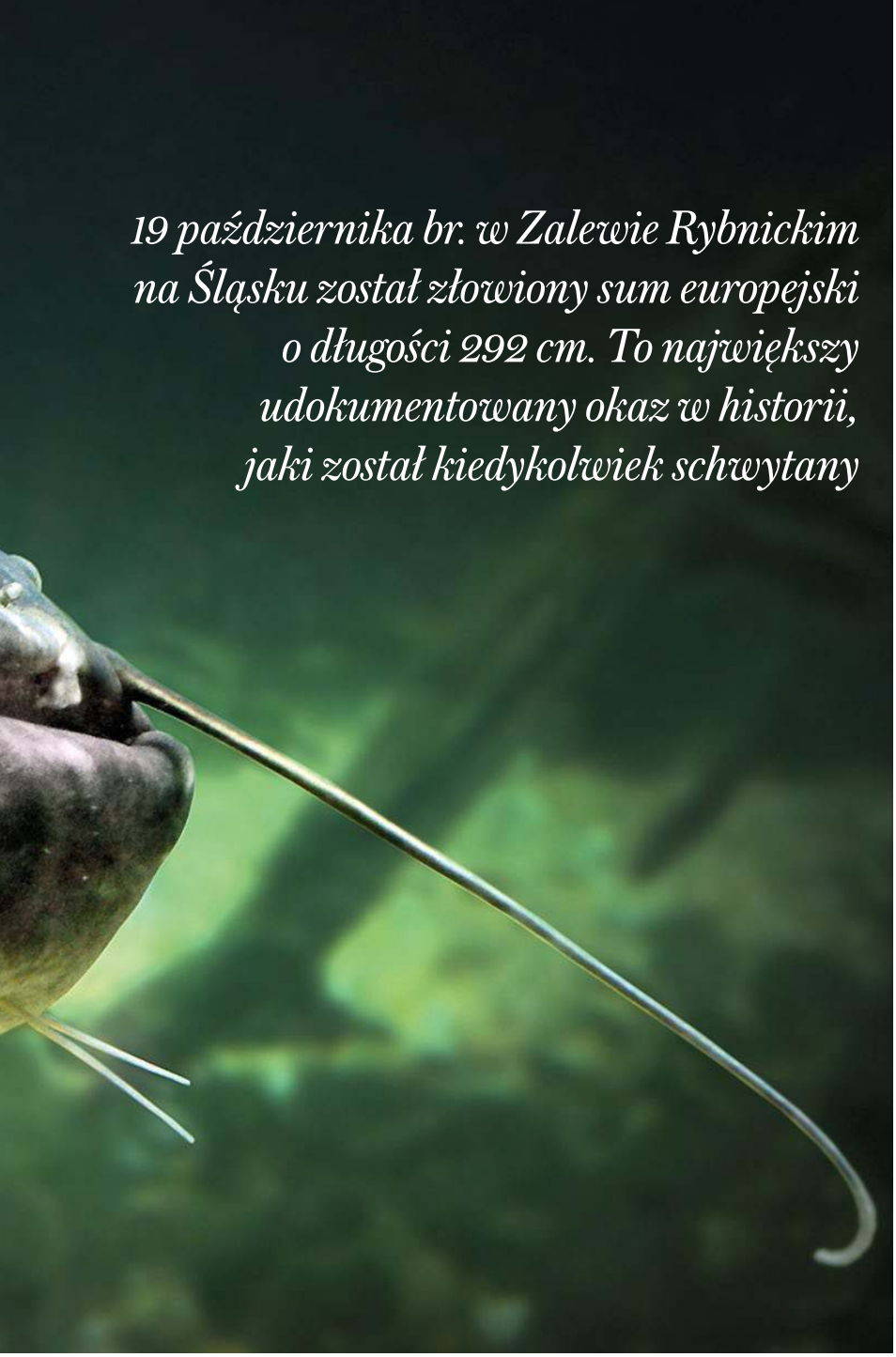
JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH LUB NAJWIĘKSZY

Sum europejski (*Silurus glanis*) zamieszkuje wody Europy Środkowej, w tym Polski i Europy Wschodniej, oraz wody części zachodniej Azji. W Europie południowej, np. w Hiszpanii, Włoszech czy Grecji, został sztucznie wsiedlony przez człowieka.

Jest największą rybą słodkowodną w tej części świata (większe są jesiotr zachodni, jesiotr ostronosy i bieługa, ale to ryby anadromiczne, czyli ży-

Fot. Kletr/Shutterstock

eprasa.pl b4eba63ab8



19 października br. w Zalewie Rybnickim na Śląsku został złowiony sum europejski o długości 292 cm. To największy udokumentowany okaz w historii, jaki został kiedykolwiek schwytany

jące w morzu, a do rzek wpływające na tarło) i jedną z największych ryb słodkowodnych na świecie. Większe bywają południowoamerykańska arapaima i azjatycka, słodkowodna płaszczka (*Himantura polylepis*) żyjąca w Mekongu i mętnych rzekach Borneo, dorastająca do średnicy 2,5 m i osiągająca masę ciała równą kilkuset kilogramom.

Kto jednak wie, czy o sumie europejskim nie można by powiedzieć: największa słodkowodna ryba świata. Do przedstawiciela tego gatunku z Zalewu Rybnickiego dodajmy na początek dwa inne. Oba pochodzą z rzeki Pad we Włoszech. Parę lat temu został w niej złowiony sum o długości 285 cm (czyli 7 cm krótszy od polskiego). Kilkanaście lat temu w tej samej włoskiej rzece złapany został sum o masie ciała 135 kg – tu nie znamy z kolei jego długości, a przynajmniej trudno ją zweryfikować.

Sum z Rybnika był zdecydowanie najdłuższy, przy tych rozmiarach mógłby więc ważyć nawet 150 kg – z zastrzeżeniem możliwości przesunięcia zarówno w dół, jak i w górę.

Istnieją całkiem wiarygodne informacje pochodzące z dzieł niemieckiego XIX-wiecznego przyrodnika Alfreda Brehma o sumach trzymetrowej długości, ważących ok. 250 kg, żyjących w Dunaju. O jeszcze większych – ważących 300, a nawet 400 kg – sumach łowionych w węgierskiej Cisie pisał również w XIX w. Ottó Hermann, uzdolniony, wszechstronny i wiarygodny przyrodnik węgierski.

Kto wie, może gatunek żyjący również w naszych rzekach i jeziorach jest największą słodkowodną rybą świata?

Bardzo oryginalny jest również wygląd suma i jego zwyczaje. Wydłużone ciało ma kolor zielonkawo-szary o marmurkowym wzorze. Od spodu na znacznej długości biegnie charakterystyczna płetwa odbytowa. Płetwa grzbietowa jest z kolei zredukowana i przypomina nieco miniaturową wersję trójkątnej płetwy rekinów. Płetwy piersiowe wyrastają przy nasadzie głowy, są duże i okrągłe. Głowa nawet przy olbrzymim ciele wygląda na wielką i rzeczywiście taka jest: szeroka, z bardzo obszerną paszczą, małymi, mętnawymi oczkami, rurkowatymi nozdrzami i długimi na kilkadziesiąt centymetrów mięsistymi wąsami. Sum nie ma wielkich kłów, ale nie można dać się tym zmylić: ułożone w szeroką tarkę niezliczone drobne, lecz ostre zęby mocno ranią i już nie puszczają złapanej zdobyczy.

Sumy są terytorialne. Bronią swojego podwodnego rewiru przed innymi przedstawicielami tego gatunku – na Wschodzie na taką głęboką sumową jamę mówiło się kołbań – a nawet atakują nurków i kąpiących się ludzi. Stąd np. opisywane w ostatnich latach powtarzające się ataki sumów w niemieckich jeziorach. Wydaje się, że dotyczyły one osobnika pilnującego gniazda z młodymi – wystarczyło zapewne odczekać, zamykając na jakiś czas kąpielisko, i pozwolić mu na ich odchowanie, a ataki by ustały.

SUM Z ZALEWU RYBNICKIEGO

Szczególnie wielkie sumy – oprócz tych wspomnianych, nie do końca pewnych przypadków olbrzymów z Dunaju i Cisy – rosną w dwóch rodzajach środowisk. Na południu Europy, gdzie są one gatunkiem obcym, wprowadzonym przez człowieka (o tym za chwilę),

eprasa.pl b4eba63ab8

i w zbiornikach, do których zrzuca się ciepłe wody z elektrowni. Mogą tam żerować przez cały rok. A ponieważ sum należy do ryb rosnących niemal bez ograniczeń, do tego jest bardzo żarłoczny i może żyć kilkadziesiąt lat (nikt jeszcze nie poznał górnej granicy wieku sumów europejskich), osiąga niewiarygodne rozmiary. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe.

Rekordowy sum został złowiony na spinning, czyli sztuczną przynętę (w tym przypadku gumową), o dwudziestokilkucentymetrowej długości, zarzucaną wędką i ściąganą odpowiednimi ruchami, przez co swoim giętkim korpusem wykonuje ona ruchy, które pobudzają drapieżnika do ataku zarówno wizualnie, jak i poprzez drgania wody sugerujące np. ranną ofiarę i docierające do narządu suma nazywanego linią boczną. Za pomocą linii bocznej, czyli rzędu miniaturowych otworków ciągnących się wzdłuż każdego z boków ciała, które wykrywają i rejestrują nawet najdelikatniejsze ruchy wody, a także bardzo czułych wąsów i dzięki chemoreceptorom, sum jest w stanie atakować nawet w całkowitej ciemności. Robi to błyskawicznie, zadziwiająco szybko jak na tak wielką i pozornie ospałą rybę. Do tego zasysa zdobycz, gwałtownie otwierając paszczę – ofiara znika wewnątrz tak szybko, że oko ludzkie w zasadzie tego nie rejestruje.



Sum gigant złowiony w Zalewie Rybnickim

ŁOWIĆ CZY NIE?

Sum jest więc rybą wyjątkową. Dzięki rozmiarom, zwyczajom, wyglądowi i tajemniczości – legendarną, a przy tym o cechach, które przewyższają te legendy. Jak zawsze pojawia się pytanie, nie tylko odnośnie do sumów – łowić czy nie?

Łowienie ryb jest jednym z najdawniejszych ludzkich sposobów na zdobywanie żywności i w ogóle jedną z najdawniejszych czynności ludzkich. Czy usprawiedliwia to łowienie ryb?

W obronie wędkarstwa można powiedzieć, że wbrew pozorom wcale nie należy do wyjątkowo inwazyjnych, ani do najbardziej drastycznych form działania człowieka. Nawet jeżeli niektórzy ludzie nie polują, nie łowią, nie jedzą mięsa, nie latają samolotami, jeżdżą tylko rowerami itp., to np. kupują w sklepach. A nawet do tych ekologicznych musi docierać samochód dostawczy. Taki samochód jeździ dużo, szybko, o różnych porach i rozjeżdża niezliczone zwierzęta, czasem potrąca te większe, niemal codziennie te nieco mniejsze, a codziennie i w dużej ilości zabija te małe (ograniczę tu opis oddziaływania tylko do rozjeżdżania zwierząt, w rzeczywistości jest dużo szerszy). Każdy z nas ma ubrania, których produkcja bardzo obciąża środowisko, a nawet jeżeli nie kupujemy niczego z niecertyfikowanych plantacji plam olejowych rosnących w miejscu wyciętego lasu tropikalnego, to jemy chleb ze zbóż rosnących w miejscu wyciętej puszczy europejskiej.

> Sum nie ma wielkich kłów, ale nie można dać się tym zmylić: ułożone w szeroką tarkę niezliczone drobne, lecz ostre zęby mocno ranią i już nie puszczają złapanej zdobyczy

Nie piszę tego po to, żeby krytykować czy wyśmiewać działania ludzi chcących zmniejszyć swój wpływ na środowisko. Przeciwnie, sam do takich należę. Chodzi mi tylko o to, że rozsądnie praktykowane wędkarstwo nie jest czymś bardzo złym, a poniekąd stanowi formę realizowania naszych pierwotnych odruchów – niektórzy mają je słabsze, a inni mocniejsze. Jednocześnie rozumiem i szanuję postawę, kiedy ktoś zdaje sobie sprawę, że nie uda mu się żyć bez wywierania wpływu na przyrodę, tylko po prostu sam nie chciałby łowić ryb, bo byłoby to sprzeczne z jego wrażliwością. I to też jest dobre.

Nie jestem natomiast zwolennikiem łapania jak największej liczby ryb, zwłaszcza tych największych okazów, tylko po to, żeby zaraz je wypuścić. To udawanie, że jest się przyjaznym przyrodzie, a tak naprawdę – męczenie ryb i narażanie ich na śmierć, bo takie zwierzęta są wyczerpane, zestresowane, mają starty śluz chroniący je przed chorobami grzybowymi itp. Jeżeli natomiast ktoś chce złapać rybę, żeby ją zjeść i nie sieje przy tym spustoszenia, to w porządku (za to np. nie kupi ryby w sklepie, a przecież ją też ktoś najpierw musiałby złowić).

Nie jestem też zwolennikiem stosowania coraz doskonalszego sprzętu do namierzania ryb pod wodą – odziera to wędkarstwo z tajemnicy, zmniejsza szanse ryby i umożliwia polowanie na największe osobniki, które powinny zostać w wodzie, bo są potrzebne przyrodzie i jak wszystkie wielkie zwierzęta są rzadkie.

Mogę jednak wskazać cel każdemu chcącemu łowić wielkie sumy, nawet z użyciem sonaru, a do tego najlepiej bez ich wypuszczania. Jak pisałem, w Hiszpanii, Włoszech, części Francji (a także np. w Anglii) sumy są gatunkiem obcym, wprowadzonym jakiś czas temu przez człowieka. Przy swojej żarłoczności w ciepłych, południowych wodach włoskiego Padu czy hiszpańskim Ebro sieją spustoszenie wśród tamtejszych rodzimych gatunków – zresztą nie tylko ryb, lecz także wszystkiego, co zdołają złapać, z ssakami i ptakami wodnymi włącznie. Dlatego powinny być zdecydowanie zwalczane.

Fot. Polska Akademia Wędkarska/facebook

eprasa.pl b4eba63ab8



Spotkali się w najnowszej edycji „Tańca z gwiazdami”. Kobieta po (serialowych) przejściach i mężczyzna z przeszłością. Na parkiecie – oraz poza nim – Barbara Bursztynowicz (na zdj.) i Marcin Rogacewicz wygrywają dalszy ciąg życiowych telenowel

Roztańczona nowela

Fot. Jan Bogacz/TVP

eprasa.pl b4eba63ab8



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Marcin Rogacewicz w serialu „Komisarz Alex”

Oboje mają za sobą szeroko komentowane odejścia z polskich seriali. Z tym że Barbara Bursztynowicz opuściła swój „Klan” raptem kilka miesięcy temu. Po blisko 28 latach!

Premiera najdłużej nadawanego polskiego serialu codziennego odbyła się 22 września 1997 r. Już wtedy w historii wielopokoleniowej rodziny Lubiczów obecna była Elżbieta Chojnicka – najstarsza córka Marii i Władysława, farmaceutka pracująca w rodzinnej aptece. Grała ją właśnie Bursztynowicz.

Z APTEKI DO SZPITALA

Tłumacząc powody odejścia, aktorka mówiła, że była już „zwyczajnie zmęczona i znużona jednostajnością”, brakiem perspektyw rozwoju bohaterki i związanego z nią wątku. Żaliła się, że Elżbieta stała się powtarzalna i nie można się było spodziewać niczego zaskakującego w jej postępowaniu. – Żyła życiem innych, jakby nie miała swoich potrzeb, emocji czy wewnętrznego życia – oceniała.

Szukając nowych wyzwań, aktorka trafiła do TVN-owskiego „Szpitala św. Anny” oraz realizowanego w Polsacie show „Taniec z gwiazdami”. O nowej serialowej bohaterce mówi, że to postać niejednoznaczna; dużo w niej tajemnicy, skomplikowania i wewnętrznego rozedrgania, a nawet rozdarcia, co przy budowaniu postaci jest niezwykle inspirujące.

Nazwisko bohaterki brzmi znajomo. – Aż trudno powstrzymać się, by odruchowo nie dodać końcówki – stwierdza Bursztynowicz.

NIEZWYKŁY TANIEC

Irena Bursztyn jest matką wyrazistej postaci – ginekolożki Darii (Marta Wierzbicka). Na pierwszy rzut oka to kobieta z klasą, osoba o nienagannych manierach. Jednak pozorny spokój i opanowanie osiąga, od lat wspomagając się alkoholem.

Barbara Bursztynowicz pojawia się w „Szpitalu św. Anny” w wielu dramatycznych, ekspresyjnych scenach, ze zmęczoną twarzą, bez makijażu. W tanecznym show udowadnia, że mimo ograniczeń wieku 71-latka może błyszczeć. Również w układach choreograficznych i kreacjach. Potrafi też skutecznie wykorzystywać kamery, by zatrzymać na sobie uwagę widzów.

Do odcinka, w którym gwiazdy występowały ze swoimi bliskimi, aktorka zaprosiła męża Jacka Bursztynowicza, również aktora. Z Michałem Kassinem, tanecznym partnerem z show, jako trio, zaprezentowali układ do utworu „Can’t Help Falling in Love” Elvisa Presleya. Tancerz tak go skomentował w mediach społecznościowych: „To nie był zwykły taniec, to była opowieść o 53 latach wspólnych poranków, kłótni i przebaczeń, o trzymaniu się za ręce, gdy świat się chwieje. Ich kroki nie były idealne, ale prawdziwe. Każdy obrót miał w sobie szaleństwo, każda pauza – czułość. Zatańczyli tak, jak żyją: razem”.



Barbara Bursztynowicz z mężem Jackiem Bursztynowiczem w „Tańcu z gwiazdami”

ROZSTANIA I ROSZADY

Po opuszczeniu bezpiecznej telenowelowej przystani Barbarze Bursztynowicz udało się szybko znaleźć ciekawsze aktorskie wyzwanie. Tymczasem na prawdziwie inspirującą propozycję określeni przez format telenowelowi aktorzy muszą czasami sporo poczekać. Mimo to porzucają swoje wieloodcinkowe postaci. Jak Małgorzata Kożuchowska, która po 11 latach grania Hanki Mostowiak w „M jak miłość” zdecydowała się wjechać z bohaterką w kartony. Z serialu po dekadzie grania Małgosi odeszła Joanna Koroniewska, a po kolejnych sezonach – Kacper Kuszewski (w sumie związany z tytułem przez 18 lat).

W lutym br. (po 25 latach bycia serialową Martą) z rodziną Mostowiaków pożegnała się Dominika Ostałowska. Głośne było też rozstanie Piotra Cyrwusa (serialowego Ryśka Lubicza) z „Klanem”. Doszło do niego po 15 latach od rozpoczęcia produkcji. Sporo mówiło się o roszadzie w „Miodowych latach” i zastąpieniu Agnieszki Pilszewskiej Katarzyną Żak, o pożegnaniu (po 15 latach) Małgorzaty Sochy z produkcją „Na Wspólnej” czy redukcjach kolejnych medyków w „Na dobre i na złe”.

ZE SZPITALA NA WAWEL

Jednym z serialowych lekarzy był Przemek Zapała. Najpierw rezydent, potem samodzielny chirurg, którego przez 10 lat grał Marcin Rogacewicz. Do zespołu z Leśnej Góry dołączył w 2008 r., tuż po ukończeniu studiów aktorskich w łódzkiej filmówce. Po dekadzie Zapała „wyjechał do Szwecji”, by grający go aktor – jako Jaśko z Melsztyna – mógł rozpocząć kostiumową przygodę w wieloodcin-

eprasa.pl b4eba63ab8

07/0425/F/ZAL



Marcin Rogacewicz i Agnieszka Kaczorowska w „Tańcu z gwiazdami”

Fot. Materiały prasowe/TVP; materiały prasowe Polsat

kowej „Koronie królów”. Znakiem rozpoznawczym Rogacewicza z czasu kręcenia trzech kolejnych sezonów „KK” były długie włosy. Przydały się też do tworzenia postaci w innych serialach, np. „Przyjaciółki” „Tatuśkowie” czy „Na Wspólnej”.

Podczas pandemii, by utrzymać rodzinę (wychowywał z żoną czwórkę dzieci), Marcin Rogacewicz otworzył sklepik z warzywami i owocami na warszawskiej Woli. Nazwał go „U aktora”. Prowadził go przez dwa lata. Podkreśla, że warzywniak szybko stał się czymś więcej niż tylko miejscem handlu. Przekształcił się w „lokalną przestrzeń społeczną, do której przychodzili nie tylko kupujący, lecz także sąsiedzi, by porozmawiać, wymienić się historiami i spędzić czas”. Jedna z klientek przyniosła mu kontakt do agencji aktorskiej. To dzięki niej otrzymał propozycję „nie do odrzucenia”. Został szóstym opiekunem czworonożnego detektywa Aleksa (po Jakubie Wesołowskim, Antonim Pawlickim, Krystianie Wieczorku, Wojciechu Czerwińskim i Jacku Knapie).

DLACZEGO KOMENTUJĄ?

Jako komisarz Paweł Kozera aktor zaskarbił sobie sympatię widzów. Odbierano go wyłącznie pozytywnie – do czasu, gdy w „Tańcu z gwiazdami” potwierdził, że Agnieszka Kaczorowska jest nie tylko jego taneczną, lecz także życiową partnerką.

Na początku tego roku aktor rozwiódł się (po 12 latach małżeństwa, już na pierwszej rozprawie). Wcześniej często podkreślał, że bycie ojcem (wychowywał z żoną Mają czworo dzieci: trzy córki i syna) jest jego życiową misją. Kaczorowska, od wielu miesięcy pozostając w konflikcie z ojcem swoich dwóch córek, nadal jest w trakcie rozwodu.

Na negatywne komentarze, które zaczęły się pojawiać w sieci, Rogacewicz zareagował w czasie jednego z nagrań towarzyszących „TzG”, zwracając się do partnerki: „Nikt nie zna twojej prawdziwej historii, nikt nie zna mojej prawdziwej historii, to dlaczego komentuje?”.

Niezależnie od emocji związanych z prywatnymi relacjami zarówno widzowie, jak i jury „TzG” przyznają, że w duecie z Agnieszką Kaczorowską aktor czyni ogromne postępy, a ich kolejne choreografie są coraz bardziej ekscytujące. Pytanie, czy doprowadzą parę do Kryształowej Kuli.

REKLAMA

SALTUS | 30 lat
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym





HITY i KITY ZAREMBY

„LARP", czyli o trochę niedzisiejszej młodzieży

„LARP. Miłość, trolle i inne questy" to film ułożony przeważnie z wypróbowanych wzorców opowiastek o młodzieży. Jest w nim jednak coś, co czyni go empatycznym i oryginalnym. Może nawet Kordian Kądziela nienachalnie podsuwa młodej widowni jakiś wzór do naśladowania

Szedłem na niego w przekonaniu, że to opowieść o grach komputerowych. Tymczasem: „LARP – Live Action Roleplaying Game to gra zespołowa, której uczestnicy (na ogół podzieleni na rywalizujące grupy/frakcje) wcielają się w postaci uwikłane w fabularne konflikty w fikcyjnym świecie".

Już w pierwszej scenie Sergiusz, syn komendanta policji, uczeń prowincjonalnego technikum, walczy u boku przyjaciół w leśnych ostępach w kostiumie elfa Legolasa, łucznika. Nie wiem, czy w niewielkim mieście znalazłoby się tylu amatorów tak wymagającej wyobraźni rozrywki. Tak samo jak nie wiem, czy tenże Sergiusz (nazywany Serkiem), będąc synem ważnego policjanta, dałby się sprowadzić do roli ofiary szykan brutalnego kolegi z klasy. Ale może poza cechami charakteru mamy tu jakąś prawdę społeczną. Jego prześladowca Gonzo jest synem biznesmena trzęsącego tą miejscowością.

Same gry wynikające z logiki LARP robią dość niezwykłe wrażenie. Ale powiedzmy szczerze – zarówno uczucie Serka do dziewczyny uwikłanej w jego szkolny konflikt z Gonzem, jak i problemy z ojcem oraz bratem, z serca i ducha policjantami, a także chwilowe odrzucenie przez grupę – to już w kinie bywało. Dlaczego więc oglądałem to z rosnącą fascynacją?

Poza inwencją scenografek Agaty Lepackiej i Ewy Soleckiej oraz kostiumografki Wioli Uliasz zdecydował błyskotliwy scenariusz (Kądziela plus Michał Wawrzecki). Dialogi są tu naprawdę zabawne, poszczególne sytuacje – pomysłowe. Trochę w tym realizmu, trochę magii. Niektóre skojarzenia – odległe od dnia dzisiejszego. Dialogi Sergiusza z rybkami z akwarium kojarzyły mi się ze sławnym niegdyś teledyskiem Chemical Brothers.

Nie ma tutaj pewnych rzeczy typowych dla filmów o młodych, np. używek czy przekleństw. To w gruncie rzeczy trochę wyidealizowana wizja, właśnie jak z LARP. Sergiusz i jego towarzysze broni używają chwilami dość wyszukanego języka. Choć jest on rodem z fantasy (choćby z Tolkiena), a nie z patriotycznych rekonstrukcji, mamy tu świat nie całkiem realny (choć jego elementy mogą być prawdopodobne). Jeśli główny bohater wygrywa, to swoją rycerskością. Czy dziś ktoś to kupi? Może i tak.

Film zrealizowała ekipa od serialu „1670", pseudohistorycznej groteski Netfliksa naszpikowanej dość brutalnymi żartami. Kordian Kądziela to jeden z jego reżyserów, ale tu jest mocno inaczej niż tam. Sergiusz i jego potencjalna ukochana piszą do siebie wyszukane listy, jak z dworskich romansów.

Rolę Serka powierzono 21-letniemu Filipowi Zarębie (żadna rodzina, pisownia nazwiska jest zresztą inna). W drugiej serii „1670" gra on syna Adamczewskich Stanisława. Tu jest kapitalny – to na jego uroku, delikatności, ale także finałowej charyzmie ten film bazuje w dużej mierze.

Jego ukochaną Heleną jest jego siostra z „1670" Martyna Byczkowska, jego brata, młodego policjanta, gra jego poprzednik w roli Stanisława Adamczewskiego – Michał Balicki. Nawet Bartłomiej Topa pojawia się w całkiem odjechanej roli pana Lacroix, bożyszcza wielbicieli fantasy.

Zwróciłbym uwagę na Andrzeja Konopkę w roli ojca policjanta. Ileż razy widzimy go w filmach, nieraz w skromnych drugoplanowych rolach? Jego postacie są z reguły budowane powściągliwie, nawet cokolwiek sucho. A tu dostajemy od niego porcję wzruszenia. Niby trochę zgodnego z konwencją, a jednak wyjątkowo dobrze się to ogląda...

Piotr Zaremba

„Ruda" – podpatrywanie artystki

Reżyser tworzy spektakl o matce swojej życiowej partnerki. Ta partnerka gra w nim swoją matkę. Mowa o „Rudej", przedstawieniu Teatru Telewizji

Ten reżyser to Wawrzyniec Kostrzewski, który stworzył dla telewizji tak istotne spektakle, jak „Listy z Rosji" de Custine'a czy „Wesele" Wyspiańskiego. Aktorką jest Olga Sarzyńska. Bohaterką – jej matka Małgorzata Sarzyńska, zmarła w 2005 r., utalentowana malarka bez artystycznego wykształcenia. W spektaklu pojawia się także sama Olga, grana przez studentkę szkoły teatralnej Hannę Sągolewską.

Zacząłem oglądać „Rudą" pełen wątpliwości – trudno bowiem o bardziej osobiste wyznanie Olgi Sarzyńskiej, nawet jeśli tekst napisał Kostrzewski razem z pisarką Małgorzatą Sikorską-Miszczuk. Czy nie jest to wdzieranie się w cudzą intymność, nawet jeśli oni sami do niej zapraszają?

Mamy tu szarpaninę artystki z matką, brutalną królową bazaru w Jeleniej Górze, małżeństwo z pijakiem, ojcem aktorki, nieumiejętność ułożenia sobie życia – zarówno twórczego, jak i osobistego – wreszcie zapaść psychiczną.

Owszem, Małgorzata napotyka na mnożone przez innych przeszkody w realiach PRL, a potem nowej Polski. Wędrówka od jednej do drugiej jest pokazana w konwencji sennego koszmaru, podbijanego metaforyczną scenografią Ewy Gdowiak i jak zawsze muzyką Piotra Łabonarskiego. Ale może główna przyczyna klęski tkwi w niej samej.



Kobieta nie umie pogodzić dwóch natur: wrażliwej artystki i czułej matki. Nie odnosi też takiego sukcesu, na jaki może zasługiwała. Opowieści o wewnętrznym życiu artystów zawsze są uderzające. Poddanie się natchnieniu łączy się z bólem, czasem z podeptaniem innych elementów egzystencji. Tu może najbardziej wstrząsającą sceną jest ta, w której okazuje się, że malarka nie umie rozmawiać z własnymi dziećmi.

Autorzy nikogo nie potępiają, znakomita w roli prostej matki handlarki Maria Maj rehabilituje na końcu swoją bohaterkę. Podobnie w mężu malarki Grzegorzu – sam tekst i Michał Czernecki znajdują ludzkie cechy.

W rolach drugoplanowych Kostrzewski obsadził wybitnych aktorów. Agata Kulesza, Adam Ferency, Mariusz Bonaszewski, Wojciech Brzeziński, Piotr Adamczyk czy Maria Ciunelis pojawiają się w kilku scenach, a jakże są wyraziści. Ale to samo dotyczy młodych aktorów. Maciej Bisiorek gra w ujmującym epizodzie wiszącego na mrozie himalaistę Leszka.

Olga Sarzyńska to aktorka, dla której pisałbym teksty zarówno dramatów, jak i komedii. Tu mieni się wszelkimi barwami – raz jest piękna, raz wyczerpana, wręcz zniszczona – artystka nigdy nie bała się takich przemian. To rola szczególna – dla niej, a także dla nas. Jeśli szamotanina malarki wydaje się komuś tematem zbyt „specjalistycznym", wystarczy na nią popatrzeć i posłuchać. Oto człowiek!

POKOLENIOWA SPOWIEDŹ DZIWAKA

„Żywołapka" Jarosława Jakubowskiego to opowieść konkretnej postaci osadzonej w więzieniu i podsumowującej swoje życie. Chwilami robi jednak wrażenie bilansu samego autora. Jest on przecież rówieśnikiem Pawła Drzazgi, mieszka w tych samych okolicach, zajmuje się pisaniem, choć za nic go nie zamknęli



Jarosław Jakubowski to jeden z płodniejszych polskich pisarzy. Poznałem go jako autora powieści kryminalnej, której akcja rozgrywa się w przedwojennej Bydgoszczy – to jego rodzinne strony. Podziwiałem łatwość, z jaką tworzy kolejne sztuki teatralne, „Znaki" czy „Generał" zrobiły karierę telewizyjną. Niedawno recenzowałem jego zbiór opowiadań. Teraz przeczytałem „Żywołapkę", wielowątkową spowiedź z czyjegoś życia.

Paweł Drzazga trafia do więzienia za zabójstwo męża swojej kochanki. Więzienna wychowawczyni porucznik Jedynak (w której nasz bohater się podkochuje) zachęca go do zwierzeń. Nie twierdzę, że Drzazga, pogrążony w obsesjach nieudacznik, to sam Jakubowski. Ale ma się wrażenie, że doświadczenia pokoleniowe (rocznik 1974) miewali wspólne.

Dostajemy opowieść o skomplikowanym życiu uczuciowym kogoś, kto podejmował wiele zajęć, niczego nie kończył, miał za to wiele kobiet. Relacja dotyczy meandrów uczuciowych, klimatów rodzinnych (wiecznie monologująca matka w duchu „Dnia świra" Marka Koterskiego), a także społeczno-politycznego portretu epoki. Drzazga ociera się o prowincjonalne życie publiczne, pisze mowy biznesmenowi zmieniającemu się w polityka. I nie oszczędza żadnego z aktorów tamtych zdarzeń łącznie z sobą.

Czyta się to znakomicie, chociaż... W kilku miejscach czułem się odrobinę znużony piętrowymi wynurzeniami narratora – bohatera. Jak rozumiem, przytaczanymi tak obszernie po to, abyśmy go lepiej zrozumieli. Także monologi matki mogą udręczyć. Ale ta udręka, zadawana sobie i odbierana od bliskich, to jeden z tematów „Żywołapki".

Warto to przetrzymać. Zwłaszcza że cały czas czekamy na wyjaśnienie zagadki: zabił niejakiego Zumowicza czy nie? Nie zamierzam spoilerować, polecam lekturę. Ile w tym uniwersalnej prawdy o ludzkich ułomnościach, a ile o III Rzeczypospolitej? Przekonajcie się...

3 MIŁOŚCI

W słuchawkach biegają asceci



ROBERT TEKIELI

Trwają wieki ciemne. Demon zamieszkał w centrum zachodniej kultury. Ludzie żyją, jakby Boga nie było. Cierpią, a nie wiedzą, że grzeszą. A jedno jest konsekwencją drugiego.

Cierpienie dziś człowiekowi skandalem. Ponowoczesność, nowożytny renesans pogaństwa, odrodzenie fatum. Uwiąd nadziei i wiary, kapitulacja rozumu, tryumf duchowości magla. Duchowa smuta.

Nic nie jest tym, czym się wydaje. Rozwiązli celebryci uczą lud zasad moralnych, eksperci szerzą zabobony, naukowcy utkali nowe kierunki akademickie z przesądów.

Kryzys elit, kryzys przywództwa. A jeszcze nie tak dawno, pokolenie temu, grało nam w duszy uczucie piękne, choć co prawda już wyłącznie nostalgiczne: „z szlachtą polską polski lud". Arystotelesowy ład, system, w którym elita jest wyłaniana według mądrości i cnoty. Paweł Milcarek zapisał niedawno we wspomnieniu: „Była w Tacie jakaś gotowość do uznania w takich Czartoryskich przywódczego autorytetu, przyjęcia jako oczywistego ich pierwszeństwa godności, gdy jest oznaką pierwszeństwa myśli i poświęcenia".

Naturalny autorytet elit. Pierwszeństwo godności, pierwszeństwo myśli, pierwszeństwo poświęcenia. A co wokół? Świat kpiny i kpina ze świata.

Tęsknimy za ludźmi wielkimi duchem, za mężami stanu, za kimś, kto posturą duchową i formatem umysłowym przypominałby właśnie księcia Adama Czartoryskiego – tę wielkość arystokraty oddanego dobru wspólnemu. Owa tęsknota jest instynktowna i zdrowa, bo przed nami czas narodów, czas patriotów. Czas na mężów stanu.

I smutne, że rozsądni ludzie podtrzymują czarną legendę Piłsudskiego, który mimo przywar i niemałych wad uniósł ciężar dziejowego momentu. Życzyłbym prezydentowi Nawrockiemu, by wszyscy jego współpracownicy wybudzili się z agenturalnego snu Jędrzeja Giertycha.

Dlaczego Polacy tęsknią za Piłsudskim? Nie ma w tym żadnej niedojrzałości, tylko zdrowe rozumienie wielkości i potrzeby chwili.

Ojczyzna to zbiorowy obowiązek, ale w dużej mierze spełniany indywidualnie. Musimy wysoko stawiać sobie poprzeczkę. Błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko mówił: „Mamy wypowiadać prawdę, gdy inni milczą. Wyrażać miłość i szacunek, gdy inni sieją nienawiść. Zamilknąć, gdy inni mówią. Modlić się, gdy inni przeklinają. Pomóc, gdy inni nie chcą tego czynić. Przebaczyć, gdy inni nie potrafią. Cieszyć się życiem, gdy inni je lekceważą"

Od 25 lat celem reżimu Putina jest odwrócenie klęski zimnej wojny i katastrofy gorbaczowowsko-jelcynowskiej smuty. Powrót do równowagi z 1997 r. NATO za Odrą, w Warszawie i Kijowie rządy akceptujące istnienie rosyjskiej strefy wpływów i swoje w niej przebywanie. Putin – genocydem w Czeczenii, militarną agresją na Gruzję, ludobójstwem w Syrii, wreszcie pełnoskalową wojną na Ukrainie – konsekwentnie próbuje odwrócić strategiczną katastrofę. Skurczenie się imperium do rozmiarów niezapewniających bezpieczeństwa. I z zazdrością patrzy na Beniamina Netanjahu, który w dwa lata pozbył się zagrożenia ze strony Hamasu, Hezbollahu i Teheranu. Śmiertelnie zagrożony kraj ludobójczymi metodami wywalczył strategiczne bezpieczeństwo.

Więc Putin, korzystając ze wsparcia marksistowskich Chin, będzie dalej atakował nas, kraje nadbałtyckie, skandynawskie, również Starą Europę coraz agresywniej, choć poniżej progu wojny kinetycznej. W którymś z krajów NATO poleje się krew. Bo agresywny imperialny reżim jest do tej agresji zachęcany przez politykę i Paryża, i Londynu, i tym razem również Berlina.

Jak się ośmiela napastnika? „Appeasement, zaspokajanie, uspokajanie, łagodzenie – polityka ustępstw prowadzona przez rząd Wielkiej Brytanii premiera Neville'a Chamberlaina, a później także rząd francuski premiera Édouarda Daladiera w latach 1935–1939 wobec państw Osi: III Rzeszy i faszystowskich Włoch". 90 lat później skończy się dokładnie tak samo. Polska znów ma być rzucona na pożarcie.

W tej chwili elity Starej Europy po dwóch dekadach dokarmiania Moskwy zaczynają dopuszczać do świadomości realność rosyjskiego zagrożenia. I aby dalej być równorzędnym partnerem

eprasa.pl b4eba63ab8

Moskwy w interesach, Berlin zbroi się na potęgę. Niemcy właściwie wprost deklarują, że za dwa lata chcą odegrać rolę hegemona Europy. Już nie tylko na zasadzie instytucjonalnych przewag w UE i gospodarczej dominacji, lecz także nagiej siły. Wejść w buty Stanów Zjednoczonych, które odejdą – na to Berlin ma nadzieję – na Pacyfik konfrontować się z Chinami.

Więc potrzebujemy męża stanu, przejęcia władzy przez patriotów, zmiany konstytucji na skupiającą władzę w jednym ręku.

A zagrożeni jesteśmy nie tylko przez rosyjski i niemiecki nacjonalistyczny imperializm, lecz także przez internacjonalizm. Bo Europa pędzi na ścianę. W grudniu 2022 r. szwedzkie władze odebrały szwedzkiej rodzinie pochodzącej z Rumunii dwie córki, Sarę (11 lat) i Tianę (10 lat), powołując się na to, że owa rodzina uczęszcza do kościoła trzy razy w tygodniu. Rodzice ograniczali też córkom korzystanie z telefonów i makijażu – oskarżono ich więc o „ekstremizm religijny". Poddano reedukacji. Obie dziewczynki próbowały popełnić samobójstwo podczas pobytu w pieczy zastępczej. Bezwzględna walka z wiarą jest jednym z najważniejszych punktów rewolucyjnej agendy.

W Polsce, gdyby nie wynik ostatnich wyborów, w dwa lata mielibyśmy podobne prawo. I nie łudźmy się pełnymi kościołami. Za 10 lat w Polsce nie będzie już katolików kulturowych.

„Tylko naród wolny duchowo i miłujący prawdę może trwać" – nauczał błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko. „Dlatego dbajmy o wolność naszego ducha, nie dajmy się zniewolić przez lęk i zastraszenie. Nie pozwalajmy w najdrobniejszych nawet sprawach zatruwać ducha narodu".

Duch naszego narodu jest codziennie zatruwany ponad miarę. Tylko suwerenna duchowo władza może ustanowić w nowej Rzeczypospolitej prawa podobne do tych, którymi szczycą się kraje Starej Europy. Repolonizacja mediów. Transparentność finansowania NGO. Bez tego nigdzie nie zajdziemy. W ogóle odbicie wszystkich instytucji naszej cywilizacji zdobytych w trakcie długiego marszu przez instytucje z rąk radykalnych środowisk rządzących dziś Europą.

Do tego formacja duchowa, walka z uległością intelektualną naszego narodu i odbicie uniwersytetów z rąk rewolucyjnej sekty.

O naszych losach jako wspólnoty będą decydować rzeczy widzialne i niewidzialne.

Dlaczego tak dużo piszę o wyzwalającej mocy postu, ascezy? Zobaczmy walkę duchową o naszą cywilizację na przykładzie. Środowiska od dekad formatujące społeczności Zachodu przywiązują dużą wagę do szerzenia kultu zdrowego jedzenia. W naturalnym dbaniu o jakość pożywienia zawarta jest zdroworozsądkowa, sensowna troska: nasze ciało to świątynia Ducha Świętego, więc należy o nie dbać. My mówimy jednak o nieumiarkowaniu. O kulcie jedzenia, o religijnym wręcz traktowaniu starań o swoją dietę. Ta obsesja na punkcie żywienia jest oczywistym symptomem narcyzmu, egocentryzmu i bałwochwalstwa.

Tydzień temu cytowałem błyskotliwe analizy związane z grzechem obżarstwa z nadmiaru, które zawarł Clive Staples Lewis w swoich „Listach starego diabła do młodego". Dziś, by zobaczyć indywidualny wymiar duchowego starcia, zobaczmy, jak stary diabeł Krętacz poucza młodego Piołuna w kwestii niszczenia człowieka na drodze bardziej subtelnego od obżarstwa odcienia nieumiarkowania w konsumpcji, jakim jest smakoszostwo.

Lewis pokazuje, jak można użyć ludzkiego żołądka i podniebienia do sprowokowania kłótliwości, zniecierpliwienia, nieżyczliwości i przesadnej troski o siebie na przykładzie starszej damy. Diabeł „trzyma tę starą kobietę mocno w garści. Jest ona istnym postrachem goszczących ją gospodyń i służących. Zawsze się odwraca od tego, co jej podano, aby z delikatnym westchnieniem powiedzieć: »Ależ błagam... wszystko, czego mi potrzeba, to filiżanka herbaty, słaba, ale nie za słaba, i naprawdę malutki kawałek kruchej grzanki«. Pojmujesz? Ponieważ to, czego żąda, jest mniejsze i mniej kosztowne od tego, co jej podano, nigdy nie uzna za obżarstwo swej stanowczej chęci otrzymania tego, czego pragnie, nawet jeśli to może być bardzo kłopotliwe dla innych. W chwili prawdziwego folgowania swemu apetytowi wierzy, iż praktykuje umiarkowanie". Nie ona, to żołądek panuje obecnie nad jej życiem.



Dlaczego post? Dlaczego walka z wadami? Stan duszy każdego z nas wpływa na bieg wydarzeń. Znajdując siły w modlitwie, możemy nie poddawać się wielkim siłom, mimo iż wydają się one przytłaczające i nieuniknione, a także szukać sposobów, by na nie wpływać. Nawet najpotężniejsze procesy są bowiem kształtowane przez lokalne uwarunkowania i pojedyncze zdarzenia. Ojczyzna to zbiorowy obowiązek, ale w dużej mierze spełniany indywidualnie. Musimy wysoko stawiać sobie poprzeczkę. Błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko mówił: „Mamy wypowiadać prawdę, gdy inni milczą. Wyrażać miłość i szacunek, gdy inni sieją nienawiść. Zamilknąć, gdy inni mówią. Modlić się, gdy inni przeklinają. Pomóc, gdy inni nie chcą tego czynić. Przebaczyć, gdy inni nie potrafią. Cieszyć się życiem, gdy inni je lekceważą".

Dobra i moce duchowe zdobywa się dla przyszłości wolnością, miłością i walką duchową wytoczoną również swoim słabościom. Tylko naród, który ma zdrowego ducha i czułe sumienie, może tworzyć śmiałą przyszłość. Uczmy się miłości. Codziennie. Wytrwale. Również od ks. Jerzego. Zapierajmy się siebie. Naśladujmy naszego Zakrwawionego Mistrza. On zmartwychwstał. Prawdziwie zmartwychwstał.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl b4eba63ab8



HÉLÈNE ROCCO, SOPHIA VAN DEN HOEK*

W Paryżu smacznie i niedrogo

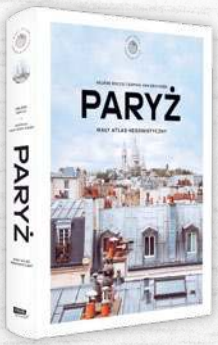
Bouillons czy brasserie? M.in. taki dylemat pobytu w paryskiej stolicy rozstrzygają Hélène Rocco i Sophia van den Hoek, autorki przewodnika „Paryż. Mały atlas hedonistyczny" wydanego właśnie przez Znak Koncept. Zachęcają do odwiedzenia tak lubianych dziś dawnych „restauracji dla robotników".

„Przed powstaniem paryskich brasserii to właśnie bouillons były najlepszymi sprzymierzeńcami miłośników smacznego jedzenia" – zaznaczają autorki. „W ostatnich latach te popularne lokale, które oferują tradycyjną kuchnię francuską, przeżywają nowy złoty wiek" – dodają.

Ślimaki, jajko w majonezie... klasyki kuchni francuskiej serwuje Bouillon Julien. Od przeszło 100 lat apetyt stałych bywalców zaspokaja (założony w 1906 r.) Bouillon Racine. Bouillon Julien, z wystrojem w stylu art nouveau, zaprasza do stołu od 1900 r. Nowoczesne wnętrze i dania w niskich cenach cechują Bouillon Pigalle. Otwarty w 1896 r. Bouillon Chartier został wpisany na listę zabytków... Najsłynniejszy pozostaje jednak Bouillon Chartier Grands Boulevards – wymieniają autorki. „W zbiorowej wyobraźni stolica Francji zawsze kojarzyła się z obrusami w kratkę, ławkami obitymi skajem, stekiem z frytkami i kieliszkiem czerwonego wina serwowanymi na tarasie. Renesans popularności bouillons dowodzi, że Francuzi kultywują tę sztukę życia od wieków. Epopeja tych robotniczych restauracji rozpoczęła się w 1860 r., kiedy rzeźnik Pierre Louis Duval otworzył lokal przy rue de la Monnaie (dzielnica I), chcąc ograniczyć marnotrawstwo mniej szlachetnych kawałków mięsa. W menu królowała miska bulionu i pot-au-feu, zwanego hochepot, które za niewielką kwotę syciły robotników z pobliskich Les Halles.

W kolejnych latach otwierano następne lokale, aż w 1900 r. ich liczba osiągnęła 250. Najsłynniejszym ze wszystkich był bez wątpienia Bouillon Chartier, który ruszył w 1896 r. Położony przy rue du Faubourg-Montmartre zachował do dziś wystrój typowy dla belle époque. W sali głównej, oświetlonej lampami o okrągłych kloszach, rozbrzmiewa gwar głosów, a kelnerzy krążą między stolikami. Trzeba dodać, że od chwili otwarcia Bouillon Chartier wydał 50 milionów posiłków, co daje ponad tysiąc dziennie! Powód takiego natężenia ruchu nie jest żadną tajemnicą. Na talerzu słynne jajko w majonezie, confit z kaczki z zapiekanymi ziemniaczkami i pucharek bitej śmietany w bardzo przystępnych cenach.

Pojawienie się brasserii o mało nie spowodowało zniknięcia bouillons. Dopiero w 2017 r. duet restauratorów, bracia Moussié, wpadł na pomysł, by te dawne restauracje ponownie ujrzały światło dzienne. Ich Bouillon Pigalle (dzielnica XVIII), który wpisuje zasady dawnych restauracji we współczesną estetykę, to strzał w dziesiątkę. W 2021 r. bracia Moussié kopiują ten model działalności w Bouillon République (dzielnica III). Menu zapewnia bezkonkurencyjny stosunek jakości potraw do ceny, oferuje nawet dania z babcinych przepisów. Wymyślona w Paryżu zupa cebulowa z serem cantal powraca na scenę w towarzystwie kiełbaski z ziemniaczanym purée i deseru île flottante z różanymi pralinami. Pięknie, smacznie i niedrogo" – podsumowują autorki, sugerując, że wystarczy spojrzeć na kilometrowe kolejki ustawiające się przed bouillons, by zrozumieć, że zachwyca się nimi cała paryska śmietanka.



Fot. Materiały prasowe

Oprac. Jolanta Gajda-Zadworna

**Autorki przewodnika „Paryż. Mały atlas hedonistyczny"*

eprasa.pl b4eba63ab8



SŁODKO-SŁONY

Domowe onigiri

ANNA MONICKA

Onigiri, czyli popularny japoński fast-food, kupujemy sobie zawsze wtedy, gdy ruszamy na spacer po Warszawie – zwiedzać Łazienki albo Ogród Botaniczny. Obok Politechniki Warszawskiej, przy ul. Noakowskiego 8, jest okienko, w którym robimy zapas „ryżowych kanapek" z łososiem, tuńczykiem albo makrelą. Dzięki nim mamy siłę na długi marsz i dobry humor. Niigata Onigiri przez długi czas było naszym stałym punktem wycieczek. Teraz takich okienek jest więcej, ale i tak wracamy do tego, w którym poznałyśmy japońskie uliczne smaki.

Któregoś dnia córka, która jest wielką fanką japońskiej kultury i kuchni, rzuciła pomysł, żebyśmy spróbowały przygotowywać onigiri w domu. Nie jest to zbyt kosztowne – wystarczy kupić specjalny ryż (krótkoziarnisty i kleisty, taki jak do sushi), dobrego tuńczyka w puszce, biały serek, majonez, sezam i wodorosty w arkuszach. No i foremkę, która nada ryżowi kształt. W okolicy są doskonałe delikatesy orientalne, więc ze składnikami nie powinno być kłopotu. Ryżowar sobie odpuścimy, damy przecież radę ugotować ryż, wystarczy trzymać się zaleceń na opakowaniu. Dokładnie tak zrobiłyśmy. Wyszukałyśmy dodatkowo przepyszną posypkę Furikake z suszoną skórką yuzu, ostrą zieloną papryczką chili i wodorostami, która nadaje ryżowi orzeźwiający, nieco pikantny smak.

Na eksperymenty w kuchni czas jest zawsze, zwłaszcza gdy pogoda odstrasza od wyjścia na dwór. W deszczowy sobotni wieczór uznałyśmy, że nadszedł moment na gotowanie ryżu. Przeliczyłyśmy proporcje, przepłukałyśmy go dokładnie i do garnka. Wyszedł idealny. Trzeba pamiętać, że zachowuje się inaczej niż basmati czy jaśminowy i należy działać w lateksowych rękawiczkach, bo klei się do palców. Zdecydowałyśmy się zrobić nasze ulubione nadzienie tuna mayo (tuńczyk, szczypior, kremowy serek Philadelphia z odrobiną majonezu – ale nie japońskiego, tylko naszego, „Kieleckiego"). Ryż wymieszałyśmy z posypką i włożyłyśmy porcję do foremki (kosztuje 16 zł), tak żeby napełnić ją w jednaj trzeciej, potem kulka farszu i przykrycie z ryżu. Całość dociskamy wieczkiem i wypychamy na deskę gotową „kanapkę". Owijamy paskiem nori (wodorosty kupujemy w paczkach po 10 kartoników i tniemy je na paski nożyczkami). Mąż uznał, że nasze domowe onigiri smakuje jak te z okienka.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Komunikacja sejsmiczna mamutów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Dzieła sztuki sprzed tysięcy lat skrywają wielkie tajemnice przyrodnicze. Grupa naukowców z African Centre for Coastal Palaeoscience na Uniwersytecie Nelsona Mandeli w RPA, badając paleolityczne malowidła z jaskini Rouffignac we Francji, doszła do wniosku, że przedstawiają one mamuty włochate komunikujące się między sobą sejsmicznie.

Bardzo to ciekawe i bardzo prawdopodobne. Komunikacja sejsmiczna słoni, polegająca na przekazywaniu sobie nawzajem informacji na odległość kilkunastu, a nawet 30 km, jest zjawiskiem udokumentowanym naukowo. Mówiąc w uproszczeniu, słonie tupią lub wydają różne dźwięki, które przenoszą się przez podłoże. Inne słonie odbierają drgania za pomocą specjalnych, czułych poduszeczek na przednich stopach i za pomocą struktur ucha. Taka komunikacja nie służy do przekazywania tylko prostych informacji. Wciąż jest przedmiotem badań, a wiele wskazuje na to, że słonie mogą w ten sposób prowadzić niemal rozmowy.

Bardzo więc prawdopodobne, że również mamuty mogły komunikować się sejsmicznie. Na naskalnych rysunkach widać np. mamuta w charakterystycznej pozie nasłuchiwania – przechylonego w przód i przenoszącego nacisk na przednie stopy służące do odbioru wiadomości.

Widać również mamuty otoczone – według naukowców analizujących malowidła – falistymi liniami. Byłaby to informacja sprzed kilkunastu tysięcy lat (bo tyle liczą sobie jaskiniowe obrazy z Rouffignac) o wielkim znaczeniu, nie tylko przyrodniczym. Takie rysunki można uznać m.in. za dowód, że mamuty komunikowały się sejsmicznie. To bardzo ciekawe, ale, jak wspomniałem, również bardzo prawdopodobne.

Znacznie ciekawsze są kolejne implikacje tego odkrycia. Po pierwsze, ludzie sprzed kilkunastu tysięcy lat zaobserwowali ten sposób komunikacji. To bardzo intrygujące, lecz również prawdopodobne – w żadnym innym okresie historii ludzkiej nie poświęcaliśmy tyle czasu i nie angażowaliśmy się w obserwację wielkich ssaków, co w czasach paleolitycznych łowców.

I następny, sensacyjny wniosek: zespół z RPA zwraca uwagę, że w takim przypadku byłoby to pierwsze znane użycie symbolu w sztuce, a także wstęp do słowa pisanego.

Można dodać, że zaskakujące jest przedstawienie przez ludzi z pradawnej epoki magdaleńskiej wibracji jako linii falistych. Czyżby rozszyfrowali falową naturę dźwięku?

eprasa.pl b4eba63ab8

OGNIEM NA WPROST

Propozycje do odrzucenia



Andrzej Rafał Potocki

Według agencji Reutera Kreml przekazał Stanom Zjednoczonym nieoficjalny dokument, w którym przedstawia swoje warunki pokojowego uregulowania sytuacji na Ukrainie. Przede wszystkim Ruskom zachciało się ustanowić kontrolę nad całym Donbasem (sprzecznie z propozycją prezydenta Donalda Trumpa, który zaproponował zamrożenie konfliktu na obecnej linii frontu). Pozostałe warunki są równie absurdalne. Moskwa nalega, żeby nie doszło do rozmieszczenia wojsk NATO w strefie buforowej pomiędzy walczącymi armiami. W zamian za bogaty w minerały i przemysł ciężki Donbas Ruski raczy oddać niewielkie części (ochłapy) obwodów zaporoskiego i chersońskiego. Zełenski odrzucił propozycję, a Trump na spotkaniu z dziennikarzami w Białym Domu stwierdził: „Nie chcę mieć zmarnowanego spotkania. Nie chcę zmarnowanego czasu, więc zobaczę, co się wydarzy". I ze spotkania Trump–Putin w Budapeszcie nici. Po raz kolejny „przyleciały łabędzie i nic z tego nie będzie" – mówiąc delikatnie.

W dodatku rzecz w tym, że taka propozycja zamiany chersońszczyzny na Donbas to pic na wodę, fotomontaż. Obwód chersoński zabezpiecza bowiem Rosji lądowy dostęp do Krymu. Oddając ten teren, Moskwa może od razu oddać Krym. Co więcej, sytuacja Moskali w tym regionie jest chyba najtrudniejsza ze wszystkich. Ruski skierował większość sił na inne, bardziej obiecujące kierunki. Tu w istocie działają tylko oddziały rozpoznawczo-dywersyjne. Reszta, w większości skupiona na małym obszarze nad Dnieprem naprzeciwko Chersonia, jest poddawana stałemu ostrzałowi artylerii i przede wszystkim dronów. Do tego po całym terenie swobodnie hasają ukraińscy partyzanci i specjalsi, którzy bezkarnie likwidują co bardziej ambitnych rosyjskich dowódców oraz zdrajców Ukrainy. Niestety podana przez nas informacja o likwidacji byłego mera Chersonia i zdrajcy Wołodymyra Saldo okazała się przedwczesna. Bydlę przeżyło atak. On jest jak kot, co ma siedem żyć. Ale jak się nie ma co się lubi, to... 1 października zlikwidowany został były szef ruskiej administracji w Nowej Kachowce Władimir Leontiew, oczywiście zdrajca, który od razu po przyjściu Moskali zapisał się do Jednej Rosji, czyli takiego putinowskiego NSDAP.

Na sąsiednim odcinku zaporoskim też nie jest bezpiecznie. Partyzanci namierzyli odprawę kadry oficerskiej jednego z moskiewskich oddziałów i podpalili step. 28 oficerów, w tym wyżsi, zginęło. W tych warunkach morale leci na pysk. O ile daje się je jeszcze jakoś utrzymywać w strefie frontowej – bo przecież dyscyplina jest warunkiem przeżycia – o tyle na odcinku chersońskim sytuacja jest tragiczna do tego stopnia, że zarówno władze okupacyjne, jak i ukraińska konspiracja ostrzegają ludzi przed zbliżaniem się do pustostanów, które mogą zajmować dezerterzy. Obawiając się aresztowania, uciekinierzy z armii moskiewskiej strzelają bowiem do każdego, kto może im się wydać podejrzany. Czyli do każdego. Na lewym brzegu Dniepru powoli wytwarza się zatem próżnia operacyjna – sytuacja, w której nie będzie tam żadnej realnej jednostki zdolnej do walki. To może zmusić Moskali do przeniesienia w ten rejon oddziałów z innych odcinków. Powstaje też dogodna sytuacja do uderzenia dla Ukraińców, ale musieliby oni rozwiązać problem sforsowania Dniepru i utrzymania logistyki. Gdyby się udało, cały front południowy mógłby runąć. To zapewne gdybanie, ale cóż szkodzi pogdybać.

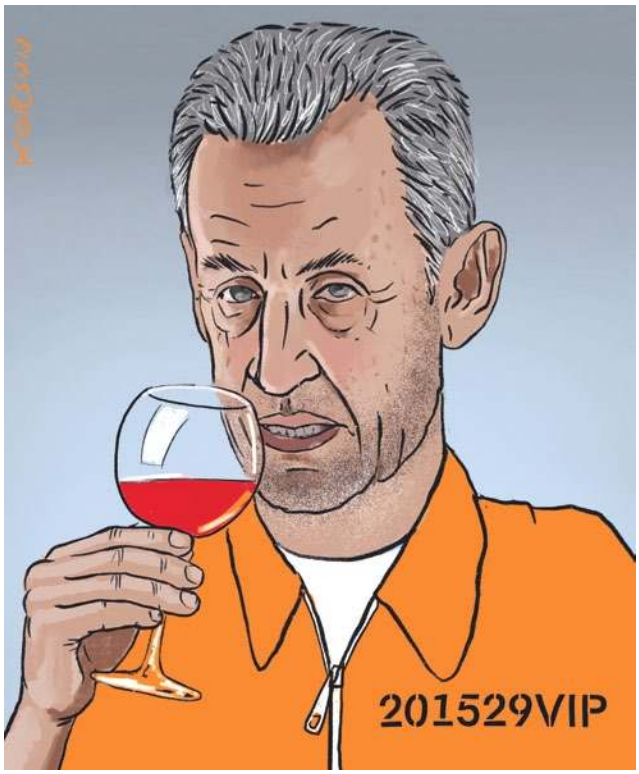
W każdym razie wysunięta przez Moskwę propozycja oddania Chersońszczyzny w zamian za obwód doniecki może mieć związek z tą sytuacją. Dla Kremla czasowe oddanie tego terytorium oznacza pozbycie się problemu dezerterów – po prostu zostawi się ich na tyłach i pozwoli, żeby zajęli się nimi Ukraińcy. Angażując ich siły i środki oraz skupiając ich uwagę. Część z tych grup to będą jednostki rozpoznawczo-dywersyjne, robiące kipisz na ukraińskich tyłach. Kiedy zostaną zlikwidowane, Kreml powie, że nic nie wie, bo to przecież „dezerterzy". Takie śmierdzące kukułcze jajo podrzucone przeciwnikowi. A kiedy już Ukraina zaangażuje na „odzyskanym" terytorium wystarczająco duże siły, żeby je opanować, armia Kremla pod byle pretekstem ponownie wkroczy, żeby „wziąć pod ochronę ludność cywilną" i „ukrócić bezprawie". Będzie to tym łatwiejsze, że granica między obwodami chersońskim a zaporoskim nie biegnie po istotnych przeszkodach terenowych i ogólnie wygląda jak wyznaczana podczas gry w domino. Ukraińcy nie mają tu na czym oprzeć obrony (dlatego na początku wojny południe zostało tak szybko zajęte). Oferta Kremla to po prostu propozycja zamiany siekierki na kijek.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl b4eba63ab8

***Michał Korsun prezentuje:* Nikolas Sarkozy, były prezydent Francji, w więzieniu**



Wycinki z przeszłości


WARSZAWSKI
DZIENNIK NARODOWY
WYCHODZI CODZIENNIE RANO

klęska rządu St. Zjednoczonych nieunikniona

Zawieszenie Zarządu Obrońców Kresów Wschodnich

Awantury żydowskie w łódzkiej radzie
Policja na sali obrad

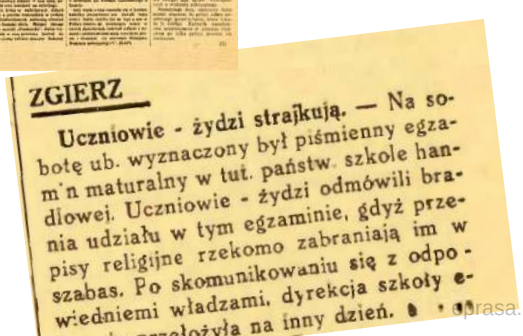
Naganka zażydzonych brukowców
na duchowieństwo katolickie

Zamach na dyr. Kannenberga

Rekordowy odpływ złota
z Francji

Każda społeczność ma własne święta i tradycje, co w tak wielonarodowym państwie jak II RP często prowadziło do nieporozumień. W 1935 r. „Dziennik Narodowy" pisał o osobliwej sytuacji w szkole w Zgierzu: „Uczniowie – żydzi strajkują. – Na sobotę wyznaczony był egzamin maturalny [...], żydzi odmówili udziału, gdyż przepisy religijne rzekomo zabraniają im w szabas. [...] dyrekcja egzamin przełożyła". ◢

(sp)


ZGIERZ

Uczniowie - żydzi strajkują. — Na sobotę ub. wyznaczony był piśmienny egzam'n maturalny w tut. państw. szkole handlowej. Uczniowie - żydzi odmówili brania udziału w tym egzaminie, gdyż przepisy religijne rzekomo zabraniają im w szabas. Po skomunikowaniu się z odpowiedniemi władzami, dyrekcja szkoły e-

Z WOLEJA

Azja (i Arabowie) w ofensywie



Ryszard Czarnecki

W sporcie liczą się nie tylko pieniądze, są one jednak bardzo ważne. Dzięki nim można kupić najlepsze kluby, zawodników i trenerów, a także organizacje największych imprez sportowych, jak igrzyska olimpijskie, mistrzostwa świata, wyścigi Formuły 1 czy najważniejsze turnieje tenisowe ATP. Karawana bogatych jedzie dalej mimo krytyków, którzy mówią o bezdusznej komercjalizacji sportu.

Pierwsze igrzyska olimpijskie w Azji miały się odbyć 44 lata po pierwszych nowożytnych IO w Atenach (1896). Ale Niemcy napadły na Polskę, rozpoczęła się II wojna światowa i igrzysk w Japonii nie zorganizowano. Co się w sporcie odwlecze, to nie uciecze. Minęło prawie ćwierć wieku i Tokio w końcu gościło zawody w 1964 r. Osiem lat po Australii i Oceanii – ale jednak. Po kolejnych 24 latach igrzyska, które w międzyczasie odbyły się trzy razy w Amerykach (Meksyk 1968, Montreal 1976, Los Angeles 1984), zawitały do Korei. Seul 1988 zasłynął skandalami korupcyjnymi, gdy chodzi o werdykty sędziowskie, zwłaszcza w sportach walki, a już szczególnie w boksie, ale kto bogatemu zabroni? Po następnych dekadach, gdy poza Europą IO odbyły się w USA (Atlanta) i Australii (Sydney), olimpijski znicz po raz pierwszy zapłonął w Chinach (2008). Do tego dochodzą igrzyska zimowe, które w ostatnim półwieczu odbyły się dwa razy w Japonii oraz w ChRL i Korei.

Państwa Półwyspu Arabskiego nie organizowały jeszcze igrzysk, choć to tylko kwestia czasu. Dokonały za to ekspansji na piłkarskie mundiale: mistrzostwa odbyły się w Katarze i odbędą w Arabii Saudyjskiej (która zresztą mniej więcej w tym samym czasie wygrała organizację... kolejnego EXPO!).

Klub będący własnością szejka z Kataru – Paris Saint-Germain – w tym roku po raz pierwszy wygrał futbolową Ligę Mistrzów. Ma to rangę symbolu, choć przecież już kilka zespołów będących własnością Arabów od dawna rywalizuje o tytuł mistrza... Anglii.

Klasyfikacje medalowe ostatnich dwóch igrzysk wygrały USA tuż przed Chinami, przy czym w Paryżu Amerykanie wyszarpali zwycięstwo dosłownie w ostatnim dniu IO! Ale Chiny sprytnie podliczyły, że łącznie z medalami startujących oddzielnie Chińczyków z Hong Kongu i Tajwanu Państwo Środka... wygrało z Jankesami i taką tabelę tam podawano.

Może trudno się dziwić, że sportowa Azja jest w takiej ofensywie, wygrywając organizację kluczowych zawodów oraz sportowe tytuły, gdy się popatrzy, jak rośnie gospodarka i demografia tego kontynentu... ◢

prasa.pl b4eba63ab8

OD A DO ZYBERTOWICZA

Czyste, bezinteresowne zło?



Zachód to chciwy, cyniczny partner, który uwierzył, że demona da się oswoić i zaprząc do własnego rydwanu

Aby lepiej zrozumieć ból teraźniejszości, często trzeba sięgać ku przeszłości.

SŁOWENIA 2001

Cofam się o niecałe ćwierć wieku: czerwiec 2001 r. Skończyło się spotkanie prezydenta USA, liczącego wtedy 55 lat George'a W. Busha z młodszym od niego o sześć lat przywódcą Rosji Władimirem Putinem. Po dwugodzinnej rozmowie przywódcy mają wspólną konferencję prasową.

Prezydent USA wypowiedział wtedy słowa, które bywają cytowane do dziś: „Spojrzałem temu człowiekowi w oczy. Wydał mi się bardzo bezpośredni i godny zaufania. Odbyliśmy bardzo dobrą rozmowę. Udało mi się poznać jego duszę – człowieka głęboko oddanego swojemu krajowi i jego najlepszym interesom. Bardzo doceniłem tę szczerą rozmowę" (tekst na stronie internetowej Białego Domu).

SOCZI 2008

Kwiecień. Bush znów spotyka się z Putinem, a także z Dmitrijem Miedwiediewem, który miesiąc później zostaje prezydentem Federacji Rosyjskiej. Bush powiedział wtedy o Miedwiediewie: „To mądry człowiek, który mówi to, co myśli. Wywarł na mnie bardzo korzystne wrażenie. Mam nadzieję, że będzie się nam dobrze pracować".

Czyżby podczas swej drugiej prezydenckiej kadencji G.W. Bush pozostawał tak naiwny jak na początku swej pracy w Białym Domu?

UKRAINA 2022 – DZISIAJ

Trwa wojna, o okrucieństwie której raz po raz zdajemy się zapominać. Wojna, podczas której wsparcie dla ofiary agresji ze strony krajów Unii Europejskiej i NATO jest spóźnione i niekonsekwentne.

KONSTANCIN-JEZIORNA 2025

Na spotkaniu towarzyskim rozmawiam z filozofem średniego pokolenia, który rzuca: „Amerykanie skuteczniej prowadziliby swą politykę wobec Rosji, gdyby czytali Dostojewskiego, np. »Braci Karamazow«".

Dopytuję: co takiego by zrozumieli, gdyby znali dzieła Fiodora Dostojewskiego?

Słyszę w odpowiedzi: „To, że istnieje czyste, bezinteresowne zło".

NISZCZENIE JAKO CEL

Milcząc, rozważam te słowa. W „Braciach Karamazow" Dostojewski kreśli postacie, które zdają się rozkoszować złem dla samego zła – nie dla korzyści, nie z zemsty, ale z czystej przyjemności niszczenia. To nie jest zło transakcyjne, które można zrozumieć przez pryzmat zysku i straty.

Może problem amerykańskiej (i szerzej – zachodniej) polityki wobec Rosji polega na uporczywym stosowaniu racjonalnej kalkulacji tam, gdzie ona nie ma racji bytu. Bush patrzył Putinowi w oczy, szukając partnera do interesów. Merkel próbowała budować mosty energetyczne. Macron dzwonił na Kreml, wierząc w siłę dyplomacji. Wszyscy zakładali, że po drugiej stronie stołu siedzi ktoś, kto jak oni waży koszty i korzyści, kalkuluje zyski.

A może mamy do czynienia z czymś, co Dostojewski rozumiał intuicyjnie – z imperium, które znajduje upodobanie w samym akcie destrukcji? Które niszczy ukraińskie miasta nie po to, by coś zyskać (co zyskuje, niszcząc Mariupol?), ale dlatego, że niszczenie jest celem samym w sobie. Które morduje cywilów nie dla strategicznej przewagi, ale by zademonstrować, że może to robić bezkarnie.

POWTÓRNY NAMYSŁ

Później przyszła jednak taka refleksja: to kusząca, literacka wizja, ale być może zbyt wygodna. Zrzuca winę na jakąś mityczną, rosyjską duszę i zwalnia nas z myślenia. A co, jeśli prawda jest znacznie bardziej banalna i przez to straszniejsza? Co, jeśli amerykańscy politycy nie muszą czytać Dostojewskiego, tylko uważniej analizować własne raporty CIA? Może naiwność Busha nie była naiwnością człowieka, lecz systemu, który po zimnej wojnie postawił na zysk. Zło, z którym mamy do czynienia, nie jest „czyste i bezinteresowne". Jest interesowne do szpiku kości. To zło taniego gazu, brudnych pieniędzy pranych w londyńskim City, korumpowania zachodnich elit i budowania wzajemnych zależności, które miały gwarantować spokój.

Zachód to nie ofiara niezrozumiałego, metafizycznego demona. To chciwy, cyniczny partner, który uwierzył, że demona da się oswoić i zaprząc do własnego rydwanu. Wojna na Ukrainie nie jest więc triumfem „zła bezinteresownego", lecz bankructwem „zła do bólu interesownego" – po obu stronach. To diagnoza bardziej przerażająca niż jakakolwiek powieść Dostojewskiego.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl b4eba63ab8

SUBSKRYPCJA wPolityce.pl Premium + i SIECI

Czytaj wygodnie i **wcześniej** niż inni już od 7,90 zł



- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl b4eba63ab8

Czytaj nas w najlepszej cenie!



Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



eprasa.pl b4eba63ab8